

SERGE
JACQUEMARD

**HARRY
SHULZ**
SERIES

1# DEATH
2# DEATH
3#
4#

**TOPÓR
KATA**

Przyjmując od Karen Wood kolejny, wielce intratny kontrakt na zlikwidowanie Alexa Blumfelda — milionera bez skrupułów, który ograbił setki drobnych ciulaczy z ich życiowych oszczędności, Harry Shulz sprawia, że ciąg następujących po sobie wydarzeń rozwija się w najbardziej dramatycznym kierunku: to sam Harry Shulz staje się teraz ofiarą, a katem jest nieznana mu grupa przestępców!

Chcąc ratować swoją skórę, Harry Shulz musi uciekać przed tajemniczymi prześladowcami i jednocześnie próbować odkryć ich prawdziwe oblicza. A jak się szybko okazuje, wszystkie drogi tej pogmatwanej intrygi ciągle wracają do środowiska filmowców.

Finał tej rozgrywki dowodzi jednak, że wszystko miało jeszcze bardziej makabryczny wymiar, a Shulzowi nie pozostanie nic innego, jak... zniknąć z oczu amerykańskim służbom specjalnym i wybrać się na dłuższe niż zwykle wakacje!

**„HARRY SHULZ SERIES”
TO DOSKONAŁA LEKTURA
NA KAŻDĄ POGODĘ!**

ISBN 83-85318-83-6

C&T

Serge Jacquemard

TOPÓR
KATA

Przekład:

HENRYK RYSZARD GANTZ

C&T

TORUŃ

Tytuł oryginału:

SUR QUI TOMBE LA HACHE?

Copyright © 1981, «Editions Fleuve Noir»,

Paris-Copyright © for Polish edition by C&T, Toruń 1996 r

Copyright © for Polish translation by Henryk Ryszard Gantz

Zjecie na okładce:

PIOTR KRIESEL

Redaktor wydania:

PAWEŁ MARSZAŁEK

Skład i łamanie:

PIOTR KRIESEL

Korekta:

MAGDALENA MABSZAŁEK

ISBN 83-85318484

Wydawnictwo C&T

ul. Św. Józefa 79,

87-100 Toruń,

tel. (0-56) 529-017

Toruń 1997.

Wydanie I.

Ark, wyd. 13, ark, druk. 14.

Druk: Drukarnia Księży Werbistów,

Laskowice Pom.,

tel. (0-532)181-69, fax 187-11

*Nowy Jork jest miastem, w którym
wszystkie paradoksy są monstrualne,
wszelka samotność rozpaczliwa
i wszystkie cienie podejrzane...*

John Dos Pasaos

ROZDZIAŁ I

*Long ago and faraway
I dreamt a dream one day
And now this dream is here beside me
Long the skies were overcast
And the clouds have passed
You're here at last
Chills run up and down my spine
Aladin's lamp is mine...*

Harry Shulz wstał odkładając na wprost opróżnioną szklankę na niski stół. Piosenka miała już kilka dziesiątków lat, pochodziła ze starego filmu z lat 40-tych, *Cover girl*, z Ritą Hayworth, Lee Bowmanem i Gene Kellym. Śpiewała ją sama Rita Hayworth. Ta wielka Rita z lat na zawsze minionych, słynna *Gilda*, wspaniała *Dama z Szanghaju*, fantastyczna partnerka Freda Astaire'a, idola amerykańskich G.I.'s z czasów drugiej wojny światowej.

Piosenka ucichła i prezenter *Listener's Choice** ze stacji W.Q.X.R, Chett Wyneberg, wygłosił z naciskiem: – Wspaniała Rita zaśpiewała *Long Ago* od Clary Brodzky z Poughkeepsie dla H. S. Marrowstone'a w Nowym Jorku z okazji jego trzydziestych piątych urodzin. A teraz...

* Muzyka na zamówienie słuchacza, odpowiednik „Radiowej poczty UKF”.

To była informacja od Clary. Rodzaj jego skrzynki kontaktowej z klientką. Clara była nieświadoma znaczenia otrzymywanych zleceń, które przekazywała potem Harry'emu Shulzowi. Ktoś dzwonił do niej, podawał uzgodnione zdanie, a ona przysyłała je Harry'emu. Ten w zamian przekazywał jej pocztą pięćset dolarów. Dla Clary Brodzki nie istniały małe zarobki. Nawet jeden cent wart był schylenia się. Chociaż kierowała siatką najlepszych *call-girls*, jakie można było znaleźć w Nowym Jorku, a zapewne i w całych Stanach, co dawało jej znaczne dochody. Na zamówienie dostarczała gwiazdki, którym nie powiodło się w Hollywood, statystki scen teatralnych Broadwayu i *off-Broadwayu*, modelki, studentki, żony obciążone mężem o skromnej pensji, a jedna wspanialsza od drugiej. Oczywiście stawki za nie też były odpowiednie. To znaczy horrendalne...

Natomiast Chett Wyneberg dostawał kopertę zawierającą pięć banknotów studolarowych, nie wiedząc nawet, dlaczego kazano mu nadać w swej audycji płytę sprzed dobrych czterdziestu lat. Niezawodny Chett...

Clara była wynagradzana zarówno przez Organizację TRAK* jak i przez Harry'ego Shulza.

*Skrót od *travelling killer*: podróżujący zabójca.

Harry Shulz, choć niezależny, współpracował z Trakami. Od czasu do czasu. Gdyż już od wielu lat zajmował się zawodowo zabijaniem. Po całym świecie.

Wyłonienie się nowych niezależnych narodów w Azji i Afryce – z wynikającą stąd eksplozją ambicji politycznych w tych młodych republikach, rywalizacją, zemstami plemiennymi, nienawiścią polityków na wygnaniu, interesami finansowymi wielkich towarzystw europejskich i amerykańskich – spowodowało pilną potrzebę wyłonienia wyspecjalizowanych kadr potrafiących szybko usuwać przeszkadzające osoby.

Ochotnicy napłynęli z Europy i Ameryki. Szybko dokonana się brutalna selekcja. Amatorzy, zwykli awanturnicy, zagubieni żołnierze, ci którzy pragnęli tylko mocnych przeżyć, ponieśli dotkliwie porażki i szybko zniknęli.

Po eliminacji tej fali pozostała na świecie trzydziestka prawdziwych specjalistów, podzielonych na dwie kategorie: organizatorów i wykonawców. Tych pierwszych było zaledwie pół tuzina, tych ostatnich od trzydziestu do trzydziestu pięciu, zależnie od ubytków i napływu.

Gdyby istniał skorowidz zawodowych zabójców, Harry Shulz uzyskałby w hierarchii mózgow numer jeden, od chwili gdy Gust Trosson – pewien Szwed, któremu niektórzy przywódcy państw afrykańskich zawdzięczali obecną pozycję po wyeliminowaniu przez niego ich poprzedników – w głupi sposób przekręcił się na raka gardła kilka lat temu w szpitalu w Sztokholmie.

Indywidualnie wszyscy wykonawcy byli doskonałymi fachowcami od zabójstw. Każdy miał oczywiście swoją ulubioną metodę, ale wszyscy umieli zabić zgodnie z poleceniami otrzymanymi od mózgu albo zamawiającego robotę.

Byli to ludzie wyłaniający się z cienia, uderzający i znikający w mroku, bez szans namierzenia ich przez policje kryminalne lub polityczne i bez powodowania międzynarodowych komplikacji.

Osoby nieznanne z sądowych akt, nie mające kartotek w Interpolu, bez stałego miejsca zamieszkania, bez znanego adresu, ale z którymi łatwo się skontaktować poprzez skomplikowaną siatkę łączników, dostępną jedynie wtajemniczonym.

Harry Shulz podszedł do okna, rozsunął firanki i rzucił okiem na niebo sięgające wierzchołków drapaczy chmur Manhattanu. Nic nie zapowiadało, że za chwilę może spaść deszcz. Odwrócił się, opróżnił szklankę i wyszedł z mieszkania, dobrze zamykając drzwi. Zjechał windą na dół i na parterze wpadł na Jerry'ego Otrano – byłego mistrza świata wagi półciężkiej, który po słynnej przegranej przez nokaut z Chuckiem McMuirem przekwalifikował się na prywatnego strażnika. Razem ze Stevem Walzakiem, byłym gliną z Cincinnati, i Kenem Koraggerem, weteranem wojny wietnamskiej i mistrzem w strzelaniu z pistoletu, czuwał nad bezpieczeństwem mieszkańców budynku na rogu Park Avenue i Sześćdziesiątej Pierwszej Ulicy, gdzie mieszkał Harry Shulz.

– Witam, panie Shulz! – wesoło zawołał Jerry Otrano.

Lubił Harry'ego Shulza, który nie traktował go z góry, jak to mieli w zwyczaju inni mieszkańcy tego elitarnego domu położonego w jednej z najlepszych dzielnic mieszkaniowych East Side.

– Cześć, Jerry.

– Skąd pan wraca? – zagadnął były mistrz świata podziwiając brązową opaleniznę na twarzy Shulza.

– Z wysp Bahama.
– Znam. To właśnie w Nassau powaliłem tego cholernego kretyna Manuela Zangaro. W czwartej rundzie. Lewy sierpowy w sam podbródek poparty prostym w skroń i Kolumbijczyk był załatwiony! Nigdy więcej nie wyszedł na deski.

– Pamiętam, Jerry. Nawet nie miałem czasu wypalić połowy mojego cygara, gdy walka się zakończyła. Majstersztyk.

– To były dobre czasy...

– Zapamiętaj sobie, co twierdził pewien perski filozof: „Mędrzec sieda w cieniu cedru i tak przeżywa swe wspomnienia. I aż do śmierci stanowi to jego własny świat, po którym osioł nie deptce swoimi kopytami...”

– Cholera, panie Shulz! Zna pan różne powiedzonka!

Na ulicy Harry Shulz złapał taksówkę i kazał się zawieźć na Grand Central Station. Tam zamknął się w kabinie telefonicznej i zadzwonił do Clary Brodzky.

– *Red Cricket Closet*. Na Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy Zachodniej – powiedziała tylko i odłożyła słuchawkę.

Harry Shulz zrobił to samo i ruszył w kierunku Pięćdziesiątej Drugiej Zachodniej, do której nie było daleko. Uznał, że spacer dobrze mu zrobi. Wzdłuż Czterdziestej Drugiej Ulicy doszedł do Piątej Alei i nią w kierunku północnym dotarł do Pięćdziesiątej Drugiej. Znalazł *Red Cricket Closet* po lewej stronie, między Howard Johnson Motor Lodge i pocztą, w zespole budynków między Ósmą i Dziewiątą Aleją. Był to malutki lokal otwierany tylko wieczorami. Zdjęcie reklamowe przedstawiało trzech muzyków występujących pod nazwą The Old Wave Combo. Pianista, saksofonista i perkusista. A z nimi piosenkarka o bujnych kształtach. Po wewnętrznej stronie szyby, na którą zaciągnięto gęstą podwójną firankę o jasnoniebieskiej barwie, zamocowano na szybie taśmą samoklejącą obszerną tablicę. Na niej wywieszane były ogłoszenia. *Red Cricket Closet* był zapewne klubem, w którym spotykało się sporo muzyków z miasta sądząc po różnorodności ogłoszeń.

Dla Pete'a Monahana. Nie szukaj mnie. Mam kontrakt na trzy miesiące w Phoenix. Bud Kelly.

„Sprzedam saxalt, stan idealny. Wiadomość na miejscu. Barney K.”

„Poszukujemy piosenkarki rhythm and bluesowej na tournée *Old West*,

na dwa miesiące. Raczej musi być seksowna, inaczej może zostać wygwizdana przez sarkastycznych kowbojów.”

„Poszukuję dziewczyny podobnej do Diany Ross do grania jej roli z lip-synchingu*”.

* Synchronizacja warg ze słowami piosenki śpiewanej przez kogoś innego i granej z playbacku.

Harry Shulz odczytywał ogłoszenia bardzo uważnie. Jego oczy zatrzymały się na górze prawej kolumny.

„Do kręconego właśnie filmu poszukuję akordeonisty, specjalisty od francuskich walców na harmonię. Musi znać na pamięć *Walca Błękitnych Dalii*. Telefon 524-0708.”

Harry Shulz zapamiętał numer i oddalił się w kierunku poczty. Tam zamknął się w kabinie telefonicznej i wykręcił 524-0708. Po chwili odezwał się męski głos: – Słucham?

Obojętnym tonem Harry Shulz powiedział:

– Nigdy nie słyszałem o *Walcu Błękitnych Dalii*. Za to znam na pamięć *Walca Mefisto*.

– Jakże jeszcze walce pan zna? – zapytał ostrożnie głos.

– *Walca D dur* Jana Sebastiana Bacha na skrzypce i harmonię.

– Dobra odpowiedź – zarechotał głos. – W hotelu *Carlyle* zarezerwowano pokój na nazwisko Vincenta Millera. Numer 406. Proszę tam zaraz pójść. Ktoś zadzwoni do pana dokładnie za dwie godziny. Proszę nie zapomnieć zapłacić rachunku hotelowego, gdy będzie pan opuszczał pokój...

Połączenie zostało przerwane. Harry Shulz odwiesił słuchawkę i wyszedł z poczty. *Carlyle* znajdował się na East Side. Róg Madison Avenue i Siedemdziesiątej Szóstej Ulicy. Za daleko, aby udać się tam pieszo. Doszedł do Ósmej Alei i przywołał taksówkę.

Gdy tylko znalazł się w pokoju 406, kazał sobie przynieść dzbanek kawy, kanapkę z indykiem i butelkę piwa. W oczekiwaniu na dzwonek telefonu spokojnie się posilił. Gdy ten zabrzęczał, podniósł słuchawkę, dał się rozpoznać i ograniczył się do słuchania. Wiedział, że jego rozmówca, tak jak i on sam, nie miał czasu na zbędne słowa. Gdy głos z drugiej strony zamilkł, zapytał po prostu:

– Wartość kontraktu?

– Pięćset tysięcy dolarów.

– Proszę im powiedzieć, że zgadzam się.

Odłożył słuchawkę i wypił resztę kawy.

* * *

Wynajęty ford kolejny raz poślizgnął się na błocie, które oblepiało koła. Harry Shulz wyprowadził auto z błota. Droga, przypominająca bardziej lepką i czerwoną rzekę, wiła się wzdłuż stromego wzgórza. To wzgórze czy góra? – zastanawiał się w myślach. Deszcz właśnie przestał padać i natura objawiała się w pulsujących plamach światła auta otoczonych mglistymi oparami. Karoseria przenosiła drzenie kół ślizgających się po płynnej masie. W oddali zarysowywały się góry Ozark. Nagle zauważył kabinę z desek i skulony w niej kształt w przezroczystym płaszczu nieprzemakalnym. Skręcił na prawo i ford ustabilizował się na długiej skalistej płaszczynie. Opuścił szybę od strony pasażera.

– Karen Wood? – krzyknął.

Postać zawinięta w płaszcz, w nylonowym kapturze na głowie, zbliżyła się.

– O co chodzi? – zapytała zachrypłym głosem.

– Potrafiłaby pani zagrać na akordeonie *Walca Błękitnych Dalii*?

Kaptur został odrzucony na kark i ukazała się dziewczęca twarz.

Harry Shulz otworzył drzwi od strony pasażera.

– Proszę wsiadać – zaprosił. Usiadła obok niego, nieco bojaźliwie.

– To już niedaleko – powiedziała. – Moja siostra oczekuje pana.

Harry Shulz wiedział, że znajdował się właśnie w najbardziej opustoszałej części Arkansasu. Prymitywni pionierzy, myśliwi i traperzy, którzy żyli w tych gęstych górskich lasach i prowadzili niepewny żywot na skalistych uskokach, wytworzyli tu rasę podejrzliwą, szorstką, nie darzącą sympatią obcych. Jednak dziewczyna nie mówiła akcentem miejscowym.

– Pani jest stąd? – zapytał.

– Nie.

Demonstracyjnie odwracała głowę ku bocznej szybie. Czy jej powściągliwość wynikała stąd, że wiedziała, iż ma do czynienia z zawodowym zabójcą? Prawdopodobnie tak – stwierdził, nie przywiązując do tego zbyt wielkiego znaczenia. Taka reakcja była powszechna.

Wóz znów poślizgnął się, gdy tylko opuścił skalistą platformę. Ziemia była wyboista, z mnóstwem rozpadlin.

– Na prawo – wskazała.

Tu droga była nieco lepsza, teren twardszy i mniej rozpulchniony wodą deszczową.

- Za ile czasu dojedziemy? – zapytał.
- Dziesięć minut.
- Mieszka tu pani przez cały rok?
- Nie.

Harry Shulz nie zadawał więcej pytań. Skoro dziewczyna wołała milczeć, należało tak to zostawić. W końcu to nie ona była zleceniodawcą.

Droga wiła się. Prowadziła teraz przez las, którego drzewa drżały pod wpływem podmuchu wiatru, strząsając krople deszczu dookoła. Przy wyjeździe z lasu Harry Shulz ujrzał dom z otoczków.

- To tu – poinformowała Karen Wood.

Ten dom pamiętał chyba lepsze czasy, zauważył w myśli Harry. Gęsty czarny dym uchodził z komina, stanowiącego przedłużenie rury od piecyka. Drzwi otworzyły się i młoda kobieta podobna do pierwszej pojawiła się w nich i podniosła głowę ku wciąż zaniesionemu niebu. Pocierała sobie dłonie, jakby chciała się w ten sposób rozgrzać. Harry Shulz wysiadł z wozu w tym samym czasie, co Karen Wood, która podeszła i przedstawiła swoją siostrę: – Sharon Wood.

Ta ostatnia zmrużyła oczy przyglądając się z ciekawością stojącemu sztywno Harry'emu.

- Proszę wejść – zaprosiła wreszcie.

Umieblowanie wnętrza było proste i więcej niż skromne. W wiekowym piecu na drewno płonęły polana. Krótki, szeroki stół królował na środku pokoju. Wokół czuło się ciepło pokrępiające po wilgoci deszczu i chłodzie gór. Przed piecem rozstawione były wyplatane krzesła. Radiodbiornik tranzystorowy, stojący na podłodze z szorstkich, źle obrobionych desek, nadawał cichą muzykę.

- Jak mam pana nazywać? – zapytała Sharon Wood proponując krzesło.
- Najlepiej będzie Błękitna Dalia – odparł Harry Shulz siadając.
- Mam scotcha, bourbona, wódkę, albo też...
- Filiżankę kawy – przerwał jej wskazując na kawiarkę.
- Podgrzeję ją. Jest letnia...

Karen Wood wzięła krzesło i usiadła tak, jakby nie chciała uczestniczyć w przyszłej rozmowie. Czyżby między siostrami istniały jakieś rozbieżności? – zastanawiał się Harry Shulz.

Gdy połknął już pierwszy łyk gorącej kawy, Sharon Wood usiadła na jednym z wyplatanych krzesel i zaczęła:

– Reprezentuję Stowarzyszenie Obrony Małych Akcjonariuszy i Drobnych Ciułaczy. Moje nazwisko już pan zna. Nasze stowarzyszenie istnieje od pięciu lat. Zostało założone, by bronić się przed wielkim kapitalizmem, który używa pieniędzy maluczkich nie wynagradzając ich właściwie. A naprawdę to wszystko wygląda jeszcze gorzej. Zbyt często oszczędności szaraków są rabowane przez wielkich rekinów, którzy kuszą wspańiałościami i znikają po zбициu fortuny, zabierając wielu ludziom plony ich pracowitego życia. Różne tęgie głowy wyśmiewają i nazywają naiwnymi tych, którzy dali się nabrać na piękne słówka oszustów. Zapominają oni jednak, że ci naiwni, to po prostu osoby bez doświadczenia, które ciężko pracowały na swoje małe kapitały, z jakich ich ograbiono. Jak mogliby oni oprzeć się wymowności, ogładzie towarzyskiej, urokowi zawodowych oszustów, których regułą życiową jest nadużywanie zaufania? Są oni bezbronni, zagubieni na swych wsiach czy w górach, nieświadomi pułapek rozciągniętych pod ich stopami w labiryncie nie rzadko podejrzanych powiązań wielkiej finansjery i świata biznesu. Są jak owieczki naprzeciw wilka. A gdy zrozumieją, że doprowadzono ich do ruiny, że owoc pracy całego ich życia został stracony, rozwiął się z dymem, gdy pozostają z garścią bezwartościowych akcji, rozpacz często prowadzi ich do samobójstw. Oczywiście, te samobójstwa nie pojawiają się na pierwszych stronach gazet. Przykrywa się je wstydliwą zasłoną. Nie należy przecież alarmować tych, którzy zachwycają się urokami kapitalizmu... Nasze stowarzyszenie ma zatem na celu bronić ich, doradzać, chronić przed pułapkami, zasadzkami, podstępami, którym mogliby ulec. Wyniki nie są jednak zbyt zadowalające. Niektórzy nasi członkowie dają się oczarować pięknymi słówkami rekinów. Ich uwodzicielstwo jest tak wielkie! Ich umysły tak pokrętne! Ich przynęty tak przygotowane! Ich matactwa tak wyrafinowane! A rozumowanie prostych ludzi tak naiwne! Niedawno miało miejsce pięć afer tego typu. Zrabowano miliony dolarów małym akcjonariuszom i drobnym ciułacjom. Te wielkie oszustwa pociągnęły za sobą fale samobójstw, pogrzyżyły całe rodziny w nędzy i nieszczęściu. I wtedy zdecydowaliśmy się zemścić, pomścić ich. Uznaliśmy, że potrzebny jest przykład. Znamy tych pięciu odpowiedzialnych za katastrofy. Panoszą się w modnych miejscowościach z luksusowymi ciziami na każdym ramieniu. Kąpią się we wspańiałych basenach wykopanych w ogrodach willi ze snów. Ich prywatne

odrzutowce wożą ich z Nowego Jorku do San Francisco i z Los Angeles do Houston w poszukiwaniu nowych ofiar. Zdecydowaliśmy, że nie mogą oni korzystać z dóbr zdobytych oszustwem, że muszą zginąć. W tym celu poprosiliśmy naszych pięć milionów członków, aby każdy z nich wpłacił nam dodatkową składkę pięćdziesięciu centów. Drobną kwota. Pół dolara...

– Czy sprecyzowaliście im cel tej dodatkowej składki? – zainteresował się Harry Shulz.

– Oczywiście, że nie. To pozostało w obrębie zarządu. Nikt się nie wyłamał. Wszyscy wpłacili. Wcześniej jeden z członków naszego zarządu skontaktował się z pewną organizacją, która podała mu cenę, jaką należy zapłacić za to, o *co* nam chodzi. Po pięćset tysięcy dolarów na oszusta. Następnie zadaliśmy sobie pytanie: *na kogo pierwszego spadnie topór?*

Harry Shulz wysączył ostatnie krople kawy z dna filiżanki.

– Odpowiedzialność pięciu rekinów była jednakowa – kontynuowała Sharon Wood. – Zastosowaliśmy więc porządek alfabetyczny.

– A dlaczego nie cała piątka jednocześnie? – zapytał Harry Shulz.

– Najpierw chcemy zademonstrować powagę naszej Organizacji. Proszę pamiętać, że jesteśmy Stowarzyszeniem Obrony Małych Akcjonariuszy i Drobnych Ciułaczy. Wiemy, co sądzić o oszustach. Zatem wysuwamy naszego pierwszego pionka. Pięćset tysięcy dolarów. Pozostali pójdą za nim, jeśli wynik będzie zgodny z naszymi oczekiwaniami.

– Na kogo więc spadnie topór?

– Na Alexa Blumfelda. Zgromadziliśmy teczkę na jego temat. Przekażę panu jej duplikat.

– Gdzie on zwykle mieszka?

– W Nowym Jorku.

– A pani?

To pytanie ją zaskoczyło. Zamrugła oczami, a pewność siebie, którą dotąd wykazywała, wydała się ją opuszczać.

– O to samo pytał mnie w samochodzie – wtrąciła ponuro Karen Wood, która od początku spotkania nie ruszyła się z kąta, gdzie usiadła.

– Dlaczego chce pan to wiedzieć? – zapytała Sharon Wood niepewnym głosem.

– Z dwóch powodów – odparł Harry Shulz, niewzruszony. – Najpierw, aby otrzymać pozostałą sumę. Przecież tylko połowę wypłaca mi pani gotówką. Chcę wiedzieć, gdzie panią znaleźć, aby uzyskać resztę... –

Przerwał i po chwili dorzucił ironicznie: – Ja też reprezentuję własne Stowarzyszenie Obrony Małych Akcjonariuszy i Drobnych Ciułaczy, z jedynym jej członkiem w mojej osobie. Drugi powód, to ten, że do zrealizowania kontraktu mogę potrzebować dodatkowych informacji. Albo sprawy mogą przedstawiać się inaczej, niż wydaje się to pani dzisiaj. Mogą wystąpić trudności. Nie wiem zresztą... Rozpatruję wszystkie możliwości. W każdym razie muszę mieć jakiś kontakt z panią.

– Jest pan pewien, że to nie po to, by móc później użyć szantażu?

Harry Shulz o mało nie wybuchnął śmiechem, ale powstrzymał się. Zapytał tylko:

– Co powiedział pani członek zarządu o Organizacji, o której wspomniała pani przed chwilą?

– Że jest godna zaufania.

– Dziwię się, że nie przyszedł sam na to spotkanie, zamiast pani, która wydaje mi się tak nieufna...

Zachmurzyła się.

– On nie żyje – odparła cicho, zasmuconym głosem. – Jego córka dała się omotać Blumfeldowi. I potem popełniła samobójstwo. To go wykończyło...

– Rozumiem – skinął głową Harry.

Sharon Wood wstała i skierowała się do stosu polan. Śledził ją wzrokiem. Obie siostry były do siebie podobne, a Sharon, jak ocenił, była starsza od Karen o jakieś dwa, trzy lata. Starsza miała dwadzieścia siedem lat, jak oszacował. Obie były wysokie, szczupłe, o ciemnych włosach i niebieskich oczach, raczej ładne. Były jednakowo ubrane w dzinsy i koszule w kratę, na nogach miały botki z czerwonej skóry na niskich obcasach. Dzinsy, koszule i botki były nowe i Harry Shulz pomyślał, że zostały kupione na tę okazję. Te dwie dziewczyny nie były ze wsi. Potwierdzał to stan ich rąk, wcale nie zniszczonych ciężką pracą w górach Ozark. Na pewno obie mieszkały w mieście.

Sharon dorzuciła kilka polan do pieca, co sprawiło, że wesołe trzaski rozległy się dookoła. Wtedy odwróciła się i stanęła naprzeciw Harry'ego Shulza.

– W tym baraku urodził się mój ojciec – westchnęła. – Pracował ciężko, by wynieść się z gór Ozark i wieść godne życie; chciał także, aby to samo spotkało jego dzieci, gdy żenił się w Little Rock... – Widząc, że

Harry Shulz milczy zasłuchany, mówiła dalej: – Sądził, że mu się to udało i że zgromadził mały kapitał, gdy stał się nagle ofiarą wielkiego oszustwa. Był wdowcem, Karen i ja byłyśmy już pełnoletnie i nie mieszkaliśmy z nim. Popęlnił samobójstwo w Schenectady...

– Po co opowiadasz mi całe nasze życie?! – zaprotestowała Karen ostro. – Zapłać mu, niech wykona swoją robotę i koniec!

Harry Shulz pozostał niewzruszony. Przez chwilę Sharon zawahała się. Jej wzrok wędrował od siostry do Shulza. Uśmiechnęła się jakby przepraszając.

– Karen i ja jesteśmy trochę zdenerwowane... – zaczęła. – Nie codziennie...

– Dlaczego wasz zarząd zlecił ten kontrakt dwóm kobietom?

– Bo jesteśmy jedynymi członkami, których bezpośredni krewny zmarł wskutek oszustwa. Nasz ojciec... Uznali, że będziemy mieć większą motywację...

Odsunął pustą filiżankę i wstał.

– Obawiam się, że macie za dużo wątpliwości – rzucił ostrym tonem. – Zostawmy tę sprawę.

Karen zerwała się jednym skokiem.

– Nie zrobiłyśmy całej tej drogi na darmo! – wykrzyknęła, wściekła. – Wcześniej zgodził się pan, a teraz wycofuje!

Łzy spływały po twarzy dziewczyny. Usiadł, nalał sobie letniej kawy, wrzucił pół kostki cukru i zamieszał, wbijając wzrok w Sharon.

– Proszę mi podać pani dokładny adres – zażądał. Przewyciężyła swe obiekcje i podała mu dane.

– Mieszka pani razem z siostrą?

– Tak.

Zapamiętał adres. 353 Plainfield Road, w Metuchen, w stanie New Jersey. I numer telefonu: nowy, tylko cyfrowy 548-4724 bądź stary, Liberty 8-4724.

– Dobrze. Ma pani pieniądze?

Karen poszła po kuferek, postawiła go na stole i otworzyła wieczko. Harry z nonszalancją policzył paczki. Dwadzieścia pięć po sto banknotów studolarowych. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Sharon przyniosła zieloną teczkę, na której nabazgrano: „Alex BLUMFELD.”

- To duplikat. Jest dla pana.

Wsunął teczkę do kuferka i zamknął go.

Dwie młode kobiety stanęły przed nim trzymając się za ręce. Ich twarze nie miały tego samego wyrazu. Karen wciąż zachowywała swój nadąsany wygląd, podczas gdy Sharon gładziła się po policzku w zamyśleniu. Jej oczy były rozszerzone i wypełnione dziwnym blaskiem wynikającym z obaw i oczekiwań. Po twarzy Harry'ego Shulza przeleciał krótki uśmiech.

- Wiem, jakie są myśli was obu w tym momencie...

- Naprawdę? – odezwała się Sharon.

– Mówicie sobie: nasze dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów zniknie wraz z tym człowiekiem, o którym nie wiemy nic, z chwilą gdy wsiądzie do swojego forda, zapewne skradzionego lub wypożyczonego na fałszywe nazwisko. Jakie mamy gwarancje, że wypełni swoją część kontraktu? Odpowiem wam: nie macie innej gwarancji poza zaufaniem, jakiego udzielać Organizacji, która dawno przestałaby istnieć, gdyby nie wypełniała swych zobowiązań. A w takim układzie członek waszego zarządu, chcąc skontaktować się z nią, nie miałby takiej możliwości. To ze względu na powagę Organizacji słuchy o jej dobrej reputacji dotarły aż do niego. Jakimi kanałami, tego już nie wiem. Ale tak jest. Zagram z wami w otwarte karty. Możecie jeszcze się wycofać. Wtedy zostawiam ten kuferek i wsiadam do forda, nawet bez żądania zwrotu kosztów podróży. Macie wolny wybór. Ale jeśli wybieriecie powierzenie mi kontraktu, przestańcie się niepokoić i pozwólcie mi działać po swojemu.

– Nawet nam pan nie powiedział, kiedy liczy pan na zakończenie sprawy! – zaprotestowała Karen, z wściekłością wypisaną w oczach.

– Muszę najpierw przestudiować te dokumenty, które mi wręczyłyście.

Oczy Sharon wydawały się jakby były namagnesowane. Źrenice miała cały czas rozszerzone. Ich niebieska barwa była prawie szara, jak niebo pokryte śnieżnymi chmurami. Przygryzała dolną wargę. I w jednej chwili ten ruch zatrzymał się, a szczęki usztywniły, wyostrając jeszcze bardziej rysy twarzy.

- Niech pan weźmie kuferek – powiedziała chrapliwym głosem.

ROZDZIAŁ II

BLUMFELD Aleksander, zwany Alexem.

Urodzony: 30. IV. 1925 w Nowym Jorku.

Zawód: finansista.

Kawaler.

Miejsca zamieszkania: Piąta Aleja 812, Nowy Jork.

Falcon's Lair w Beverly Hills, Kalifornia.

Apartament Cesarski w hotelu *Britannia Beach* na Rajskiej Wyspie, Wyspy Bahama.

Apartament Cesarski w hotelu *Escudero* w Acapulco, Meksyk.

Apartament Cesarski w hotelu *Americana* w San Juan de Puerto Rico.

Wymienione apartamenty są wynajmowane na cały rok.

Delray Mansion w Palm Beach, Floryda.

Chinese Cottage na Bermudach.

Ocena jego majątku: 750 milionów dolarów. Przyznaje się do 10 milionów dolarów. Ten jawny majątek jest całkowicie zainwestowany poza terytorium Stanów Zjednoczonych i jest niedostępny dla amerykańskiego urzędu podatkowego oraz dla działań prawnych sądownictwa tego kraju.

Dla zbicia swej fortuny Alex Blumfeld zrujnował ponad sześćset tysięcy małych akcjonariuszy. Działania te spowodowały w ciągu dwudziestu lat czternaście tysięcy trzysta dwa samobójstwa.

Sześćdziesiąt siedem osób, które chciały zemścić się *fizycznie* na osobie Alexa Blumfelda, spotkała śmierć w tajemniczych okolicznościach.

Dwóch prywatnych detektywów z Los Angeles i jednego z Nowego Orleanu, prowadzących śledztwo w sprawie działań Alexa Blumfelda, znaleziono zamordowanych, przy czym policja nie odkryła żadnych śladów dotyczących okoliczności ich śmierci.

Czterokrotnie każdy, kto dzięki liczbie posiadanych akcji sprzeciwiał się przejściu kontroli jakiejś firmy przez Alexa Blumfelda, został wyeliminowany. A zniknięcie tych osób pozostawiło wolne pole dla zainteresowanego. Byli to:

1) Morton Langham. Los Angeles. Czerwiec 1969. Wypadek samochodowy.

2) Jesse McCurry. Las Vegas. Lipiec 1973. Utopił się we własnym basenie.

3) Evan Sherwood. San Francisco. Maj 1978. Żywcem spalony w pożarze własnego domu. Pożar uznany przez policję za podpalenie.

4) Samuel Lippmann. Nowy Jork. Listopad 1979. Zabity trzema pociskami wystrzelonymi w chwili, gdy w swoim aucie stał na czerwonym świetle.

Mimo wysiłków rodzin ofiar nie udało się ustalić żadnych powiązań Blumfelda z tymi wypadkami. Także prywatne agencje detektywistyczne, w których działali dwaj detektywi z Los Angeles i detektyw z Nowego Orleanu, nie były w stanie w kontrśledztwach dotyczących zabójstwa swoich ludzi zgromadzić najmniejszego dowodu przeciwko zainteresowanemu.

Ostatnim krwawym oszustwem Alexa Blumfelda było to związane z Centennial Pictures Corporation, a jego mechanizm był następujący:

W czasie złotego wieku Hollywood organizacja kina była ściśle pionowa. Filmy produkowane przez producentów, scenarzystów, reżyserów, gwiazdy i statystów, nie zapominając o ekipie technicznej, stanowiły własność studia na całej długości sieci dystrybucji aż do kin, w których je wyświetlano i które w większości należały także do wytwórni z Hollywood. Każdy dolar wydawany na film był odzyskiwany na całej długości sieci i po odliczeniu dywidendy natychmiast reinwestowano go. W ten sposób wytwórnie mogły finansować swoje filmy, pewne ich dystrybucji w swych własnych sieciach. Ten system rozciągał się nawet poza granice kraju, głównie na Anglię, ale i Francję, Niemcy i Włochy; szczególnie dotyczyło to Paramounta.

Jednak gdy w Hollywood wybuchł wielki kryzys i wytwórnie zaczęły padać, koniec złotego wieku Hollywood był bliski. Wobec konkurencji telewizji wiele kin zostało zamkniętych i uległo przemianom. Dystrybucja oddzieliła się od produkcji. Narodziła się nowa generacja producentów i reżyserów. Pojawiło się kino *underground*. Stare struktury odeszły w zapomnienie, wspaniałe nazwy, takie jak Metro Goldwyn Mayer przeszły do historii.

Na początku 1978 Alex Blumfeld postanowił przejąć kontrolę nad Centennial Pictures Corporation, wegetującą hollywoodzką wytwórnię filmową.

Tym, który posiadał największą liczbę akcji, pozostając zresztą akcjonariuszem mniejszościowym, był Evan Sherwood. Jego pozycja dawała mu prawo weta i odmówił on wpuszczenia Blumfelda do interesu. Zamierzał sam wykupić akcje, które były celem jego wroga, zgodnie z klauzulą prawa pierwokupu wprowadzoną do statutu. Evan Sherwood spalił się jednak żywcem w pożarze swego domu w maju 1978 roku. Blumfeld kupił wtedy akcje, na które wcześniej miał chęć, i do tego jeszcze udało mu się wykupić akcje zwaśnionych spadkobierców Evana Sherwooda. Tym samym stał się akcjonariuszem większościowym i mógł prowadzić własną politykę, co oznaczało zgodnie z jego słowami: ...*kontynuowanie wszystkiego w kierunku Ósmej Sztuki: Sztuki zarabiania pieniędzy...*

W tym czasie 10 000 akcji wyemitowanych przez Centennial warte były pięćset tysięcy dolarów. Blumfeld miał ich nieco ponad połowę. Akcje te były notowane na Wall Street.

Blumfeld wstrzyknął do interesu pięć milionów dolarów i uruchomił superprodukcję w stylu katastroficznym: *Dzień, w którym księżyc przestąpił słońce*. Film trwał trzy godziny i od razu osiągnął sukces. Wpływy biły wszelkie rekordy kasowe. Został też sprzedany na cały świat. Korzystając z tego sukcesu Blumfeld wypuścił 200.000 akcji publicznych. S.E.C.* zaprotestowała, ale zło już się dokonało. Wrywano sobie akcje po pięćset dolarów za sztukę! Stare lisy z Wall Street nie dały się jednak nabrać. Zlecenia zakupu pochodziły wyłącznie od małych ciułaczy, skuszonych krzykliwą reklamą równocześnie wokół filmu i emisji nowych akcji. Wszystkie akcje rozeszły się w ciągu jednego dnia. Komisja S.E.C. nałożyła na Centennial znaczną karę pieniężną (200.000 dolarów), którą ta zapłaciła bez wahania, jako że kapitał firmy wart był obecnie ponad sto milionów dolarów.

* Securities and Exchange Commission: Komisja Wymiany i Papierów Wartościowych (USA) – organ kontroli regularności operacji giełdowych.

Wówczas, dzięki łapówkom zgrabnie rozdawanym w mediach, Blumfeld spowodował rozgłoszenie wieści, że pewien krewny arabskiego szejka naftowego ma ochotę bez rozgłosu odkupić Centennial, aby wyprodukować film na chwałę Islamu. I rzeczywiście ujrzano w Hollywood kogoś podobnego do beduina, wysiadającego przed biurami firmy Centennial ze wspinałego rolls royce'a. Beduinowi, który zdawał się lakonicznie podchodzić do sprawy – co jeszcze bardziej wzmacniało księżycowe przypuszczenia –

nieodmiennie towarzyszyły dwie wspaniałe blondynki.

Na Wall Street akcja Centennial osiągnęła wtedy wartość 1875 dolarów. Szejk Arabii odkupił przez pośredników pewną ich liczbę. I kurs wzrósł do 2223 dolarów. Równoległe składał też oferty odkupienia akcji radzie nadzorczej wytwórni filmowej. Na oszałamiających warunkach, uzupełnionych klauzulą gwarantującą przejęcie kontroli większościowej. Blumfeld był jedynym przeciwnym. Pozostali członkowie rady błagali go o zgodę na sprzedaż, ale on był niewzruszony w swej decyzji.

W tym czasie jakaś nieznana firma kinematograficzna mieszcząca się w zrujnowanym przez wojnę domową Bejrucie złożyła ofertę sprzedaży scenariusza sławiącego zwycięskie podboje Islamu począwszy od VII-go wieku. Scenariusz przedstawiono szejkowi, który okazał entuzjazm. Firma libańska nie chciała oddać scenariusza, opracowanego jednocześnie po arabsku i po angielsku, poniżej pięciu milionów dolarów. Nie było o czym mówić, Centennial zapłaciła. (Prawdopodobnie za tą firmą z Bejrutu ukrywał się Blumfeld). Aby pozbyć się Blumfelda, jego partnerzy zaferowali mu dwadzieścia milionów dolarów za jego 5150 akcji. Z rozpaczą w sercu, ponieważ nie chce szkodzić moim partnerom ani szerokiej publiczności, która zaufała firmie Centennial, zgadzam się – oświadczył wtedy prasie.

Jego czysty zysk, uwzględniając wpływy z filmu *Dzień, w którym księżyc przestąpił słońce*, zbliżał się do czterdziestu milionów dolarów. W dniu, w którym sprzedał swoje udziały w Centennial, szejk był w podróży w Rio de Janeiro. Stamtąd dwa dni później wsiadł w samolot Air France do Paryża. Wybrał najlepszy hotel, *Concorde-Lafayette*, i po wynajęciu tam wspaniałego apartamentu poszedł rozprostować nogi po bulwarze Gouvion-Saint-Cyr, po czym zaprosił prasę na konferencję. W jej trakcie stwierdził, że Centennial nie była aż tak dobrym interesem, jak sądził, i ogłosił, że rezygnuje z oferty kupna. A następnego dnia rano jego apartament hotelowy był pusty i tyle go widziano.

Konferencja prasowa wywołała panikę na Wall Street. W ogólnym zamieszaniu, na skutek odejścia Blumfelda z Centennial i po oświadczeniu szejka, akcja firmy kinematograficznej spadła do 117 dolarów. Byli partnerzy Blumfelda zwrócili się wówczas, wierząc w szczerą intencję, do banku bejruckiego, który wystawił bankowy list gwarancyjny, jaki szejk tak

wspaniałomyślnie pokazywał w trakcie spotkań z radą nadzorczą. Dowiedzieli się jednak, że bank ten w rzeczywistości jest kupą gruzu, bombardowaną na zmianę przez milicję chrześcijańską i syryjską armię. Ta informacja spowodowała spadek akcji do 43 dolarów, to znaczy na poziom niższy niż wartość, przy której kontrolę nad firmą przejął Blumfeld. Ten ostatni, przezornie schroniwszy się na wyspy Bahama, tryumfował. Czyż nie odmawiał on sprzedaży szejkowi? Czyż nie uległ dopiero pod naciskiem i przymusem?

Komisja S.E.C, przeprowadziła śledztwo, ale nie potrafiła niczego mu zarzucić.

Gdy zakończyła swoje działania, 304 osoby popełniły samobójstwo.

W tym córka członka naszego zarządu, który skontaktował się z waszą organizacją.

W tym mój ojciec.

Sharon Wood.

Harry Shulz odchylił się na oparcie fotela. Pamiętał znak firmowy Centennial z filmów, które nakręciła – zarówno tego jedynego z okresu Blumfelda, jak kilku innych, które powstały później, gdyż firma jeszcze istniała, zredukowana do wielkości, jaką osiągała przed erą Blumfelda. Czarna pantera na głównej gałęzi sekwoi. Co stanowiło symbol powiązany z nazwą, jaką firma przyjęła: Centennial*. Sekwoja była stuletnia. Zaś czarna pantera sugerowała agresywność w interesach – obszar, w którym to Alex Blumfeld okazał się królem.

* Stuletnia.

Jeszcze przed przejrzaniem teczek Blumfelda Harry Shulz sprawdził, że Sharon i Karen Wood nie skłamały. Dowiedział się dyskretnie, że obie kobiety rzeczywiście mieszkały pod numerem 353 na Plainfield Road w Metuchen, w stanie New Jersey. Wspólnie kierowały dość dużym butikiem mody, na Christopher Street, w dzielnicy Village. Chyba miał więc zabezpieczone tyły.

Obecnie należało zabrać się za cel, ale najpierw należało odkryć, gdzie obecnie przebywa. Na podstawie informacji z dokumentów otrzymanych od Sharon Wood, Harry Shulz wytworzył sobie dosyć dokładny obraz osobowości Blumfelda. W sumie dość klasyczny wizerunek człowieka bez skrupułów. Do tego liczne miejsca pobytu: Nowy Jork, Beverly Hills, wyspy Bahama, Acapulco, Bermudy, Palm Beach, San Juan de Puerto Rico.

W którym z nich znajdował się obecnie?

Po zebraniu numerów telefonów siedmiu mieszkań wskazanych w dokumentacji zaczął dzwonić rozpoczynając od tego w Nowym Jorku. Pod numerem 812 na Piątej Alei podejrzliwy głos kobiety odpowiedział, że nie wie, gdzie znajduje się pan Alex Blumfeld. Pracownicy hotelu *Britannia Beach* na Rajskiej Wyspie na Bahamach, hotelu *Escudero* w Acapulco w Meksyku, hotelu *Americana* w San Juan de Puerto Rico odpowiedzieli, że cesarskie apartamenty wynajęte przez pana Alexa Blumfelda na cały rok były obecnie puste. Nikt za to nie zgłosił się, gdy zadzwonił do *Falcon's Lair* w Beverly Hills w Kalifornii, do *Delray Mansion* w Palm Beach na Florydzie i do *Chinese Cottage* na Bermudach.

Przez resztę tego dnia i cały następny wykręcał w nieregularnych odstępach czasu, także w środku nocy, numery do tych rezydencji, gdzie nie było odpowiedzi. Nie dało to jednak żadnego rezultatu.

Kolejnego ranka zdecydował się więc na zmianę taktyki. Po pierwsze, rekin pokroju Blumfelda miał prawdopodobnie jakieś nieznanе lokum na okoliczność wpadki – zawsze możliwej przy tych akrobacjach, które wyprawiał, i przy tych wszystkich nieboszczykach, których samobójstwa i zabójstwa przyniosły mu sukcesy finansowe. Mógł też podróżować akurat w poszukiwaniu owocnego interesu do zrobienia i frajera do oskubania. Był właścicielem prywatnego odrzutowca i na pewno korzystał z niego. Mógł zatem znajdować się właśnie w tej chwili w dowolnym miejscu. Choć należało także rozważyć, czy ci, którzy odbierali telefony, nie skłamałi i Blumfeld nie ukrywał się akurat w Nowym Jorku, na Bahamach, w Acapulco czy w San Juan de Puerto Rico. Zawsze można było poprowadzić obserwację tych czterech miejsc i sprawdzić, czy Blumfeld rzeczywiście tam przebywał, ale istniało ryzyko, że przekształci się to tylko w berka bez końca między jednym a drugim miejscem.

Nie, łatwiej będzie przyciągnąć Blumfelda, nagonić go jak zwierzynę i doprowadzić do określonego miejsca: łowieckiego terenu. Na przykład do Nowego Jorku. Ale jakiej pułapki do tego użyć?

Oczywiście można było rozważyć wejście do ulubionej gry celu i odegrać rolę frajera. Ale to rozwiązanie zakładało mocne argumenty bankowe. Blumfeld był starym lisem. Na pewno nie dałby się omamić przez pierwszego z brzegu dudka bez solidnych podstaw i bez *pedigree*. Blumfeld z pewnością miał armię podwykonawców rozmieszczonych w odpowiednich miejscach i filtrujących kandydatów do oszustwa. Poniżej dziesięciu milionów dolarów

dostawało się kopniaka w tyłek.

Załatwienie sfałszowanych kont bankowych było zbyt trudne lub za długie. A nawet mając je, w jakim kierunku wymierzyć armaty, aby być pewnym, że propozycje interesu zainteresują oszusta?

Zbyt krucha koncepcja.

Był jeszcze ten szejk z Arabii, który posłużył do zorganizowania oszustwa z Centennial. Sto przeciw jednemu, że to fałszywy szejk, do tego Arab albo i nie. Może bezrobotny aktor opłacony przez Blumfelda? Co się z nim stało po tamtej aferze? Zaszył się gdzieś, gdy odebrał swoje królewskie wynagrodzenie? Prawdopodobne. Albo został zamordowany, by uniknąć kłopotliwego świadka...

Udawanie szejka i użycie jego osoby do szantażu na Blumfeldzie, aby zmusić go do przybycia do Nowego Jorku, nie dawało nic, gdyż albo ten szejk został zamordowany i na ten haczyk nikogo się nie złapie, albo też był wśród żywych i Blumfeld wiedział wówczas, jak do niego dotrzeć i sprawdzić realność szantażu. Takie działanie sprowadzało niepotrzebne ryzyko zaalarmowania Blumfelda.

Dobry Boże, jak łowi się rekina o wielkości Alexa Blumfelda?

Powracał wciąż ten sam problem: należało go omamić, ale zbyt nieokreślona była osoba frajera. Ukonkretnienie jej było trudne lub za długie czasowo. Należy o tym zapomnieć. Więc? Zaproponować korzystny interes? Jaki? I czy koniecznie trzeba podsuwać mu ofertę naznaczoną oszustwem? Dlaczego nie uczciwą, legalną, na której Blumfeld skorzysta? Trzeba wyjść z założenia, że nie dokonuje on wyłącznie podejrzanych interesów. Musi przecież wprowadzać pieniądze zdobyte nielegalnie w interesy ultra legalne, tak by móc przyoblec skórę owieczki, osiągnąć poszanowanie, skoro jego fortuna wynosi 750 milionów dolarów. Przecież, poza zamordowaniem Sherwooda w maju 1978 roku, przejęcie kontroli nad firmą Centennial było operacją całkowicie legalną. To dopiero później zaczęło się oszustwo.

Tego ranka Harry Shulz, dobrze usadowiony w fotelu, zamknął oczy i zaczął się zastanawiać.

* * *

W swej pancерnej piwnicy w Tucson, w Arizonie, Jimmy Kodash podziwiał obrazy mistrzów pędzla, których nabycie umożliwiły mu krociowe

zyski. Żył i pracował tylko dla tej jedynej satysfakcji: gromadzenia arcydzieł sztuki malarskiej. Wydawał także wariackie kwoty na skomplikowane instalacje elektryczne dla zapewnienia obrazom możliwie najlepszego oświetlenia.

Z dumą przeglądał kolejny raz swe skarby. Była to, rzecz jasna, mieszanka stylów, ale tym Jimmy Kodash nie przejmował się zbyt. Wszystkie obrazy, epoki, szkoły miały tu rację bytu. Dominowali jednak impresjoniści z Cezannem, Renoirem, Van Goghem, Sisleyem, Pissarro, Manetem, Morisot, Monetem, ale także Szkoła z Barbizon z Rousseau, Dupré, Corotem i Szkoła z Honneur z Jongkindem, Huetem i Daubigny. Do tego fowiści z Rouaultem, Braque'iem, Vlaminckiem i Derainem; Szkoła Paryska z Kislingiem, Soutinem, Pascinem, Chagallem, Modiglianem; Surrealiści: Chirico, Arp, Max Ernst; Szkoła Nowojorska i Tobey, Kline, Still, Rothko, krąg Bateau-Lavoir i jej Gris, Picasso, Gargallo. A do tego jeszcze po jednym obrazie Quentin-Latoura, Watteau, Rembrandta, Vermeera, Courbeta, Raphaëla i Leonarda da Vinci.

Łącznie sto sześćdziesiąt siedem płócien o łącznej wartości sześciu milionów dolarów.

Jimmy Kodash wypiął dumnie tors. Miał dokładnie czterdzieści lat. Od osiemnastu lat gromadził arcydzieła malarskie. I wcale tak źle sobie nie radził! To pieniądze zarobione na kontraktach pozwalały mu na zaspokajanie tej pasji. Niemalą fortunę wydał także na ochronę swych skarbów. Pancerna piwnica w jego domu w Tucson w Arizonie była tak chroniona przed włamaniami jak federalne zapasy złota Stanów Zjednoczonych w Fort Knox!

Oddawał się akurat kolejny raz kontemplacji, gdy gdzieś z głębi domu dotarł do niego dźwięk telefonu. Wyszedł z piwnicy, zamknął ciężkie drzwi uruchamiane elektrycznie po zgaszeniu światła i włączył elektroniczny obwód zabezpieczający, nie zapominając ponownie włączyć systemu alarmowego połączonego z najbliższym posterunkiem policji. Jak zawsze lekko uśmiechnął się ironicznie na myśl o tym, że gliny zapewniały ochronę skarbów nabytych dzięki pieniądзом zarobionym za wykonywanie zamówień.

Następnie wszedł po schodach wzdychając, że cały urok został brutalnie przerwany w chwili, gdy osiągał pełnię rozkoszy intelektualnej.

W salonie podniósł słuchawkę. Od razu poznał głos Harry'ego Shulza i uśmiech rozluźnił jego wargi.

- Gdzie jesteś? – zapytał natychmiast.
- W Nowym Jorku.
- W tym zgniłym mieście? Dlaczego nie przyjedziesz podreperować zdrowia w zdrowym powietrzu Arizony?

– Robota.

Jimmy Kodash skupił się na to słowo. *Robota* oznaczała kontrakt w perspektywie i z pieniędzy zarobionych w ten sposób zakup kolejnego płótna do kolekcji.

– Robota? – zapytał z ciekawością.

– Nie to, co zwykleś robić.

Jimmy Kodash był zawiedziony.

– Poza tym niewiele potrafię...

– Myślę, że to, co mam ci do zaproponowania, będzie ci pasowało.

– Naprawdę?

– Kup bilet powrotny Tucson-Nowy Jork i przyjedź przedyskutować to ze mną. Zwróć ci twoje wydatki.

– Zgoda. Gdzie się spotkamy?

– Zarezerwowałem pokój dla ciebie w *Sherry-Netherland*. Pokój 509. Jutro wieczorem po dwudziestej?

– OK.

Jednocześnie odłożyli słuchawki.

* * *

Jimmy Kodash słuchał z zainteresowaniem. Zawsze podziwiał wyobraźnię Harry'ego Shulza. Właśnie tego brakowało jemu, jak stwierdził z pełną świadomością. Był doskonałym wykonawcą, ale nie był w stanie poprowadzić skoku.

– Jak myślisz to rozegrać? – zapytał.

Dotąd mówił Harry Shulz, z twarzą skierowaną ku oszklonym drzwiom, przez które widać było drapacze chmur Manhattanu. *Sherry-Netherland* znajdował się na rogu Piątej Alei i Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy, na południowo-wschodnim rogu Central Parku. Widać stąd było perspektywę budynków, których struktury zmniejszały się ku krańcowi wyspy.

– Wysyłasz na jego adres w Nowym Jorku telegram zredagowany następująco: *Jestem właścicielem pięciu autentycznych płócien mistrzów z certyfikatami ekspertów. Chcę je sprzedać. Nie mogę tego dokonać*

normalną drogą. Jest Pan zainteresowany? Cena sprzedaży oczywiście uwzględniłaby zrozumienie kupującego. Podkreślam: płótna nie są kradzione. Nabyte całkowicie legalnie. W wypadku zainteresowania na pańskie życzenie przed spotkaniem jestem gotów przelać kolorowe zdjęcia owych płócien plus fotokopie certyfikatów ekspertów plus wszelkie inne żądane informacje. Podkreślam pilność i szczególnie atrakcyjną cenę.

Szeroki uśmiech zarysował się na wargach Jimmy'ego Kodasha.

– Sądziś, że to chwyci?

– Rekin zawsze jest gotów do złapania dobrego interesu. Ponadto autentyczne płótna mistrzów robią wrażenie, a cel potrzebuje szacunku po skandalach, jakie wiązano z jego nazwiskiem. Obraz jest też doskonałą lokatą kapitału w tych niepewnych czasach. Cel będzie uczulony na tę argumentację.

– OK, wysłałem telegram, co dalej?

– Załóżmy, że jest zainteresowany, w przeciwnym przypadku tracilibyśmy czas. Odpowiada na twoją ofertę. Pokój hotelowy zarezerwowałem ci na nazwisko Chetta Dudleya. Na końcu telegramu wypisz to nazwisko i tutejszy adres.

– To na nic, Harry, pudło.

– Dlaczego?

– Wszystkie certyfikaty autentyczności płócien są na moje nazwisko. Co się stanie, jeśli zażąda fotokopii, jak to zapewniam mu w telegramie?

– Przedstawiś mu je. Jesteś Chett Dudley. Działasz w imieniu Jimmy'ego Kodasha i pokazujesz mu upoważnienie, które sam podpiszesz.

– Ale on sobie to nazwisko przypomni później! – zaprotestował Jimmy Kodash.

– Nie, bo przecież będzie martwy.

– To prawda – przyznał Jimmy Kodash wybuchając śmiechem, ale już po chwili szyderczy błysk znów pojawił się w jego oczach. – Niestety, to nie wypali, Harry...

– Dlaczego?

– Jeśli wystąpię jako Chett Dudley, a na certyfikatach autentyczności jest inne nazwisko, będzie podejrzewał, że obrazy zostały skradzione.

– Tym lepiej. Właśnie z tego powodu chcę, żebyś używał tego nazwiska. W przeciwnym przypadku mógłbyś równie dobrze używać prawdziwego. Jeśli wywęszy, że ma do czynienia ze złodziejem obrazów, będzie drżał z zadowolenia, bo wtedy ma szansę nabyć te płótna za jeszcze niższą

cenę! Nie zapominaj o tym, że mamy do czynienia z rekinem, dla którego wyłącznie zysk się liczy. Sam tekst telegramu już go omami, ale zagarnięcie skradzionych obrazów ucieszy go jeszcze bardziej. Pewnie, że jeśli zostały skradzione, nie może ich wystawić na widok publiczny, ale pozostają one świetną lokatą. Wiesz, jak to się odbędzie?

– Jak?

– Zaproponuje ci za nie grosze. I zagrozi, że doniesie policji, jeśli nie wyrazisz zgody.

– Ale ja nie mam najmniejszej ochoty pozbyć się tych obrazów!

– Nie będzie takiej potrzeby. Jedyne, co się liczy, to to żeby pojawił się tutaj, w Nowym Jorku. Od tego momentu będzie praktycznie martwy. To dla ciebie robota na jeden-dwa dni, najwyżej trzy, i dostajesz pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Możesz sobie za to kupić kolejny obraz do kolekcji!

Jimmy Kodash zwilżył wargi.

– Fascynujące – przyznał.

– Jestem pewien, że będzie chciał się z tobą spotkać. Zagraj dobrze swoją rolę. Wyglądaj na przestraszonego, gdy będzie wołał tryumfująco: założę się, że te obrazy zostały skradzione. Znasz przecież takich typów. Przeciągaj sprawę. I wszystko subtelnie. Do czasu, aż ja zadam ostateczny cios...

– Nie martw się, już jestem w skórze tej osoby... Ale chyba nie muszę przywozić moich obrazów do Nowego Jorku?

– Nigdy w życiu! Gdy się z tobą skontaktuje, wystarczy je pokazać na zdjęciach. Postaraj się o dobry aparat i odpowiednie oświetlenie. Wybierz raczej płótna o małych wymiarach, ale podpisane słynnymi nazwiskami i takie, które dobrze wyglądają na zdjęciach. Jaskrawe barwy w stylu Van Gogha. Następnie wyceń je zgodnie z ich faktyczną wartością, zmniejsz to o połowę i taką cenę mu podasz. On dokona rozeznania, aby poznać prawdziwą wartość. To mi zapewni czas na działanie. Potem będzie okres targów i być może gróźb, gdyż ze względu na cenę wyobrazi sobie, że płótna zostały skradzione. Znów czas zyskany dla mnie...

– Bądź pewien, że mimo certyfikatów autentyczności, których fotokopie mu pokażę, zaprosi jeszcze eksperta. Tak postąpiłby każdy stary rekin.

– W tym momencie znikasz, aby przynieść obrazy. Niczego nie żądasz, ani zadatku, ani zaliczki. To wciąż czas pracujący dla mnie.

– Mam już swój mały pomysł, co mu zaproponuję... – Jimmy Kodash coraz bardziej wczuwał się w rolę. – Mieszankę Szkoły Paryskiej i Impresjonistów... *Dziecko w czerwonym fartuszk*u Kislinga; *Zboże i maki* Sisleya; *Widok na stary port* Cezanne'a; *Piknik w Olivet* Foujity i *Żniwa* Renoira...

ROZDZIAŁ III

Mężczyzna działał dokładnie. Tak, jak go nauczono. Wstał wcześniej rano. Materiał wybuchowy miał gotowy, wyposażony w detonator sterowany na odległość impulsem elektronicznym. Urządzenie detonujące leżało na stole i wyglądem przypominało zegarek kieszonkowy, jaki można było jeszcze znaleźć w antykwariatach. Nie brakowało nawet długiej dewizki wyglądającej na posrebrzaną. Jednak, w przeciwieństwie do cyferblatu zegarka, ten miał podziałkę stuczęściową i pojedynczą wskazówkę uruchamianą gałką. Wystarczyło nosić trzyczęściowy garnitur *demi-saison* i po zawieszeniu kółka od dewizki na jednym z guzików wsunąć do jednej z kieszonek kamizelki dużą cebulę, aby mieć wygląd retro. W końcu ekscentryczność była teraz w modzie i na różne dziwactwa nikt już nie zwracał uwagi.

Mężczyzna nie zadał sobie nawet trudu napisania jakiegoś zmyślnego adresu na grubej miękkiej kopercie i nie nakleił znaczków na jej wierzchu. Uznał to za zbędny szczegół. List ten nie dotrze przecież do żadnego odbiorcy. Materiał wybuchowy miał kształt minikasyety. Wsunął go do koperty i dokładnie obkleił taśmą. Śmiercionośna przesyłka była gotowa. Jeśli chodzi o pory wybierania poczty ze skrzynki, to miał wystarczający zapas czasu. Odbywało się to co trzy godziny, a czas, w którym musiał wykonać zadanie, wynosił jedynie czterdzieści pięć minut.

Wstał, skończył się ubierać, wypił kilka filiżanek mocnej kawy, skubiąc przy tym naleśniki z syropem klonowym, dokładnie umył ręce i schował do kieszonki kamizelki fałszywy zegarek. Włożył pod pachę grubą kopertę i opuścił swój bungalow z kuchenką, który wynajął w tym motelu w San Fernando. Jego monza stała tuż przed drzwiami. Usiadł za kierownicą i ruszył. Bez przeszkód dotarł do North Hollywood i przez Hollywood Freeway skierował się ku południowemu wschodowi aż do Santa Monica Boulevard. Stamtąd dojechał do Van Ness Avenue; gdzie znajdowały się

studia Centennial Pictures Corporation. Inne mniej lub bardziej znane wytwórnie też tu się mieściły. Desil i Paramount na południe od cmentarza Hollywood, Columbia w Fountain Avenue, zaś 20th Century Fox na Bulwarze Zachodzącego Słońca.

Jakiś chrysler odbił od chodnika. Szybko zaparkował monzę na zwolnionym miejscu i wysiadł z kopertą pod pachą. Sumiennie wprowadził monety w nacięcie parkometru, aby zapewnić sobie maksymalne czterdzieści pięć minut zezwolonego parkowania, przeszedł przez jezdnię na światłach i ruszył drugim chodnikiem w kierunku niebieskiej skrzynki z napisem US Mail. Gdy znalazł się przy niej, uniósł klapę i wsunął kopertę przez szeroki otwór. Wrócił tą samą drogą i wsiadł do monzy. Machinalnie nacisnął przycisk radia. Edna Orville śpiewała ze swym słodkim południowym akcentem w takt rockowego kawałka. Istna rozkosz.

W takt piosenki zaczął palcami wybijać rytm na kierownicy, nie zdając sobie sprawy, że spontaniczność tego działania zdradza jego zniecierpliwienie.

Ken Reilly był zawsze punktualny. Wymagał tego zresztą regulamin studia. Amatorszczyzna była wykluczona, jeśli chciało się zrobić karierę w przemyśle filmowym. Dziewiąta rano to dziewiąta rano, a nie inaczej. I tak dobrze, że przy wejściu do wytwórni nie zainstalowano zegara kontrolnego. Ken Reilly pilnował, by nie narazić się na sankcje, polegające na karach pieniężnych, za nieuzasadnione spóźnienie. Przezornie wynajął nawet mieszkanie tuż przy wytwórni, aby jego punktualności nic nie przeszkodziło. Wychodząc rano z domu niezmiennie strzelał sobie w *Peter's Bar* dwa piwa, zawsze Budweisera. Zajmowało mu to kwadrans i za pięć dziewiąta wkraczał do Centennial Pictures Corporation, nazywanej przez wtajemniczonych C.P.C. Oczywiście nie miała ona już takiego blasku, jaki nadał jej Alex Blumfeld dwa lata wcześniej, ale broniła się jeszcze niektórymi uczciwymi produkcjami, które sieci telewizyjne kupowały odeń bez problemów.

Zdarzało się jednak, że Ken Reilly pojawiał się i wcześniej, i później. Najwcześniej była to za dwadzieścia dziewiąta, a najpóźniej dwadzieścia pięć po dziewiątej. Z tego właśnie powodu człowiek czekający w monzie ustalił sobie przedział czterdziestu pięciu minut między dwoma terminami wybierania poczty. Pierwszym była godzina siódma, następny miał nastąpić o dziesiątej. Wystarczający odstęp czasu. Nawet gdyby Ken Reilly

z jakichś względów przyszedł, za zgodą wytwórni, dwadzieścia pięć po dziewiątej, to wciąż istniał odstęp trzydziestu pięciu minut przed następnym opróżnianiem skrzynki.

Ednę Orville zastąpiły teksty reklamowe:

...Nie musisz się już martwić. Spokojnie możesz oglądać swój ulubiony program telewizyjny. Nigdy więcej uciążliwych przepisów kulinarnych, nigdy więcej zmywania naczyń, a do tego olbrzymia oszczędność w kosztach twoich posiłków. Kup półmisek tele-obiadowy Super Food. Tylko pięć minut w piekarniku twojej elektrycznej kuchenki i już jest gorący. Zdejmujesz aluminiową folię i delikatny aromat wspaniałej potrawy przyjemnie łaskocze twoje nozdrza... Zapamiętaj: Super Food wyłącznie dla smakoszy!

Tu stacja N.B.C, z Los Angeles. A teraz mamy dla was informację specjalną od Warrena Rosenbauma... Mówi do was Warren Rosenbaum. To koniec... Tak, to koniec. Tajemnica została wyjaśniona. Tragedia, która tak okrutnie uderzyła w Nowy Jork, kończy się we krwi. We krwi zalewającej marne mieszkanie na Manhattanie, na Pięćdziesiątej Ulicy, między Broadwayem i Siódmą Aleją. Służby bezpieczeństwa i policji federalnej czuwały nad wszystkim. Drobiazgowo śledztwo, prowadzone na obszarze całego kraju, pozwoliło szybko zdemaskować rewolucyjną organizację odpowiedzialną za te ohydne zbrodnie. Ci nędznicy, w większości cudzoziemcy, za cel postawili sobie wprowadzenie anarchii na całym świecie i wybrali jako teren próbny Stany Zjednoczone.

Wcześniej wyeliminowano czterech bandytów, ale władze utrzymywały to w tajemnicy, aby nie zaalarmować ich współników.

Dzisiaj rano przeprowadzono ostateczny atak. Korzystając ze spotkania pozostałych członków organizacji w pewnym mieszkaniu na Pięćdziesiątej Ulicy, które zapewne służyło im za sztab, agenci F.B.I. wtargnęli na miejsce zbiórki. Wobec pojawienia się oporu...

Mężczyzna w monzie zmienił fałę. Wszędzie rządziła przemoc. Czyja to wina? – pomyślał gorzko. – W każdym razie nie ofiar...

Kolejna stacja podawała akurat prognozy meteorologiczne. Znów ją zmienił i złapał tym razem Boba Dylana i Paula Ankę, a po nich wystąpili Simon i Garfunkel.

Mężczyzna siedzący w monzie słuchał z roztargnieniem, zwracając jednocześnie uwagę na ulicę. Spojrzał na zegarek. Ósma czterdzieści sześć.

Ken Reilly powinien się niedługo ukazać. Po chwili widział już w oddali wysoką sylwetkę o twarzy wspaniale opalanej i o czarnych włosach lekko przyprószonych siwizną na skroniach. Rozpoznawano go, uśmiechano się doń, a on odpowiadał krótkimi pochyleniami głowy, ukłon w lewo, ukłon w prawo, zarozumiały uśmiech przyklejony do zbyt czerwonych i zbyt zmysłowych ust. Szedł mechanicznym krokiem trawiąc dwa wypite Budweisery, przesuając do przodu swe ciało ubezpieczone przez C.P.C, dla potrzeb filmu, w którym grał dla niej, na milion dolarów; jego plecy dźwigały ciężar sukcesów kinowych minionego dwudziestolecia.

– Niewiele brakuje, żeby nad jego głową unosiła się aureola! – zamruczał ze złością mężczyzna w monzie.

Nienawidził go, tak, naprawdę nienawidził go. Kobiety uznawały, że jest piękny jak bóstwo. To oburzające! Był banalny, nic więcej. Jego chwyt polegał na pieprzeniu po cichu żon producentów. Dzięki czemu uzyskiwał role. Poza tym, jako aktor był mdły, bezbarwny, niezdolny do odtwarzania rozbudowanej roli, wręcz niezdatny jak jakiś debiutant... Jaki aktor był bardziej przechwalony od Kena Reilly'ego?

Ile miał lat? Jego biografowie nie byli zgodni. On sam przyznawał się do trzydziestu dziewięciu. Bzdura! Skoro pierwszy jego film pochodził z 1960 roku i już wówczas miał co najmniej trzydziestkę! Gnojek! Wszystko po to, aby przelecieć małe idiotki, które padały przed nim z zachwytu! Jedną taką stała akurat obok niebieskiej skrzynki z napisem „US Mail” i była rozanielona na sam widok IDOLA! Kretynka!... Już pewnie podniecała się na myśl ujrzenia siebie w jakimś filmie, na golasa, w dekoracjach hollywoodzkiego pokoju, w trakcie skakania po niej supersamca...

Skakania... Tak, tak, zaraz podskoczy, jeśli nie spłynie stamtąd, nie odejdzie od tej skrzynki pocztowej ustawionej przy chodniku. A może ona już wcześniej zwróciła uwagę na tę sztukę swojego idola? Przecież za każdym razem, gdy szedł do studia C.P.C, zatrzymywał się w tym miejscu. Wyjmował z kieszeni lusterko w ramce ze sztywnej skóry, które ustawiał na skrzynce pocztowej, a po nim przychodziła kolej na grzebyk. To był jego rytuał. Prawdziwy narcyz. Czupryna mogła być już nieskazitelnie uczesana, ale nie o to przecież chodziło. Musiał pomachać grzebieniem przed olśnionymi przechodniami. Narcyz... A może wieczny zalękniony? Za późno, aby nad tym debatować.

Kretynka nie odchodziła. Tym gorzej dla niej. Zresztą, czy taka głupia gęś zasługiwała na życie?

IDOL zatrzymał się przed skrzynką pocztową z napisem „US Mail”. Stały ceremoniał. Lusterko i grzebyk kieszonkowy. Lekkie zgięcie kolana, pochylenie do przodu, żeby lepiej widzieć, grzebień między kciukiem i palcem wskazującym. Ruch nadgarstka ku górze, aby wysunąć z marynarki rękaw koszuli ze spinką o wielkości korka od karafki – wykonaną z prawdziwego diamentu, jak głosi plotka. Kretynka ślini się. Grzebie w torebce. Poprosi go o autograf? TAK!... Wyciąga notesik, długopis, nieśmiało zbliża się do swego bóstwa, kolana miękkie od emocji, w gardle sucho. On, niewzruszony, zaznacza przedziałek z lewej strony. Uważa, że to jego najlepszy profil. W ramach miliona dolarów ubezpieczenia na ile oceniany jest najlepszy profil? – zastanawiał się mężczyzna w monzie. Bonzowie z towarzystwa ubezpieczeniowego żyli jeszcze w błogiej nieświadomości faktu, że ich wpływy w bieżącym okresie obrachunkowym zostaną obcięte o milion dolarów, jaki będą zmuszeni wypłacić C.P.C. dla zrekompensowania straty gwiazdora ich wytwórni. Szlag ich trafi, ale przecież towarzystwa ubezpieczeniowe są kierowane przez rekinów wysokiego szczebla...

Pociągnął za dewizkę i wyciągnął fałszywy zegarek kieszonkowy z kieszonki kamizelki. Jego kciuk pogłaskała delikatnie gałkę. Rozkoszował się obecną chwilą; to był szczytowy moment akcji, dreszcze przechodziły mu po plecach. Słyszał, jak gulgotanie podchodzi mu do jelit. Mój Boże, jakie to boskie! W ciągu ostatniej dekady elektronika dokonała piorunujących postępów, ale czy była w stanie zmierzyć potęgę napięcia tej chwili oddzielającej życie od śmierci? Raczej nie. W uszach mu gwizdało, a tam niewzruszony Ken Reilly z namaszczeniem używał grzebienia, nieświadom czyhającego nań niebezpieczeństwa. Teraz kretynka opierała się o niego, uległa mu, już wręcz niewolnica. Podawała swój notesik, długopis, coś mówiła. Jeszcze trochę, a uniesie spódnicę, zaferuje mu siebie. Nie, zdecydowanie takie gęsi nie zasługują na to, aby żyć!

Napięcie stawało się nie do zniesienia. Należało działać. Mężczyzna w monzie położył się na podłodze pojazdu, aby uchronić się przed odłamkami eksplozji, a jego kciuk nacisnął gałkę.

Tam na chodniku niebieska skrzynka z napisem „US Mail” została rozrzucona na miliardy śmiercionośnych kawałeczków, które rozszarpały Ken Reilly'ego i jego młodziutką adoratorkę, a razem z nimi siedmiu

przechodniów. Żelazne drzwi, otwierające się na wytwórnię Centennial Pictures Corporation, wyrwane z zawiasów wygięły się, rozerwały i opadły, przygniatając pod swym ciężarem strażnika w szarym mundurze kontrolującego wchodzących. Pewien kierowca, zaskoczony eksplozją, utracił kontrolę nad autem, które wjechało na chodnik rozbijając witrynę kwia-ciarni.

Mężczyzna w monzie ponownie usiadł za kierownicą. Włączył silnik i manewrując odbił od krawężnika. Należało zniknąć stąd, nim po jawią się strażacy i policja. Nacisnął klakson i ominął z piskiem po jazdy, które hamowały w miejscu.

Dopiero po osiągnięciu Crescent Heights Boulevard westchnął z ulgą. Wyjął chustkę i otarł nią czoło. Dalej musi pojechać w kierunku południowym, aż do Santa Monica Freeway i Golden State Freeway, która doprowadzi go na północ przez okręgi Boyle Heights, Highland Park i Glendale. Stamtąd było już blisko do motelu w San Fernando.

Ciepłe kalifornijskie słońce zdołało przedrzeć się przez przednią szybę, mimo jej zabarwienia. Mężczyzna w monzie uśmiechnął się. Przeżył, Cathy i Billy także. A Ken Reilly był już martwy. Jak inni przed nim. Jak ci, którzy będą następnymi. Życie jest piękne. Przemoc rządzi światem, ale to nie z winy ofiar, na pewno nie z winy ofiar...

ROZDZIAŁ IV

Jimmy Kodash od razu poczuł antypatię do Alexa Blumfelda. Fizycznie nic nie można było mu zarzucić, ale tym, co natychmiast zjeżyło Jimmy'ego, była wyniosłość, to zadzieranie nosa, ta pogarda, którą się afiszował. A także ten przebiegły, skryty błysk w oku, jakby już wiedział, że oszuka swego rozmówcę, jak wszystkich innych frajerów, których okiwał w przeszłości.

Harry Shulz nie pomylił się. Telegram zrobił swoje. Blumfeld szybko wrócił do Nowego Jorku i umówił się z nim na spotkanie w nędznym biurze na Siódmej Alei, w pobliżu Garment Center. Lokal prawdopodobnie wchodził w skład sieci podobnych biur skrywających różne tajemne działania rekina. Telefonistka-sekretarka-stenotypistka w jednej osobie i mętny woźny-człowiek do wszystkiego-ochroniarz do kompletu. Telefon i funkcjonalne meble odkupione ze zniżką.

Miedziana tabliczka z napisem *Calxon* nie oznaczająca niczego. Pełna anonimowość. Gdy sprawy zaczynały się psuć, można było zniknąć bez śladu. Oboje pracowników przerzucało się do Chicago, Nowego Orleanu lub Los Angeles i po kłopotcie.

Fotel był kulawy, a metalowy blat biurka zakurzony. Blumfeld raczej rzadko posługiwał się tym lokalem. Zresztą właśnie usiadł unikając opierania łokci o blat.

– Mam nadzieję, że traktuje pan interesy poważnie – zaczął butnym tonem – i nie zwraca mi głowy na próżno?

Jimmy Kodash zaprezentował swój najbardziej uwodzicielski uśmiech, taki, jaki miał na ustach, gdy sprzedawca mistrzowskiego płótna był oporny w trakcie targowania się o cenę.

– Całkiem poważnie i mogę pana zapewnić, że nie traci pan ze mną czasu!

– Dobrze, o co chodzi?

– *Dziecko w czerwonym fartuszk*u Kislinga; *Żniwa* Renoira; *Widok na stary port* Cezanne'a; *Zboże i maki* Sisleya; *Piknik w Olivet* Foujity.

Blumfeld posunął notes i pisak w kierunku swego rozmówcy.

– Proszę mi to napisać.

Jimmy Kodash pokręcił głową.

– Nigdy niczego nie piszę. Ja wszystko mam w głowie. Jeśli panu pamięć szwankuje, niech pan sam zapisze.

Przesunął notes i mazak w kierunku Blumfelda. Na kurzu pokrywającym metalowy blat biurka oba ruchy pozostawiły ciemniejsze ślady, jak ślad sanek na śniegu. Blumfeld ledwo zamrugał. Ten sposób prowadzenia rozmowy powinien mu się podobać – pomyślał Jimmy Kodash.

– Zgoda, proszę mi to powtórzyć.

Kodash powtórzył.

– A więc – zaczął Blumfeld odkładając pisak – chce pan sprzedać te pięć płócien. Jaką one mają wartość na rynku?

– Pozwoli pan, że najpierw podam ich wymiary. Wszystkie mają po 92 x 73.

– Czego? Cali?

– Centymetrów. Cezanne wart jest 400.000 dolarów, Kisling 25.000, Renoir 350.000, Sisley 130.000, a Foujita 60.000. Łącznie 965.000 dolarów.

- A chce pan za nie?
- Nieco mniej niż połowę: 475.000 dolarów.
- Ma pan certyfikaty autentyczności?

Jimmy Kodash otworzył swoją skórzaną teczkę, wyjął z niej fotokopie i przesunął je po biurku aż do Blumfelda. Ten obejrzał je uważnie.

- Rozumiem, że są to oryginały?
- Oczywiście.
- A zdjęcia?

Jimmy Kodash znów pogrzebał w teczce.

- Oto one.

Blumfeld rozsiadł się wygodnie w swym obracającym fotelu i zaczął przeglądać prostokąty błyszczącego papieru.

- Pan jest koneserem? – zapytał Jimmy Kodash obojętnym tonem.
- Oczywiście, w przeciwnym przypadku dlaczego miałbym interesować się tymi obrazami?
- Wobec tego co pan sądzi o tych arcydziełach?
- Piękne barwy.

Jimmy Kodash wiedział, że było to kłamstwo. W rzeczywistości wręcz słyszał, jak tryby w mózgu jego rozmówcy grają ze sobą w kości i klekoczą zderzając się wzajemnie w miejscu styku mieszanych uczuć: nieufności, chytryści, chciwości, pychy, podejrzeń, pogardy...

– A co sądzi pan o impresjonście Kislingu? – rzucił zastawiając się na Blumfelda, ponieważ nikt nigdy nie zaklasyfikował Kislinga do impresjonistów.

- Nie jestem jego fanem... – odparł tamten ostrożnie.
- Dlatego że jego płótno jest najtańsze spośród tych, które panu oferuje? Widzi pan, cena niekoniecznie jest kryterium jakości, dodatnim lub ujemnym. Podlega ona prawom popytu i podaży, a te z kolei często podlegają modzie.

Blumfeld odsunął zdjęcia.

- A jakiemu działaniu *pan podlega* proponując mi zakup tych obrazów za pół ceny? – odpowiedział ostrym głosem.
- Działaniu związanemu z moim bezpieczeństwem osobistym.
- Proszę wyraźniej.
- Wyraźniej naruszyłoby właśnie moje osobiste bezpieczeństwo.

– Dlaczego zwrócił się pan do mnie, a nie do kogoś innego? Dlaczego pan mnie wybrał?

– Bo pan jest rekinem w interesach. – Żaden muskuł nie drgnął w twarzy Blumfelda. – Chodzą słuchy, że jest pan człowiekiem bez skrupułów powodowanym jedynie pieniędzmi, zyskiem i że jest pan gotów zrobić wszystko, aby osiągnąć swe cele. Człowiek pańskiego pokroju jest w stanie zrozumieć mój język...

– Jaki język?

– Kupić za pół ceny płótna mistrzów warte 965.000 dolarów, bez zadawania pytań.

– To nie takie proste.

– Dlaczego?

– Na przykład, jak wyjaśni pan, że obrazy zostały uwierzytelnione certyfikatem wystawionym dla niejakiego Jimmy'ego Kodasha, podczas gdy pan przedstawia się jako Chett Dudley?

– Jestem przedstawicielem nie mogącego się tu pojawić pana Kodasha i działam jako pośrednik. Oto jego pełnomocnictwo. – Wyjął ze skórzanej teczki kartkę papieru i podał ją Blumfeldowi. – Proszę zauważyć, że podpis pana Kodasha jest identyczny z jego podpisem na certyfikatach autentyczności...

– Pod warunkiem, że same te certyfikaty są autentyczne.

– Ma pan jakieś podejrzenia odnośnie tych płócien?

Blumfeld oparł się o oparcie swego fotela i przebiegły uśmiech pojawił się na jego wargach.

– Panie Dudley, albo jakie by nie było pańskie prawdziwe nazwisko, dwie ewentualności przychodzą mi na myśl. Albo obrazy, które pan oferuje, są fałszywe, albo prawdziwe. W pierwszym przypadku sprawa jest jasna, oczywiście nie jestem zainteresowany. W drugim wariantcie są dwie możliwości: albo interes, który pan proponuje, jest legalny, albo nie jest. Jeśli jest legalny, nie ma problemu, analizuję go. Jeśli nie jest, mam dwie hipotezy: pan ukradł te obrazy lub to ten tajemniczy pan Kodash je ukradł.

– W którym kierunku pan się skłania?

– Obrazy zostały skradzione przez pana, albo przez pana Kodasha.

– Co znaczyłoby w konsekwencji?

– Znaczne obniżenie ceny dla ich nabycia.

– Czyż nie mówiłem przed chwilą, że jest pan człowiekiem bez skrupułów?

– Pański moralizatorski ton staje się nieco denerwujący. Proszę zatem trzymać nerwy na wodzy...

– W pełni kontroluję moje nerwy. Przede wszystkim, te obrazy nie zostały skradzione, lecz tak się składa, że pan Kodash pilnie potrzebuje gotówki. A pieniądze za te płótna w żadnym wypadku nie mogą przechodzić oficjalnymi drogami, bankowymi lub innymi. Nie mogą także istnieć żadne ślady transakcji. Oczekujemy, pan Kodash i ja, światłego amatora, prywatnego kolekcjonera, który zamknie te obrazy w dyskretnym miejscu...

– Aby nie zadawano pytań na temat ich proveniencji? A jeśli kupujący zechce je ponownie sprzedać?

– To jego sprawa.

– Pańskie warunki zakładają pięćdziesięcioprocentowy rabat w stosunku do ceny wymienianej przed chwilą. Powiedzmy około 230.000 dolarów przy pewnej dozie szczodrości. I wciąż pod warunkiem, że obrazy są autentyczne.

– Ma pan certyfikaty, które o tym świadczą.

– Certyfikaty autentyczności mogą być tak samo fałszywe, jak obrazy!

– A więc znajdujemy się w impasie.

– Wcale nie. Proponuję, abyśmy odwołali się do ekspertów, którzy uwierzytelnią pańskie obrazy.

– Do ekspertów?

– Ma pan te obrazy ze sobą, tutaj w Nowym Jorku?

– To pan Kodash je ma. Trzyma je w zaufanym miejscu, poza Nowym Jorkiem.

– Proszę dostarczyć je tutaj i uprzedzić mnie, gdy tylko znajdą się w pańskim posiadaniu. W międzyczasie skontaktuję się z ekspertami i dowiem się wszystkiego co do ich wartości.

Jimmy Kodash wstając zebrał z zakurzonego biurka wszystkie dokumenty.

– Zgoda – rzucił na koniec.

– Ile czasu panu to zajmie? – chciał wiedzieć Blumfeld.

– Kilka dni.

– Aż tyle? Miałem nadzieję, że jutro...

– To niemożliwe. Sprawa wymaga trochę zabiegów...

– Sądziłem, że potrzebuje pan pieniędzy natychmiast – skontrował Blumfeld z chytrym błyskiem w oku.

– Mamy dziś poniedziałek. Zadzwońię do pana w piątek rano.

Blumfeld wyrwał z notesu kartkę, na której zapisał dane mistrzowskich płócien, złożył ją i schował do kieszeni, po czym na innej kartce nabazgrał coś i podał Kodashowi.

– Na ten numer. Tutaj, do *Calxonu*. Gdyby mnie nie było, proszę zostawić swoje nazwisko telefonistce i powiedzieć, gdzie można do pana zadzwonić.

Kodash włożył do skórzanej teczki odebrane dokumenty oraz kartkę papieru.

– W piątek rano – powtórzył pewnym głosem. – Proszę na mnie liczyć. Niezależnie od kwoty, na którą się zgodzimy, wymagam zapłaty wyłącznie w banknotach pięćdziesięciodolarowych, używanych. Jeśli pan boi się nadziać na fałszywe obrazy, ja obawiam się, że zostanę na lodzie, a przy takim starym rozbójniku jak pan ryzyko jest znaczne!

Wziął teczkę pod pachę i ruszył ku drzwiom. Telefonistka-sekretarka-stenotypistka i woźny-człowiek do wszystkiego-ochroniarz popatrzyli na niego znudzonym i naburmuszonym wzrokiem, kiedy ich mijali. Gdy znalazł się już na chodniku na Siódmej Alei, pieszo ruszył w kierunku południowym. Nie można było wykluczyć, że Blumfeld kazał go śledzić. Należało więc utwierdzić ewentualnego ogona, że zachowuje się normalnie. W szczególności zaraz po spotkaniu nie powinien wpadać do budki telefonicznej, gdyż mogło to stanowić podejrzany ruch w oczach osób hipernieufnych, nawet przy założeniu, że dzwoni do posiadacza obrazów.

Powłóczył się zatem przy witrynach, a następnie dotarł do Dwudziestej Ósmej Ulicy, przywołał taksówkę i kazał się zawieźć do Muzeum Sztuki Nowoczesnej na Pięćdziesiątą Trzecią Zachodnią. Muzeum miało podziemie, parter oraz trzy piętra. W podziemiu znajdowały się audytorium i sala widowiskowa. Parter nie interesował Jimmy'ego Kodasha, gdyż umieszczono tam jedynie biuro informacyjne, czytelnie i restaurację. Trzecie piętro ze swoją biblioteką i filmoteką zawierającą sześć tysięcy kopii filmów także go nie przyciągało. W gruncie rzeczy uznawał jedynie pierwsze i drugie piętro. To tam eksponowano obrazy należące do wielkich tendencji malarskich XIX i XX wieku.

Na pierwszym piętrze po raz tysięczny wpadł w zachwyt przed *Topolami w Giverny* Claude'a Moneta, *Martwą naturą z trzema pieskami* Paula

Gauguina i *Ciszą* Odilona Redona. Niezależnie od emocji artystycznych, które przeżywał, grał na rozkaz Harry'ego Shulza rolę konesera malarstwa oferującego sobie rozkosz wizualną. Wszystko to w celu uwiarygodnienia osobowości, którą odgrywał przed Blumfeldem. A ponieważ był tu już z przyczyn profesjonalnych, obiecał sobie skorzystać z takiej gratki. Krok po kroku, z okiem zawieszonym na każdym kolejnym dziele, które jego wzrok z żalem opuszczał, przechodził od obrazu do obrazu, od Degasa do Renoira, od *Czarnego zamku* Seurata do *Chrystusa wydrwionego przez żołnierzy* Rouaulta. Na drugim piętrze muzeum – przydzielonym ekspresjonizmowi, dadaizmowi, kubizmowi i surrealizmowi – przesuwiał się między płótnami Chagalla, Picabii, Dali'ego, Magritte'a, Ernsta, Tanguya i Miro. Ale jego wprawne oko nie zachwycało się wyłącznie dziełami sztuki, równolegle próbował wykryć, czy nie jest śledzony. Jak na razie wszystko grało. Nie mógł sobie jednak pozwolić na dzwonienie do Harry'ego Shulza z pokoju 509 w *Sherry-Netherland* wynajętego na nazwisko Chetta Dudleya, ani odebrać telefonu od niego. Blumfeld znał jego nazwisko i adres i pokój mógł być już na podsłuchu.

Dlatego Jimmy Kodash wszedł aż na trzecie piętro. Puszczano tam na okrągło filmy z kinoteki. Wąskie schody prowadziły do kabiny projekcyjnej. Gdy tylko do niej wszedł, operator zagroził mu drogę: – Panie! Tu wstęp wzbroniony!

Darling, I love you more than anyone in the world!... – Charles Boyer ze swym wspaniałym francuskim akcentem deklarował swą miłość Irenie Dunne w *Ona i On*, a jego głos głośno rezonował w kabinie.

Jimmy Kodash szybko wcisnął banknot pięćdziesięciodolarowy w dłoń operatora, po czym odepchnął go lekko, mówiąc:

– Pięćdziesiąt zetonów, stary. Muszę pilnie zadzwonić. Właśnie sobie o tym przypominałem.

Równocześnie zdjął słuchawkę z widełek i nakręcił numer telefonu podany przez Harry'ego Shulza. Ten odezwał się po pierwszym sygnale: – Słucham?

– Załapał – krótko rzucił Jimmy Kodash. – Masz czas do piątku, aby załatwić sprawę.

– Dobra robota. Reszta jak uzgodnione?

– Jasne. *Ciao*.

Powiesił słuchawkę i poklepał operatora po ramieniu.

- Wolę tę drugą wersję *Ona i On*. Tę z Carym Grantem i Deborah Kerr. Macie ją w waszych archiwach?
- Jasne – potwierdził tamten zdziwiony.
- Puści mi ją pan następnym razem, jak będę miał pilny telefon do dziwki...

Po tych słowach zszedł wąskimi schodami na dół. Nie zauważył nikogo podejrzanego w okolicy.

ROZDZIAŁ V

Harry Shulz zaparkował swojego chevroleta Caprice wzdłuż chodnika esplanady. Na piaszczystym pasie oddzielającym jezdnię od metalowej siatki zasłaniającej dostęp do miejskiej autostrady dzieci grały w piłkę, wznosząc ogłuszające okrzyki. Trochę dalej dwaj włóczędzy jedli bułkę na ławce. Za siatką i za miejską autostradą, w dole, widać było szare wody Narrows, które przecinały przysadziste statki ciągnięte przez holowniki w kierunku nadbrzeży Manhattanu. Po lewej stronie most Verrazzano Narrows wznosił się nad wodami zatoki swą gigantyczną masą, łącząc Brooklyn ze Staten Island.

Harry Shulz wysiadł z wozu, dokładnie zamknął drzwi, gdyż znał požalowania godne obyczaje panujące w jego rodzinnym mieście, i poszedł do tyłu otworzyć bagażnik. Wyjął stamtąd paczki i przebiegł przez jezdnię na chodnik naprzeciwko esplanady.

Znajdował się na Shore Road, spokojnej arterii Brooklynu, biegnącej w odległości trzystu metrów wzdłuż brzegu. Pieszko ruszył w kierunku południowym do Dziewięćdziesiątej Piątej Ulicy, która właśnie tam kończyła się prostopadłe, biegnąc prosto od stacji metra na Dziewięćdziesiątej Piątej Ulicy róg Czwartej Alei, gdzie znajdowała się końcowa stacja linii RR łączącej południowy Brooklyn z Manhattanem.

W tym miejscu domy nie miały już zamożnego wyglądu, jak te bardziej na północ od Shore Road. Mieszkała tu ludność niezamożna, lecz otoczenie było czyste mimo złej reputacji, z której słynął Brooklyn, i mimo notorycznego uchylania się od swych obowiązków służb miejskich, które strajkowały bez przerwy.

Harry Shulz skręcił w Dziewięćdziesiątą Piątą Ulicę, przeszedł jeszcze

kilka metrów i zatrzymał się przed jednopiętrowym domem z wąską fasadą. Wszedł po pięciu stopniach schodów prowadzących od chodnika i zadzwonił. Jakiś samochód przemknął z piskiem w tym momencie po ulicy i Harry odruchowo odwrócił głowę.

Na dzwonek nie było reakcji. Znow naciśnął guzik i przytrzymał go dłużej, zerkając na zegarek. O tej porze najmłodsze, Daphne i Gloria, odpowiednio trzynaście i dziesięć lat, wracały ze szkoły i Mary Scarazella za nic w świecie nie odstąpiłaby od niezmiennego rytuału: przygotowania im podwieczorku złożonego z czekolady na wodzie (Gloria i Daphne nie znosiły mleka) i kanapek grubo posmarowanych masłem orzechowym. Stanowiło to przedsmak obiadu jak zwykle spożywanego trzy godziny później. Tak było w każdym dniu szkolnym. Poprzedniego dnia Harry Shulz zadzwonił, aby uprzedzić o swym przybyciu nazajutrz właśnie o tej porze i Mary nie miała żadnych zastrzeżeń. Cóż więc się stało?

Nie zdając sobie z tego sprawy położył rękę na gałce drzwi, która obróciła się w jego dłoni. Drzwi uchyliły się. Wszedł do wąskiego korytarza i zamknął drzwi za sobą. Dziwny zapach unosił się w powietrzu i tknęło go złe przecucie. Ta cisza niczego dobrego nie wróżyła. Położył paczki na skrzyni w stylu Early American i spod marynarki wyjął pistolet wykonany przez genialnego rzemieślnika Mike'a O'Flaherty'ego w swym warsztacie w piwnicy w Minneapolis. Zawsze dowcipny Mike nazywał go Karpem z tej prostej przyczyny, że była to broń tak bezgłówna jak trup, który za swego życia za dużo wiedział. Główną zaletą Karpią był właśnie wygłuszcza dźwięku przyspawany do bardzo krótkiej lufy. Dzięki zamontowanemu wentylowi rozprężania sprowadzał on typowy *Fffeunkk!*... do niesłyszalnego dźwięku. Na skutek harmonijnego wypośrodkowania ciężaru pistoletu i wygłuszacza dźwięku znikwały wibracje lufy, co powiększało dokładność strzału, a równocześnie wygłuszające zamocowanie, równoległe do lufy, wzmacniało siłę wnikania kuli. Inne usprawnienia zabezpieczyły pistolet przed zacięciem. Ponadto Mike dokonał rehabilitacji rzadko już stosowanych naboju 8 mm, pilnując jednocześnie, aby ich prędkość nie sięgała prędkości dźwięku, co miało na celu uniknięcie odgłosu *bang* przy przekraczaniu tej bariery, a zatem i wykrycia strzelca. Karp wyposażony został w magazynek na trzynaście naboju, a jego ciężar minimalnie przekraczał pół kilograma. Jedyń jego wadą były znaczne rozmiary, co Mike starał się zamaskować wykonując specjalną kaburę z miękkiej skóry importowanej z Meksyku.

Harry Shulz ostrożnie posuwał się w ciasnym korytarzu. Jego nozdrza węszyły, wszystkie zmysły miał napięte. Drzwi salonu były otwarte. Harry zatrząsł się i zbladł.

Obraz był potworny. Widział tam wszystkie cztery: Mary i jej trzy córki, Głorię, Daphne i Betty. Mary leżała na wznak na dywanie, jej biust był podziurawiony w okolicy serca. Harry Shulz zbliżył się. Zniszczona twarz kobiety po czterdziestce, która miała życie bardziej niż trudne, wydawała się ściągnięta wskutek skurczów bólu w chwili śmierci, podczas gdy równocześnie pogłębiły się głębokie bruzdy wywołane doświadczeniami. Kosmyki przedwcześnie siwych włosów spoczywały spokojnie na pofałdowanym czole. Oczy pozostały otwarte, olbrzymie, o barwie nierealnie niebieskiej i całkiem nieruchome. Nie widziały nic ani teraz, ani przedtem, gdyż Mary Scarazella była niewidoma od urodzenia. Tak jak trzy jej córki.

Najmłodsza, Gloria, leżała u stóp telewizora. Krew, która wypłynęła z otworu wywierconego w czole, rozlała się po twarzy, tworząc krwawą maskę, która teraz zaschła. Jej dwie siostry, starsza Betty i młodsza Daphne, zostały całkowicie odarte z odzieży, a ułożenie ich ciał nie pozwalało na żadne wątpliwości co do ekscesów seksualnych, którym je poddano. Betty leżała na kanapie, a jej siostra na dywanie, obok niskiego stolika, na którym ułożono książki wydrukowane alfabetem Braille'a. Obie miały dół brzucha i uda pobrudzone podejrzanymi plamami wymieszanymi ze strużkami krwi. Puste pudełka od koncentratu pomidorowego porzucone na dywanie świadczyły o tym, że ich zawartość posłużyła do wysmarowania piersi dziewczyn grubą czerwoną warstwą, która ściekła aż do pępka. Spryskane krwią były za to ściany. Narysowano na nich sprośne sceny. Dużego misia pluszowego wielbionego przez Głorię, gdy żyła, ustrojono w gumową protezę wyobrażającą penisa w erekcji umocowanego w obwodzie paskiem – taką, jaką można było nabyć w sex-shopie. Podejrzone plamy, które na nim widniały, dowodziły, że użyto go do zgwałcenia Betty i Daphne, dziewcząt mających odpowiednio siedemnaście i trzynaście lat. Jedyne Mary i Glorii oszczędzono tej okropności. Oczy Betty i Daphne pozostały otwarte, podobnie jak oczy Mary i ich siostry, a widok tych martwych źrenic wywołał u Harry'ego Shulza drżenie. Machinalnie złapał krzesło i usiadł.

Zjesz z nami lunch, Harry? Zrobiłam caponatę...

One cię oczekują w salonie, Harry. Jestem pewna, że rozpoznały twój

dzwonek. Dla niewidomej każdy odgłos ma odrębną charakterystykę. Jak odcisk palca.

Kto kiedykolwiek twierdził, że Harry nie jest dżentelmenem? Zawsze przynosi nam tyle prezentów...

Harry zastępuje nam tatusia...

To tata Mikołaj...

Zdania powracały w natłoku, kawałkami, wrywane z kontekstu.

Ich ojciec? Był nim Pete Scarazella... Osiemnaście lat temu zakochał się w Mary, mimo że była niewidoma. Ożenił się z nią. Mieli trzy córki. Dzieńczość? Pech? Wszystkie urodziły się niewidome, jak ich matka, co wywołało rozpacz Pete'a, ale wskutek czego jego miłość do wszystkich czterech była jeszcze większa.

Póki żył, sprawy szły dobrze dla Mary i jej córek. Ale cztery lata temu Pete wyjechał do Ugandy dla wykonania kontraktu. Cel: Idi Amin Dada. Kontrakt z bajecznym wynagrodzeniem oferowanym przez Anglików. Połowę Pete dostał z góry. Nigdy nie odebrał reszty...

W Kampali kontrakt, najwyraźniej źle przygotowany przez Pete'a i jego dwu wspólników, nie wypalił. Cel został co prawda zastrzelony, ale nie był to ten człowiek, którego mieli wyeliminować. Pomylili się. W tym przypadku był to sobowtór. Prawdziwy cel znajdował się daleko stamtąd. Plan ucieczki też zawierał luki. Policja polityczna ruszyła ich śladem, gdy wymykali się w kierunku Kenii. Dogoniła ich. Dwu wspólników Pete'a salwy z pistoletu maszynowego przecięły na pół, a jemu udało się przedrzeć do sąsiedniego kraju, mimo zadanych ran.

Dalsza część podróży aż do Nairobi była wyczerpująca. Wkradła się infekcja. Po dotarciu do stolicy Kenii Pete nie czynił sobie żadnych iluzji co do swego losu. Wiedział, że jest zgubiony. Dlatego też przed udaniem się do szpitala zadzwonił do Nowego Jorku do Harry'ego Shulza. Podał mu wszystkie współrzędne dla odzyskania stu tysięcy dolarów, które otrzymał jako zaliczkę na poczet wykonania kontraktu, prosząc go, aby wykorzystał te pieniądze na zapewnienie potrzeb rodziny, niezdolnej do dania sobie rady samodzielnie.

Nie powiedział, ale było to oczywiste i Harry Shulz zrozumiał, że liczy także na niego, że po wyczerpaniu się tych stu tysięcy dolarów, nadal mógłby opiekować się Mary i jej trzema córkami.

To był ten rodzaj spraw, o których nie mówiło się między przyjaciółmi...

Od tamtego momentu Harry Shulz sumiennie spełniał rolę opiekuna rodziny Scarazella. Zawiadywał stu tysiącami dolarów, lub tym co z nich zostało, jak najkorzystniej dla kobiet, i wręczał Mary terminowo kwoty, których potrzebowała dla zapewnienia bytu całej rodziny, dołączając do nich własne prezenty, jakie wybierał na Park Avenue, niedaleko swego domu, w sklepie, specjalizującym się w rzeczach dla niepełnosprawnych fizycznie. W rzeczywistości udało mu się, dzięki rozsądnej lokacie, osiągnąć maksymalne profity z kapitału stu tysięcy dolarów i pobierać zeń jedynie niezbędne minimum. Po czterech latach kapitał ten uległ zmniejszeniu jedynie o czterdzieści tysięcy dolarów.

Poprzedniego dnia, jak zwykle gdy szykował się do wypełnienia jakiegoś kontraktu, umówił się z Mary na następny dzień. Mogło zdarzyć się coś nieprzewidzianego albo pech. Mógł zginąć. Przy tej zawsze możliwej ewentualności i po to, by rodzina Scarazella nie pozostała bez środków do życia, przynosił ze sobą wypchaną kopertę zawierającą dwieście tysięcy dolarów. Pieniądze te minus pozostałość kapitału Pete'a, czyli sześćdziesiąt tysięcy dolarów, ulokowane na rachunku długoterminowym, należały do niego. Jeśli coś by mu się przytrafiło, skorzystałaby na tym Mary i jej dzieci. Także tym razem, w przewidywaniu kontraktu na Blumfelda, nie odstąpił od swych zwyczajów i oto odkrywał Mary i jej trzy córki zamordowane, a do tego dwie z nich zgwałcone w ohydny sposób!

Złość i wściekłość szalały w nim. Aż drżały mu ręce. Włożył Karpia do kabury, gdyż wiedział, że teraz nie będzie mu potrzebny. Dom był pusty. Ci, którzy dokonali tej rzezi (było ich z pewnością kilku), sporo czasu temu opuścili to miejsce. Kiedy ta potworna zbrodnia mogła mieć miejsce? Poprzedniego dnia dzwonił około siedemnastej. Mary żyła i jej córki także. Więc kiedy? Wieczorem? Ale jak to się stało, że Mary, tak nieufna z uwagi na swoje kalectwo, otworzyła nieznajomym? Nie mógł tego pojąć. Przemógł się, by obejrzeć zwłoki. Po ich stanie, po martwocie ocenił, że miał rację. Bestialski czyn, którego dokonano na tych czterech niewinnych istotach, musiał mieć miejsce poprzedniego wieczoru, bez możliwości dokładnego określenia godziny.

Dzięki, Harry; Pete nigdy nie mylił się w doborze przyjaciół...

Jak ci smakuje moja caponatta?

Powiedz, Harry, czy my, Betty, Gloria i ja, będziemy kiedyś widzieć? Mama zapewnia nas, że medycyna każdego dnia czyni postępy...

Nie zwracaj Harry'emu tym głowy, Daphne! On tego nie wie, nie jest chirurgiem.

Betty, Harry wie wszystko.

Podobno niewidomi mają bardziej rozwinięte zmysły artystyczne niż pozostali, to prawda, Harry?

Harry wie wszystko...

Ołowiany ciężar przygniatał go. Nie był w stanie oderwać się od krzesła. Czuł w sobie gigantyczną pustkę, wypełnienie jej przekraczało jego możliwości. Gdy wreszcie wstał, miał wrażenie, że unosi wielotonowy ciężar. W pozostałych pomieszczeniach wszystko było powywracane. Oszczędzono jedynie resztkę Williama Lawsons. Pociągnął łyk prosto z butelki. Alkohol dobrze mu zrobił, ale i podsycił jego wściekłość. Zaśmiał się szyderczo. Tego właśnie potrzebował. Wściekłości. Wściekłości i nienawiści. Opróżnił resztkę scotcha i poszedł do łazienki obmyć twarz zimną wodą. Jego myśli porządkowały się. Wszedł na górę do pokoi, zerwał z łóżek prześcieradła i wrócił z nimi na dół, aby przykryć cztery ciała. Później, gdy nadejdzie moment wezwania policji, wyśle pieniądze przedsiębiorcy pogrzebowemu, każe wznieść im marmurowy nagrobek i obłożyć go kwiatami...

Niczego nie przestawiał, gdyż uznał, że jeśli nie będzie w stanie odnaleźć winnych, należy pozostawić policji szansę na to przynajmniej, jeśli nie będzie za późno.

Niczego nie dotykał, oprócz jednego: dużego pluszowego niedźwiadka Glorii. Dziewczynka nazwała go Doodidoo*. Odpiął pasek przytrzymujący gumową protezę zamocowaną wokół brzucha misia. Penis w erekcji był monstualny. Musiał mieć średnicę około siedmiu centymetrów. Harry Shulz z obrzydzeniem poszedł do łazienki, żeby umyć go dokładnie w umywalce. Potem obejrzał go. Z tyłu gumowego trójkąta, który miał przedstawiać wzgórek łonowy i od którego odchodziły oba odcinki paska, przyklejona była mała na wpół oderwana etykieta. Na etykietce tej maleńkimi literami widniał napis Sex-shop Coogana. 33.50 \$

* Postać z filmów rysunkowych wyświetlanych w telewizji.

Nic więcej. Żadnego adresu, numeru telefonu.

Harry Shulz z powrotem nakleił etykieta i wyszukał plastikową torbę, do której schował protezę.

Pierwszą rzeczą, którą zrobił potem, było poszukanie książek telefonicznych pięciu dzielnic Nowego Jorku, tj. Brooklynu, Manhattanu, Staten Island, Bronxu i Queens. Znalazł je i zaniósł do łazienki, aby z zewnątrz nie było widać światła zapalonego w mieszkaniu. Zaczął szukać w nich jakiegoś Sex-shopu Coogana. Znalazł taki na Manhattanie. Na Czterdziestej Drugiej Ulicy Zachodniej. Paskudna dzielnica. W czasach dawno minionych Times Square i Czterdziesta Druga Ulica z ich teatrami, kinami i nocnymi lokalami przeżywały godziny chwwały. Tamta epoka przeszła jednak do historii, tak jak wcześniej stało się to z Bowery i Harlemem, gdy owe dzielnice utraciły swój niegdyś blask.

W książkach telefonicznych Brooklynu, Queens, Staten Island i Bronxu nie było żadnego Sex-shopu Coogana.

Zapamiętał adres i numer telefonu ze spisu Manhattanu. Postanowił, że pójdzie tam jeszcze tej nocy. To był jedyny ślad, jaki miał, i należało go wykorzystać do maksimum. Ludzie, którzy zamordowali czterech członków rodziny Scarazella, należeli zapewne do tej, niecej fauny złożonej z uliczników, z hołoty najgorszego gatunku, która hulawa nocami po Nowym Jorku. Motłoch ten działał tylko w nocy, a Harry miał całą noc przed sobą. Nawet gdyby miał w ogóle nie spać, postara się wszelkimi sposobami posunąć naprzód swoje prywatne śledztwo. W ten sposób nie straci czasu potrzebnego do wykonania kontraktu na Blumfelda. Był jednak świadomy trudności, które go czekały. Mordujących oprychów było w Nowym Jorku pełno. Namierzyć tych, którzy odpowiadali za okropności, jakich dokonano tutaj, okaże się zapewne trudnym zadaniem. I nie miał pojęcia, ile czasu zajmie mu dotarcie do celu. Jeśli doń w ogóle dotrze. Ale był zdecydowany nie poddawać się do końca. Gnojki, które zabiły i zgwałciły, musiały liczyć się z tym, że zapłacą za to słono. Bez rabatu.

Odłożył na miejsce spisy telefonów i wrócił do łazienki po plastikową torbę. Położył ją obok paczek zawierających prezenty, które przyniósł dla Mary i jej córek, a które złożył na skrzyni w stylu Early American przy wejściu do mieszkania. Po namyśle doszedł do wniosku, że nic więcej nie może obecnie zrobić.

Ustawił krzesło i siadł na nim, oczekując na zapadnięcie zmroku. Zależało mu na tym, aby ludzie z sąsiedztwa go nie widzieli. Ich zeznania, w przypadku gdyby mu się nie powiodło i musiałyby odwołać się do policji, mogły skierować śledztwo na fałszywy trop. Teraz mógł przemyśleć

wszystko na spokojnie. Był wtorek. Jimmy Kodash powiedział, że Alex Blumfeld będzie w Nowym Jorku co najmniej do piątku. Miał więc do wykonania nie *jeden*, lecz *dwa* kontrakty. I to jakby równolegle. Gdy im bardziej czas uciekał, tym bardziej odpowiedzialni za rzeź u Mary Scarazella i jej córek unikali kary. A tego by nie zniósł. Drżał z bezsilnej złości na samą myśl o tym. Wiedział, że Pete Scarazella – gdyby teraz żył i sam nie był w stanie tego zrobić – chciałby, aby Harry pomścił jego małżonkę i córki. W tym momencie w grobie w Nairobi kości Pete'a z wściekłości na pewno uderzały jedna o drugą. Niech spoczywa w spokoju! Harry Shulz zajmij się jego sprawami! Może mu zaufać!

Siedział tak jeszcze długo konstruując plan działań, odganiając od swego umysłu obraz jatki, która zdarzyła się w tym domu. O tej porze zwykle jadał obiad, ale teraz nie był głodny. Miał tylko pragnienie i to nie tylko w sensie fizycznym, ale także pragnienie zemsty.

Gdy uznał, że czas już wyjść, wstał i opuścił dom zabierając ze sobą paczki z nieprzydatnymi już prezentami, które wyrzucił później do błękitno-zielonej wody Narrows.

Pod pachą miał też plastikową torbę z gumową protezą, ale tej nie wyrzucił.

ROZDZIAŁ VI

Ted Silvers wysiadł z windy, gdy ta zatrzymała się na siódmym piętrze. Szeroki korytarz był pusty, jaskrawe światło lamp sufitowych odbijało się od jasnej wykładziny. Silvers spokojnym krokiem skierował się ku drzwiom swojego mieszkania z numerem 7E wybitym złotymi, lekko stylizowanymi literami, tak modnymi ostatnio. Po drodze sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął klucze. Gdy stanął naprzeciw drzwi, odblokował zamek i zasuwę, pchnął je i wyciągnął rękę, aby zapalić światło w przedpokoju. Właśnie wtedy usłyszał za plecami jakiś hałas. Skrzydła bocznych drzwi z napisem *SCHODY PRZECIWOŻAROWE/ WYJŚCIE AWARYJNE*, brutalnie rozchyliły się ukazując trzech mężczyzn. Młodych mężczyzn. Ich skóra odzwierciedlała mozaikę ras mieszkańców Nowego Jorku. Jeden czarny, jeden ciemny, prawdopodobnie Portorykańczyk, i jeden blondyn o długich włosach barwy słomy. Wszyscy trzej w bluzach i spodniach dżinsowych, obuci w adidasy.

Ted Silvers chciał szybko zamknąć za sobą drzwi i zabezpieczyć je łańcuchem, ale było już za późno. Czarny wymierzył mu kopniaka w nerki i Ted rozpląszczył się na wykładzinie w przedpokoju. Gdy uniósł się, trzech łobuzów stało przed nim z groźnymi minami. Zamknęli za sobą drzwi, zasunęli zasuwę, a łańcuch obijał się jeszcze o drzwi.

- Pobawimy się z tobą – rzucił Portorykańczyk.
- Milutki chłoptaş – zachwycił się blondas. – Przelecimy go?
- Dobra. Wyskakuj z ciuchów, pedale! – zarządził czarny.

Poparł swój rozkaz uderzeniem Silvera w nerki. Ten jęknął i podniósł się z wysiłkiem.

Zrozumiał, że ci trzej chcą go zgwałcić, i zastanawiał się, dlaczego. Blondyn powiedział: Milutki.... Sam nie uważał się za szczególnie atrakcyjnego, nie był już też młodzikiem. A na pewno był starszy od tych trzech, z których żaden nie przekroczył dwudziestki. Miał już trzydzieści pięć lat. Gdy ma się dwadzieścia i zainteresowania homoseksualne, to czy wybiera się takiego jak on dla zaspokojenia swych żądz? – dziwił się w myślach, w miarę jak wracało mu opanowanie. Sytuacja, której musiał stawić czoła, była całkowitym zaskoczeniem. Nigdy w życiu by nie przypuścił, że ktoś kiedyś będzie miał ochotę go zgwałcić. Był to przypadek, na jaki nie umiał znaleźć żadnego uniku...

Uderzenie pięścią trafiło w żołądek. Zgiął się wpół pod wpływem niesamowitego bólu. Potem były kolejne ciosy: w czoło, policzki, szyję, kark. Upadając na wykładzinę poczuł, że krzepkie ramiona poniosły go do salonu i rzuciły na kanapę. Jakieś ręce gorączkowo zdarły z niego odzież. Bronił się z całych sił.

– Rób, co chcesz, i tak cię wyhaczmy, ty palancie! – zaśmiał się Portorykańczyk.

– Myślisz, że on ma jeszcze jaja? – wtrącił blondyn.

– Sprawdźmy to, jak dostaniemy się do jego dupy! – zarechotał wesoło Czarny.

Mimo oszołomienia, Ted Silvers walczył rozpaczliwie. Udało mu się unieść i sprawić, że Portorykańczyk stracił równowagę i upadł na dywan. Ale wtedy blondyn zgarnął z niskiego stolika ciężką popielnicę i walnął nią Teda w głowę. Silvers wydał głuchy jęk i stracił przytomność.

Gdy ją odzyskał, tamci trzej leżeli na brzuchach na dywanie, z podbródkami opartymi na pięściach. Przyglądali mu się zmęczonym wzrokiem.

- Rozkosznie było, co? – rzucił czarny.
- Taka przyjemność już ci się nigdy pewnie nie trafi! – sztychł blondyn.
- Teraz musisz zapłacić za taką usługę – zaskrzeczał Portorykańczyk.
- Wzięliśmy już forszę z twojego portfela, ale to za mało. Nie myśl, że dałeś się wypieprzyć na piękne oczy.
- Pełno jest facetów, którzy chcieliby być na twoim miejscu – przejął pałeczkę czarny – i daliby za to dużo kasy. A my wybraliśmy ciebie, żeby sprawić ci przyjemność. Wykaż więc teraz swoją wdzięczność...
- Masz chyba jakiś kąt, gdzie trzymasz forszę? – sugerował blondas.
- Szukaliśmy trochę, ale bez skutku – poskarżył się Portorykańczyk.
- Cwana jest ta ciota – dodał blondas. – Nie bez powodu mieszka w takiej fajnej chacie. Na pewno jest z gatunku tych, co to boją się podatków i nie trzymają forsy w banku. Na pewno ma ją dobrze zakamuflowaną. Powiedz, pieszczoszku, gdzie forsa?
- Oporni jesteśmy, co? Robią nam dobrze i nie chcemy płacić! – dezerwował się czarny.
- Co za mentalność! – jęknął Portorykańczyk.
- Pistolet... przypomniał sobie Ted Silvers. Nie powinni byli go znaleźć. Był dobrze schowany w tylnej ścianie biurka, za dolną szufladą. Udać, że ujawni im schowek...
- Jak wam powiem, gdzie są moje pieniądze, zostawcie mnie w spokoju? – Celowo przyjął ten ton płaczący, pokornej ofiary pogodzonej z losem. Musi oszukać ich co do swych prawdziwych intencji...
- A nie chciałbyś powtórki?! – zagruchał blondyn.
- Nie nabrałeś do tego ochoty? – podjął czarny.
- Mów, gdzie jest ta forsa – zażądał Portorykańczyk.
- Pokażę wam... – odparł Ted Silvers podnosząc się z kanapy.
- Teraz dotarło do niego, że jest nagi, jak święty turecki. Chciał już zebrać swoją odzież rozrzuconą po dywanie, ale blondas rzucił ostro:
- Nie teraz. Jesteś taki miłutki, że wolimy cię oglądać na golasa.
- Ted Silvers wstał. Ból drażył jego nerki i wznosił się wzdłuż kręgosłupa. Czuł, że jego ciało pustoszy jakiś wewnętrzny ogień. Pochylony ruszył

do dodatkowej sypialni, którą przekształcił w biuro. Tamci trzej poszli za nim.

– Ma naprawdę ładny tyłeczek! – rzucił Portorykańczyk.

Gdy Silvers przykucnął przed biurkiem w pokoju, czarny skorzystał z tego i pogłaskał go po pupie.

– Zrobiłoby się następny mały numerek! – wykrzyknął.

Silvers wyciągnął szufladę, wyciągnął rękę i dotknął tylnej ścianki. Palcem wskazującym odsunął deseczkę zakrywającą schowek i jego ręka zaciśnęła się na rękojeści broni.

Wiedział, że jeden nabój jest w lufie i że pistolet jest odbezpieczony, właśnie w przewidywaniu takich ewentualności jak ta, której teraz stawiał czoła. Wystarczyło ścisnąć broń w dłoni, położyć palec wskazujący na cynglu, rzucić się do tyłu, przetoczyć na plecy i zacząć strzelać wokół siebie... Tylko tyle... Tamci trzej byli za blisko, aby mógł spudłować...

Rzucił się do tyłu z bronią wymierzoną przed siebie. Nie zdążył pociągnąć za cyngiel, bo czarny straszliwym uderzeniem nogi w przegub jego dłoni sprawił, że pistolet poleciał na drugi koniec pokoju.

– Ten pedał chciał nas załatwić! – krzyknął histerycznie Portorykańczyk.

– Co za szmata z tej wstrętnej cioty! – wtrącił blondyn. – Za tyle rozkoszy, nawet nie umie okazać wdzięczności!

Czarny cofnął się o krok. Wyjął z kieszeni gruszkę wyposażoną w ampułkę. Następnie ukląkł przed prostującym się akurat Tedem Silversem i nacisnął gruszkę dwiema rękami.

Ted Silvers poczuł, jak strugi płynu sikają mu w oczy. Strumyki roztopionej lawy spływały wzdłuż jego policzków drążąc bruzdy ognia. Ale to oczy wywoływały okropne cierpienie, jakby do ich powierzchni przylepiła się garść pieprzu. Ból gwałtownymi falami przesuwiał się do mózgu. Czuł jakby miriady igiełek rozżarzonych do czerwoności wchodziły w niego. Usłyszał głos czarnego dobiegający jakby zza mgły:

– Dobrze ci tak, stary pedale! Twoja morda zasługuje tylko na oblanie wtriolem!

Twarda rzeczywistość opróżniła mu żołądek. Kwas siarkowy! Oblano mu oczu tym świństwem!

– Podobno to byczo być ślepym! – zarechotał Portorykańczyk – Ma się wtedy bogatsze życie wewnętrzne!

– My kochamy ślepych! – poparł go blondyn.

Noga obuta w adidas trafiła Silversa w podbródek i stracił przytomność.

Później, gdy wynurzył się z niebytu, głowę miał w ogniu i nie widział już nic. Gęsta zasłona przesłaniała mu źrenice. Strach uciskał serce. Z trudem udało mu się wyprostować. Wydawało mu się, że jest sam. Tamci zostawili go na pastwę losu. Nie był tego pewien, ale odczuwał to po ciszy panującej wokoło. Jego ręka dotknęła biurka i poszukała aparatu telefonicznego. Końcem palca wskazującego namacał otwory w tarczy, ale nagle naszła go wątpliwość. Gdzie znajdowało się zero? Przed jedyneką, czy po dziewiątce? Nie mógł sobie tego przypomnieć. Zawsze automatycznie wykręcał numer telefonu, nie odnotowując w pamięci rozmieszczenia cyfr. Pozostałe następowały po sobie w logicznym porządku, jeden, dwa, trzy, cztery... ale zero? Logicznie powinno znajdować się przed jedyneką, ale tak chyba nie było, bo w przeciwnym przypadku nie miałby wątpliwości, nie zadawałby sobie tego pytania. Aby wyeliminować ryzyko pomyłki, musi zastosować obydwa warianty, jeśli pierwszy nie przyniesie rezultatu.

Macając i licząc za każdym razem liczbę otworów od blokady tarczy, wykręcił numer telefonu Sandry. Sygnał był, ale nikt nie odpowiadał. Po dłuższej chwili odłożył słuchawkę i przystąpił do następnej próby, zakładając tym razem, że zero znajdowało się przed jedyneką. Tym razem głos z taśmy wyjaśnił mu, że nie ma takiego numeru. Zatem zero znajdowało się za dziewiątką. Znowu nakręcił numer Sandry, ale bez rezultatu.

Ból był nie do wytrzymania. Na pewno istniała jakaś szansa uratowania oczu. Dlaczego Sandra nie odpowiada? Kłopot polegał na tym, że nie znał na pamięć żadnego numeru telefonu kogoś, kto mógłby udzielić mu pomocy. Nie znał też numeru policji czy straży pożarnej, który można znaleźć w każdym miejscu, ale nie w jego pamięci. Musiał zdać się na los szczęścia. Wykręcić jakikolwiek numer. Najpierw trzy pierwsze cyfry: pięć, dwa i cztery do centrali, której sam był abonentem. Miało to tę zaletę, że centrala obejmowała sąsiedztwo i w ten sposób mógł trafić na kogoś mieszkającego w pobliżu, kto udzieliłby mu pomocy. Zaczął działać gorączkowo. Pięć... dwa... cztery... Palec wskazujący pozostał w okrągłym otworze odpowiadającym czwórce i nakręcił tę cyfrę jeszcze cztery razy.

– Czterdzieści cztery, czterdzieści cztery... – szeptał do samego siebie, usiłując bez powodzenia odpędzić chwytający za gardło strach i nachodzące go falami cierpienie.

- Halo? – odpowiedział czyjś głos.
- Proszę posłuchać, nazywam się Ted Silvers – wybąkał. – Mieszkam na...

Tamten odłożył słuchawkę. Przerażony nakręcił ponownie ten sam numer.

- Proszę pana, proszę posłuchać – zaczął urywanym głosem. – Przed chwilą zostałem napadnięty w moim mieszkaniu przez trzech bandziorów, którzy oblali mnie wi...

Ponownie odłożono słuchawkę. Nie należy się zniechęcać – przekonywał sam siebie, aby uspokoić rosnący niepokój. Ktoś mu poda pomocną dłoń, na pewno. Dobry Boże, jesteśmy w Nowym Jorku, osiem milionów mieszkańców, największe miasto świata, największy port świata, najbardziej wpływowe centrum finansowe, naj... Gdyby tylko znał numer telefonu najbliższego szpitala! Do policji numer był dwucyfrowy, to pamiętał! Ale, do cholery, numery dwucyfrowe, to znaczy od dziesięciu do dziewięćdziesięciu dziewięciu! Za długo! Nie, należy kontynuować tak, jak zaczął. Z numerem swojej centrali. Musiało w niej być tysiące abonentów. Czy pośród nich nie ma *ani jednego człowieka* gotowego mu pomóc?

Czterdzieści cztery, czterdzieści pięć...

- Halo?
- Proszę pani, nazywam się Ted Silvers. Przed chwilą zostałem napadnięty u mnie w mieszkaniu przez trzech łobuzów, którzy oblali mnie witriolem, czy mogłaby pani...

Kobieta odłożyła słuchawkę. Uparł się. Czterdzieści cztery, czterdzieści sześć...

- Halo?
- Proszę pana, proszę natychmiast wezwać policję. Nazywam się Ted Sil...

Dopiero przy trzydziestym ósmym telefonie jakaś kobieta wysłuchała go do końca i obiecała natychmiast zawiadomić policję. Położył słuchawkę z ulgą. Miał wrażenie, że mniej cierpi. Po omacku doszedł do fotela za biurkiem i o mało nie przewrócił się o szufladę, którą wyjął w obecności trzech napastników, aby dotrzeć do schowka, gdzie był pistolet. Nagle poderwał się. Dzwonił telefon. Wyciągnął rękę, odszukał aparat, podniósł słuchawkę.

- Pan Silvers?

- Tak – wysapał.
- Ted Silvers? – powtórzył głos, szorstki i nieprzyjazny.
- Tak, to ja.
- Napadnięto na pana, tak?
- Kim pan jest?
- A kim mam być? Rozmawia pan z policją! To pan prosił, żeby zadzwonić? Jakaś pani Jackson... O co chodzi? Żona panu nie wróciła, pies zaginął czy jeszcze coś innego?
- Zostałem OBLANY WITRIOLEM! – wrzasnął Ted Silvers.

* * *

Jednym rzutem oka Harry Shulz ocenił sytuację. W centrum sali znajdował się wielki stół, na którym rozłożono broszury pornograficzne z chwytliwymi okładkami. Po lewej stronie kasa, w gablotach, na ścianach i obok kasy różne gadzety pornograficzne, pisma i filmy tego samego pokroju. Do tego krzykliwe wywieszki napisane odręcznie: *Nowa młodość: tabletki gisenga! Cała prawda o afrodyzjakach! Sodomia bez bólu! Super hiper: kopurektor! Lalki, z którymi można spać jak z prawdziwymi kobietami!*

W głębi sali wąski korytarz prowadził do pojedynczych kabin projekcyjnych. *Za dwa dolary sześćdziesiąt metrów filmu! Tylko dwa dolary! Szatan i Dziewice! Orgie SS albo szal zwyrodnienia! Mężatka poszukuje pary! Programy na każdy gust!*

Harry Shulz przystanął przed gablotą, której szyba odbijała obraz wnętrza sali. Policzył. Pięciu mężczyzn. Farmer z Middle Westu przejazdem w Nowym Jorku, dodający sobie odwagi i pozbywający się swych zahamowań przed pójściem na dziwki przy Czterdziestej Drugiej Ulicy, na numer 24 za dwadzieścia dolców w brudnym pokoju hotelu *Dixie*; dwaj krostowaci młodzieńcy, stukający się łokciami w żebra i głośno chichoczący; splukany zboczeniec fundujący sobie ucztę wzrokową za psi grosz i facet sprzedający kokainę, który umówił się tu z klientem i czekał teraz na niego snując się przed gablotami, bez zbytniego zainteresowania czymkolwiek.

Harry Shulz zerknął jeszcze w kierunku mężczyzny prowadzącego kasę – portorykański grubas o lepkich powiekach – i jakby od niechcenia ruszył w stronę korytarza prowadzącego do pojedynczych kabin projekcyjnych. Ciemne firanki maskujące ich wąskie wejścia sięgały jedynie do kostek i Harry naliczył trzy pary kostek. Kolejnych trzech klientów. Razem ośmiu.

W tej sytuacji uznał, że należy uzbroić się w cierpliwość, i wrócił do głównej sali. Tu zaczął przerzucać jakieś pismo, udając zainteresowanie. Jeden po drugim, trzech amatorzy indywidualnego wyświetlania wyszli ze swych zakątków i opuścili sex-shop. Następnie farmer z Middle Westu zebrał całą swą odwagę i – zapewne odczuwając kompleksy prowincjusza, że pozostał tu za długo bez kupienia czegokolwiek – zdecydował się na zakup jakiejś taniej broszurki pornograficznej w formacie kieszonkowym. Następnie zdecydowanym krokiem, wyprostowany i z lekko urażoną, nie wiedzieć czym, miną ruszył do drzwi wyjściowych. Potem pojawił się klient sprzedawcy narkotyków. Transakcję ubito w jednej z indywidualnych kabin projekcyjnych i w odstępach kilkuminutowych obaj wyszli na ulicę, a sprzedawca zdążył jeszcze wypłacić swoją dolę właścicielowi sex-shopu. Dwaj krostowaci chłopcy również swą przyjemność. Wciąż chichocząc wyszli, ale w tym samym momencie zastąpił ich czarny alfons, który wszedł tu chyba dla zabicia czasu, gdy jego podopieczna była akurat zajęta. Jego wygląd nie spodobał się splukanemu zboczeńcowi, który zniknął w oka mgnieniu.

Harry Shulz szybko ocenił sytuację: pozostali już tylko czarny alfons i właściciel sklepu. Należało zadziałać, nim nie wpadną inni klienci. Podszedł z nonszalancją do alfonsa zaczajonego blisko drzwi i uchylającego lekko zasłonę, by poobserwować ruch na ulicy. Poklepał go po ramieniu i tamten odwrócił się zdziwiony.

– Strach ci pozwala mnie dotykać, chłopie? – warknął.

Nagłym ruchem Harry Shulz wyciągnął Karpia i podsunął mu go pod brodę.

– Ta spluwa nie wydaje żadnego dźwięku – odpowiedział cierpliwym głosem. – Myślisz, że gdyby sama wystrzeliła, ktoś na tym padole też zapłakałby za tobą?

Twarz alfonsa poszarzała.

– Czego chcesz? – wyjąkał. – Forsy?

– Po prostu chcę, żebyś zniknął i nie plątał się tu już dzisiaj.

– Jeśli tylko o to ci chodzi...

Czarny wsunął się za zasłonę, otworzył drzwi i zniknął. Przy kasie portorykański grubas już wsuwał rękę do szuflady. Harry Shulz pociągnął cyngiel Karpia i pocisk trafił w gablotę z kółkami na klucze o wyraźnie pornograficznych akcentach. Szyba rozbiła się i resztki spadły na podłogę,

podobnie jak kółka na klucze, robiąc sporo hałasu. Grubas podskoczył i jego ręka, na wpół zanurzona w szufladzie, zamarła. Harry Shulz podszedł bliżej, odepchnął go daleko od szuflady i rozkazał:

– Zamknij drzwi wejściowe i zgaś tę wywieszkę świetlną. Szybko. Gdyby jakiś klient się pojawił, powiedz mu, że już zamykasz, bez zbędnych pytań. Zasuważ i nie bój się o swoją kasę, bo to nie ona mnie interesuje.

Nieco uspokojony Portorykańczyk wykonał polecenia.

– Teraz zgaś światła w sali, ale nie tam w korytarzu.

Gdy i to zostało wykonane, Harry Shulz zaciągnął go w kącie i kazał mu usiąść na drewnianym taborecie, z którego dosięgało się wywietrznika u góry ściany prostopadłej do ciągu pojedynczych kabin projekcyjnych. Potem otworzył plastikową torbę trzymaną pod lewą pachą i wyjął z niej gumową protezę znaną w domu Mary Scarazella i jej trzech córek.

– To pochodzi od ciebie.

Podał ją Portorykańczykowi, który obejrzał ją zblazowanym wzrokiem.

– Siedem-Cyklop-Trzy – mruknął.

– Co to oznacza?

– Rozmiar. Cyklop to ze względu na wymiary.

– Zerknij na etykietkę. Z twojego sklepu.

– Nie zaprzeczam – przyznał grubas.

– Najpierw jedna sprawa. Ten interes jest olbrzymi. Dużo takich sprzedajesz?

– Nie, to jest maksymalny wymiar. Nie ma większego. To jest Siedem-Cyklop-Trzy. Trzy oznacza trzy cale średnicy*. Tylko super oblesnicy kupują takie interesy. Zresztą mam tylko dwa takie na składzie.

* 7,62 centymetrów.

Portorykańczyk jakby się uspokoił. Zrozumiał, że intruz szuka informacji o przedmiocie, jaki mu pokazuje, i że nie jest to żaden śliski temat. Poza tym wydawało się, że tamten mówi prawdę i faktycznie nie chodzi mu o jego forszę, a to było najważniejsze! Uspokojony, stał się gadatliwy:

– Ze sztucznych penisów sprzedają głównie takie półtora calowe z wbudowanym wibratorem i samosmarowaniem, ale tych Siedem-Cyklop-Trzy praktycznie wcale

– Jeśli więc sprzedajesz taki jeden, to zwracasz na to uwagę?

- Jasne.
- A komu sprzedałeś tego?

Tamten przygryzł grube wargi.

– Zaraz, zaraz... – Pod wpływem wysiłku umysłowego gęste brwi prawie się zbiegły ze sobą. – Miguel – rzucił wreszcie.

– Miguel?

– Znam tylko jego imię.

– Powiedz mi coś więcej na jego temat.

– To szczeniak. Trzynaście, czternaście lat. Robi stójkę na ulicy dwa kroki stąd.

Harry Shulz wiedział, że prostytuowanie się nieletnich stało się nową plagą w Ameryce. W stacji telewizyjnej N.B.C, co tydzień nadawano nawet półgodzinną audycję na ten niepokojący temat. Corocznie odnotowywano milion bardzo młodych chłopców i dziewcząt uciekających z domu. W większości dzieci narkomanów lub prostytutek, wskutek czego łatwiej ulegające złym wpływom, a także dzieci alkoholików i zawodowych bezrobotnych, których ojciec rozplątał się bez śladu, w zмовie z matką, aby ta mogła pobierać zasiłek*. Z braku pieniędzy w zależności od płci, jak to brutalnie określił w telewizji komendant nowojorskiej policji: *pozostawiało im tylko unieść spódnicę lub opuścić spodnie, zawsze znajdują klientów...*

* W USA, aby pobierać zasiłek z pomocy socjalnej, trzeba udowodnić, że głowa rodziny opuściła miejsce zamieszkania.

Dwa bieguny przyciągały ich nieodparcie: Kalifornia i Nowy Jork. Ale tu nie udawało im się lepiej, niż w rodzinnym brudzie. Upadek był taki sam. W Nowym Jorku pewnego dnia kończyli swoje gorączkowe poszukiwania na *Meat Rack* **, to znaczy na odcinku Czterdziestej Drugiej Ulicy między Siódmą i Ósmą Aleją.

** Dosłownie: lada rzeźnicza.

Na chodniku po prawej stronie, przy ciągu kin z najświetniejszymi: *Rialto, Victory, Lyric, Times Square, Apollo* – wszystkie mniej lub bardziej wyspecjalizowane w filmach porno. Po obu stronach ulicy snack-bary, sex-shopy, brudne nory, hotele na godziny. W tych miejscach spotkać można było narkomanów, włóczęgów, nieletnie prostytutki obojga płci, stręczycieli, doliniarzy. Ci ostatni, gdy żniwa nie były udane, szli sprzedać w pobliskim banku krwi pół kwarty swojej krwi za dwadzieścia dolarów. Stręczyciele woleli zacząć się w sex-shopach albo wokół automatów w salach

gry, gdzie łatwo było o potencjalnych klientów. Od czasu do czasu wybuchły tu bójki o klienta podebranego stałemu kochasiowi albo gdy jakiś narkoman w ataku hysterii zabił przechodnia uderzeniami noża. Policjanci ze znudzonym i cynicznym wzrokiem przechadzali się parami pośród tej fauny, unikając zauważania młodych sylwetek chłopców i dziewcząt opartych w niedwuznacznej postawie o fasady. Zaistniał tu swoisty modus vivendi. Nikt nie przeszkadza nikomu. Każdy zarabia na życie jak potrafi: jako glina, dziwka, alfons albo doliniarz.

– Gdzie można znaleźć tego Miguela? – zapytał Harry Shulz obojętnym tonem.

– Na chodniku. Chyba, że będzie w *Dixie* z klientem.

– On pracuje na kogoś?

– A który główniarz nie pracuje tutaj na kogoś? Taki robi wszystko na rozkaz: mogą mu kazać się rozebrać, pokrajać go na kawałki i nikt nad tym się nie użali.

– Znasz jego opiekuna?

– Nie.

– Na pewno? – Harry Shulz uniósł broń.

Grubas głośno przełknął ślinę.

– Cholera, nie bądź pan idiotą. Mówię panu, że go nie znam! To prawda, *Madre de Dios!* – rzucił z twarzą wykrzywioną strachem.

– Twoim zdaniem dlaczego Miguel kupił u ciebie ten Siedem-Cyklop-Trzy?

– Na pewno dla jakiegoś klienta, który nie miał dość odwagi, by zrobić to samemu. Wielu facetów kozakuje, ale jak chodzi o kupowanie, to boją się podejść, szczególnie, jeśli w sklepie są inni klienci. Wstydzą się! To dlatego zawsze mam wzrok opuszczony. Nigdy nie patrzę im w oczy, żeby ich nie krępować. W tej branży trzeba być dyplomatą...

Zawodowe chwytły nie interesowały Harry'ego Shulza. Wyjął gumową protezę z rąk Portorykańczyka i schował ją z powrotem do plastikowej torby.

– Teraz pójdziemy rzucić okiem na ulicę, spróbujemy wyłuskać tego Miguela. Masz inne niż to wyjście na ulicę?

– W głębi korytarza na lewo – odparł i dodał szybko: – Idź pan sam, ja nie nadaję się do pańskich wygłupów! Nie chcę mieć kłopotów z opiekunem Miguela!

– Będę szedł dziesięć kroków za tobą. Jak go zauważysz, czekasz na mnie na rogu Alei, Siódmej albo Ósmej, zależnie od sytuacji. Opiszesz mi go i wskażesz bardzo dokładnie miejsce, gdzie stoi. I bez kombinacji. Przed chwilą sam widziałeś, że ta broń nie wydaje żadnego dźwięku. Chowam ją do torby i trzymam palec na spuście. Zapewniam cię, że nie chybiam z dziesięciu kroków. I jeszcze jedno: niech ci nie wpadnie do głowy, żeby zablokować, namierzyć Miguela i udawać, że go nie zobaczyłeś. Przynajmniej jeśli chcesz mnie się pozbyć, bo od razu ci powiem, że ty i ja jesteśmy złączeni do czasu, aż położę łapę na Miguelu, a przez cały ten czas twój sklep będzie zamknięty.

- Kim pan jest? Prywatnym gliną?
- Czymś w tym rodzaju. Idziemy?
- A zostawi mnie pan potem w spokoju?
- Myślisz, że mam ochotę spędzić całe życie w sex-shopie?

Korytarz rzeczywiście skręcał w lewo. Drzwi wychodziły na ciasne podwórko zavalone śmierdzącymi pojemnikami na śmieci. Wokół popiskiwały szczury. Przez otwarte okno obok słychać było jakąś kłóącą się parę.

- Tędy – pokazał Portorykańczyk.

Innym korytarzem obaj wyszli na ulicę i Harry Shulz przepuścił właściciela sex-shopu, który skręcił w kierunku Ósmej Alei. Jakaś dziewczynka, zaczajona w występie drzwi, puściła doń mordercze oko.

- Pójdziemy, chłopczyku?

Nie odpowiedział, a ona obrzuciła go wulgarnymi przekleństwami. Jej alfons wtrącił się: – On ci przeszkadza?

– Zostaw go – odparła wruszając ramionami. – To pedał, szuka kochasia!

Gdy tylko ocenił odstęp jako wystarczający, Harry Shulz ruszył z non-szalancją za właścicielem sex-shopu, nie spuszczać wzroku z jego pleców. W powietrzu pachniało cebulą, czosnkiem, potem, pastą do butów, tanimi perfumami i gorącą pizzą. W oddali słychać było sygnał karetki pogotowia. Ze snack-baru dobiegały piskliwe i puste wybuchy śmiechu bardzo młodych dziewczyn, które między dwoma numerkami sączyły koktajle mleczne. Przechodnie, spacerowicze, gapie włączyli się bez widocznego celu w nieprzerwanym potoku ludzkim płynącym jak bezlitosna lawa po chodniku pełnym zatłuszczonych papierów, ich twarze rozświetlane były przez ostre i jaskrawe odbicia reklam świetlnych. Jakiś trzęsący się

narkoman o błędnym wyrazie twarzy żebrał z wyciągniętą ręką. Gdy zagroził drogę Harry'emu Shulzowi, ten wbił mu pięść w brzuch i nabuzowany chłopak runął twarzą prosto do rynsztoka przy okrutnym śmiechu grupy transwestytów.

Harry Shulz zachowywał z grubsza tę samą odległość od Portorykańczyka. Ten dotarł do rogu Ósmej Alei, przeszedł na przeciwległy chodnik i ruszył nim do Siódmej. Harry Shulz poszedł jego śladem. Drugi chodnik był tak samo brudny jak poprzedni. Jakaś grupa dobrze podchmielonych zabawowiczów dmuchała w trąbki i machała klekotkami, jakby świętowali Nowy Rok. Wszystko to pod okiem zbliżających się doliniarzy, węszących ptaszki do oskubania. Prowincjusze – pomyślał Harry Shulz. – Prowincjusze, którym pozostały wspomnienia wspaniałych czasów Czterdziestej Drugiej Ulicy. Za chwilę w trakcie sztucznie odegranej kotłowaniny zostaną pozbawieni swoich portfeli.

Portorykańczyk doszedł wreszcie do Times Square i skręcił w lewo, idąc w kierunku Czterdziestej Trzeciej Ulicy. Harry Shulz szybko go dogonił. Gdy szli łokieć w łokieć, zapytał: – I co?

– To ten szczeniak stojący obok sprzedawcy hot dogów, między *Rialto* i *Victory*. Bez problemu pan go znajdzie. Koszula i spodnie dżinsowe. Koszula wyłożona na spodnie. Dół spodni uniesiony do połowy łydki. Adidasy. Włosy półdługie, kosmyki na czole. Na koszuli ma czerwone serce przebite strzałą. Skarpetki też czerwone. Ciemny, cera matowa.

Harry Shulz zawrócił. Między *Rialto* i *Victory* łatwo znalazł chłopca. Podeszedł do niego i chłopak od razu zaprezentował prowokujący uśmiech. Zakłopotany Harry Shulz spróbował wejść w skórę osoby, którą miał odgrywać.

- Jesteś wolny?
- Mam tyle czasu, ile pan zechce, psze pana
- A za ile?
- Za małą chwilkę, dwadzieścia dolarów. Za noc, sto dolarów.
- Wybieram noc.
- Idziemy do hotelu?
- Nie. W moim mieszkaniu w Brooklynie.
- Jest pan tam sam?
- Sam.

- Ma pan wózek, czy bierzemy gablotę?
- Idź przodem. Przejdź kolejno Ósmą i Dziewiątą Aleję. Niebieski Chevrolet Caprice na rogu Doyer Avenue. Idę za tobą.
- Jasne. To jest obok Maidman Playhouse, tak?
- Tak. Między Maidman Playhouse i Graylines.

Harry Shulz ruszył za chłopakiem utrzymując, podobnie jak z Portorykańczykiem, odstęp dziesięciu kroków. Gdy doszli do chevroleta i usiedli w środku, Harry Shulz zapytał:

- Jak się nazywasz?
- Miguel.

Włączył silnik i ruszył. Miguel siedział tuż przy drzwiach odsunięty od niego, milczący i zakrzepły w obojętnej postawie. Harry Shulz postanowił wykorzystać jazdę do Brooklynu, aby spróbować podejść go psychologicznie. Zgodnie z planem, który stworzył sobie w głowie od chwili, gdy właściciel sex-shopu wyjawiał mu imię i dane nabywcy gumowej protezy.

- Znasz Brooklyn?
- Nie. Podobno tam jest brzydko.
- Zależy gdzie. Gdzie mieszkasz?
- Południowy Bronx.

Harry Shulz skrzywił się w myślach. Odcinek Czterdziestej Drugiej Ulicy między Siódmą i Ósmą Aleją, skąd wracał, stanowił raj w porównaniu z Południowym Bronxem. Ta dzielnica miała wygląd identyczny do tego, jaki przedstawiał Berlin po zdobyciu go przez Armię Czerwoną w 1945 roku. Pusto dookoła, ulice przekształcone w kloaki, szkielety domów szerniałych od ognia, które właściciele nierzadko sami podpalali, aby otrzymać wypłatę ubezpieczenia. W ciągu dwu poprzednich lat odnotowano w tej dzielnicy dziesięć tysięcy pożarów i towarzystwa ubezpieczeniowe nie były w stanie udowodnić, iż były to podpalenia. Dawało to średnio czternaście pożarów dziennie. Lokatorzy, wyłącznie czarni lub Portorykańczycy, byli w zмовie z właścicielami. Walizki stały wcześniej spakowane i gdy tylko pojawiały się pierwsze języki ognia, lokatorzy opuszczali swe mieszkania z oszałamiającą szybkością. Z jednej strony odbierali pomoc od miasta, z drugiej właściciel odpalał im drobny procent ze swej wypłaty. Czasem pojawiały się wpadki: jakiś staruszek zapomniany w łóżku, jakiś niepełnosprawny, któremu niemoc w nogach nie pozwoliła na ucieczkę, niepożądani, których pozbywano się w płomieniach. Lokatorzy przegnani

ogniem otrzymywali od miasta kwotę tysiąca pięciuset dolarów, nowe – choć jeszcze bardziej ohydne niż to w Południowym Bronxie – mieszkanie, telewizor i zestaw stereo. Okazja wprost niebывała dla tych wydziedziczonych. A w zapleśniałych szkieletach budynków zastępował ich tłum jeszcze biedniejszy od nich: ciemni imigranci z Ameryki Południowej, Portorykańczycy, Jamajczycy, Meksykanie, do których dołączali ludzie z marginesu, narkomani, zawodowi bezrobotni, pijacy w ostatnim stadium upadku, włóczędzy, dziwki, którym zaawansowany wiek nie dawał żadnych szans na napotkanie amatora płatnych rozkoszy, a także mnóstwo młodych uciekinierów płci obojga, którzy znajdowali tu bezpłatny dach nad głową i których początkujący alfonsi z tej dzielnicy zmuszali do prostytucji.

- Podoba ci się Południowy Bronx?
- Nie – padła sucha odpowiedź.
- Gdzie się urodziłeś?
- San Juan.

Miguel wymówił tę nazwę z hiszpańska. Zresztą jego angielski był zabarwiony intonacją miękką albo gardłową, typową dla języka hiszpańskiego.

- San Juan de Puerto Rico?
- Tak.
- Twoi rodzice wciąż tam mieszkają?
- Nie.
- A gdzie?
- Na Florydzie.

– Dla Portorykańczyka tamten klimat jest lepszy, niż tutejszy – zasugerował Harry Shulz.

Miguel nie odpowiedział. Uciekinier – ocenił Harry Shulz. – Nie chce mówić o swoich rodzicach.

- Podoba ci się zawód, który wykonujesz?

Poczuł, że dzieciak wciśnięty w róg koło drzwi sztywnieje.

– Dlaczego zadaje pan te wszystkie pytania? Inni nie stawiają pytań. Mają to w nosie. Mają tylko jedno na myśli. Zrobić swoje. Dlaczego nie robi pan tak samo? Daje mi pan sto dolarów i nie zadaje mi pytań, zgoda? A tak w ogóle nie pokazał mi pan jeszcze tej forsy...

Prawa ręka Harry'ego Shulza oderwała się od kierownicy i poszukała wewnątrz marynarki, po czym wyciągnęła grubego zwitek banknotów studolarowych. Zapalił lampkę pod sufitem i podsunął zwitek pod nos chłopaka.

- Z tym mam prawo zadawać pytania?
- Cholera, pan jest nadziany!
- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Lubisz zawód, który wykonujesz?
- Jest pan może prywatnym glina? Oficjalnym glina pewnie nie, z taką kasą. Ale prywatnym?
- Lubisz zawód, który wykonujesz?
- No więc... eee... nie za bardzo...
- To dlaczego go wykonujesz?
- Jestem zmuszony.
- Przez kogo?
- Przez nikogo.

Jedną ręką Harry Shulz wyciągnął ze zwitka jeden banknot. Miguel natychmiast go złapał.

- Przez kogo?
- No więc... mam kumpla...
- *Tico**, jak ty?

* Portorykańczyk.

- Tak.
- I on cię zmusza do wykonywania tego zawodu?
- No więc... nie wiedziałem, co robić, żeby sobie zorganizować trochę forsy. To on miał pomysł. Byłem całkiem goły. To, czy coś innego, ostatecznie...

- On cię wysyła po swoje zakupy?
- Swoje zakupy?
- Kupować mu różne rzeczy?
- No... czasami...
- Chciałbyś wrócić do rodziców?
- Muszę odpowiedzieć?
- Dostałeś sto dolarów premii.
- Zrobiłem głupstwo wyjeżdżając, ale jest za późno. Mój stary by mnie zabił, gdybym wrócił.
- Mimo to spróbuj.
- Kim pan jest naprawdę? Prawi mi pan kazania? Dlaczego pan tak się mną interesuje?
- Niedługo się dowiesz.

Dojechali do Czwartej Alei na Brooklynie i po chwili Harry Shulz zatrzymał chevroleta przed domem Mary Scarazella.

- To tu? – zapytał Miguel.
- Tak.

Harry Shulz wyszedł z wozu i rozejrzał się uważnie wokół. Pustynia. Parkowanie wozu było tu zabronione, ale gliniarze z Brooklynu mało przejmowali się w nocy wozami zaparkowanymi w niedozwolonym miejscu.

- Chodź – powiedział.

Gdy tylko weszli do holu, zapalił światła i starannie zasunął zasuwę w drzwiach.

– Zostań tutaj. Mam ci coś do pokazania – wyjaśnił, wydając z plastikowej torby gumową protezę. – Znasz to?

Miguel nie rozumiał i wybuchnął śmiechem.

– Ale z pana niezły zboczeniec! – wykrzyknął. – Siedem-Cyklop-Trzy! Kto by pomyślał po tych pana kazaniach!

Spojrzenie Harry'ego Shulza złodowaciało.

– Nie o to chodzi. To ty kupiłeś ten interes w Sex-shopie Coogana, prawda?

Chłopak zeszywniał i jego twarz się skurczyła.

- Chce pan powiedzieć, że...
- W jakim celu to kupiłeś? – uciął Harry Shulz szorstkim głosem.

Oczy chłopca poszerzyły się.

- Gdzie go pan znalazł? – zapytał.

Wzrok Harry'ego był nadal lodowaty.

– Z tyłu za tobą, po lewej stronie, są drzwi do salonu. Podejdz i rzuć okiem. Zobaczysz dużego misia. Miał ten interes przypięty wokół bioder. Tam go znalazłem. Idź rzucić okiem – naciskał – to zrozumiesz.

Miguel posłuchał niechętnie, a kilka sekund po jego wejściu do salonu Harry Shulz usłyszał jakiś odgłos upadku na dywan. Położył protezę na skrzyni w stylu Early American i poszedł do łazienki zaczerpnąć do miski zimnej wody, którą wylał potem na twarz nieprzytomnego młodego Portorykańczyka. Ten otrząsnął się i otworzył oczy.

- Chcę stąd wyjść... – jęknął.

Harry Shulz wziął go na ręce i przeniósł do łazienki, gdzie posadził go na brzegu wanny.

– Chcę stąd wyjść – powtórzył Miguel, tym razem płacząc.

Harry Shulz zapalił pall malla i spokojnie czekał, aż płacz ustanie. Wreszcie Miguel wciągnął powietrze i zapytał:

– Nie ma pan marihuany? To by mnie postawiło na nogi...

– Nie. Wytlumaczę ci, w jakie gówno wdepnąłeś. Zanim straciłeś przytomność, zobaczyłeś zamordowane cztery osoby, w tym troje dzieci takich jak ty. Ten, dla którego kupiłeś tego penisa, jest odpowiedzialny za to poczwórne morderstwo. Popełnił fatalny błąd i zostawił dowód rzeczowy. Musiał nie zauważyć małej etykiety z tyłu protezy. Zatem on jest odpowiedzialny, a ty jesteś współwinny. Ile masz lat?

– Trzynaście.

– Widzisz się w poprawczaku aż do pełnoletności? Wepchnięty tam na pięć lat? Wiesz o tym, że w stanie Nowy Jork coraz ostrzej podchodzi się do małaolatów?

Miguel głośno wzdychał. Słabym głosem zapytał:

– A więc pan jest gliną?

– Ja jestem przyjacielem zamordowanej rodziny i szukam odpowiedzialnego za tę masakrę. Jak nazywa się twój opiekun?

– Juanito.

– To dla niego kupiłeś tego penisa?

Rzęsy chłopca zadrgały. Na jego ustach oblizywanych ciągle językiem ślina mieszała się ze łzami.

– Tak – przyznał.

– Gdzie można znaleźć Juanita?

W oczach chłopca pojawiło się przerażenie, a z ust wydobył się krzyk: – Zwariował pan? On mnie załatwi!

Harry Shulz ponownie wyciągnął zwitek banknotów studolarowych.

– Zawrzemy transakcję, Miguelu – zaczął bardzo łagodnym głosem. – Jesteś współwinny poczwórnego morderstwa, czy tego chcesz, czy nie, bo to ty dokonałeś zakupu przedmiotu służącego do dokonania zbrodni. Tak mówi prawo. Czy udowodnisz, czy też nie, że nie wiedziałeś wcześniej o zbrodni, która miała zostać popełniona, nie poprawia to twojej sprawy. Jesteś uciekinierem, włóczęgą i męską dziwką. Nie unikniesz poprawczaka. Z drugiej strony nienawidzisz życia, które prowadzisz w Nowym Jorku i które ten Juanito ci narzucił. Chętnie wróciłbyś do twoich rodziców, ale boisz się ojca. W najgorszym przypadku, co on może zrobić? Spuścić ci porządne lanie?

– On mocno bije – jęknął Miguel ze łzami w oczach.
– Mając do wyboru z jednej strony porządne lanie, a z drugiej kłopoty, które cię czekają w Nowym Jorku, co jest lepsze twoim zdaniem?

Miguel zawahał się.

– Myślę, że porządne lanie... – odpowiedział wreszcie trochę niechętnie.

– Ja też tak sądzę. Oto jak widzę sprawy. Weź na początek ten banknot. – Podał mu bilet studolarowy, który Miguel szybko zgarnął. – Powiesz mi, gdzie znajduje się Juanito, potem pokażesz to miejsce, a ja zajmę się resztą. Ciebie natomiast jutro rano pakuję do pierwszego samolotu w kierunku Florydy. Gdzie mieszkają twoi rodzice?

– Tampa.

– OK! Pierwszy samolot do Tamy. A w kieszeni będziesz miał pięć tysięcy dolarów. Twoją sprawą jest, jak poradzisz sobie z ojcem, jak wyjaśnisz mu pochodzenie tej forsy, jeżeli ją odkryje. Jeśli chodzi o Nowy Jork, nigdy więcej nie usłyszysz o Juanito ani o ofiarach mordu, które widziałeś przed chwilą. Ani o mnie. Nawet nie chcę znać twojego nazwiska ani dokładnego adresu twoich rodziców. Te pięć tysięcy dolarów odliczam ci już teraz.

Oczy Miguela rozwarły się szeroko.

– Pięć tysięcy dolarów! – wykrzyknął – Kurczę, pan jest chyba Świętym Mikołajem!

– Nie zawsze, mój worek zawiera nie tylko zabawki...

– Co pan robi Juanito?

Wzrok młodego Portorykańczyka błyszczał z ciekawości. Podejrzana ciekawość, zauważył Harry Shulz. Trochę go to zdenerwowało. Nienawidził tego dwuznacznego świata, w którym musiał się obracać z konieczności.

– Ciebie to już nie obchodzi – odparł sucho. – Akceptujesz transakcję?

– Pod warunkiem, że nie będę musiał stawać twarzą w twarz z Juanitem. On by mnie zabił!

– Nie musisz się o to martwić.

– Zatem zgoda.

Harry Shulz podał mu pięć tysięcy dolarów.

– A teraz słucham.

– No... to jest w zespole budynków na Sto Czterdziestej między

Cypress i Jackson, na południe od Saint Mary's Park. Od strony Cypress Avenue to trzeci budynek z lewej strony. Spalił się rok temu. Poprzedni lokatorzy spłynęli. W budynku nikt nie mieszka poza kilkoma włóczęgami. Juanito i ja mieszkamy na czwartym. Mamy całe piętro dla siebie. Trochę tam wieje, chociaż Juanito pozatykał okna deskami. Nie ma też wody, gazu, elektryczności. Ja zawsze biorę prysznic u klienta albo w hotelu. Juanito sam sobie radzi. Chce pan, żebym panu pokazał, gdzie to jest? Ale jak już powiedziałem, nie chcę spotkać Juanita...

Harry Shulz zastanawiał się przez chwilę.

– Nie, pójdę sam.

Odwiązał poczwórny sznur na bieliznę biegnący nad wanną i zdjął zeń damską odzież, która na nim wisała. Miguel zbladł.

– Co pan robi? – zapytał.

– Upewniam się, że będziesz tutaj, gdy wrócę. To ja ci sprawię porządne lanie, jeśli mnie okłamałeś.

– Nie mam gwarancji, że pan wróci – jęknął chłopak.

– A ja nie mam gwarancji, że mówisz prawdę. Więc zabezpieczam się. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wrócę tu przed świtem.

– Będę się bał z tymi trupami w pokoju obok...

– To jest dobra szkoła życia i śmierci. Przyda ci się na później, jak już wrócisz na Florydę i zmienisz skórę.

Harry Shulz związał chłopca i na wszelki wypadek, mimo jego protestów, zakneblował mu usta. Zgasił światła w domu i wyszedł. Wsiadł do chevroleta i zatrzymał się nieco dalej na Shore Road. Światła statków towarowych pobłyskiwały w nocy od strony Verrazano Narrows Bridge. Wsunął się pod wóz i wyjął ze schowka broń podobną do Karpia, ale strzelającą pociskami dziewięciomilimetrowymi. I do tego wyróżniającą się pewną specjalną osobliwością...

ROZDZIAŁ VII

Stacja benzynowa na Cypress Avenue otwarta była całą noc. Harry Shulz zatankował do pełna i podał pracownikowi stacji banknot studolarowy.

– Zwariował pan, czy co?! – wykrzyknął pracownik. – W takiej

parszywej dziurze jak tutaj załatwiają dla pięciu żetonów! Cały utarg jest w betonowej skarbonce, którą tylko szef może otworzyć! Nie mam jak...

– Reszty nie trzeba – rzucił Harry Shulz.

Twarz tamtego rozjaśniła się.

– Ale przecież dzisiaj nie ma Świąta Narodowego!

– Dlatego w zamian usługa. Zostawię tu swój wóz. Proszę mieć na niego oko.

– Oczywiście, psze pana. Ma pan rację. W tej gównianej dziurze zrobiono by mu striptease w kilka chwil! Ci gówniarze to asy, obdzierają wózek w takim tempie, że zostaje pan z tyłkiem na bruku!

– Więc niech pan dobrze go pilnuje.

Harry Shulz wyszedł ze stacji i ruszył Cypress Avenue idąc blisko krawęznika chodnika, aby odeprzeć ewentualny atak. W tym samym celu jego marynarka była odpięta, a prawą rękę trzymał zgiętą na wysokości pępka. Czuł, że mrok wokół niego pełen był niebezpieczeństw. W powietrzu czuło się wręcz napięcie o niepokojącej gęstości.

Minął kolejno Sto Trzydziestą Ósmą i Sto Trzydziestą Dziewiątą Ulicę i gdy dotarł na róg Sto Czterdziestej, nastąpił atak, nagły i gwałtowny. Cztery cienie wyłaniające się z mroku, kroki stłumione podszwami adidasów.

– Dawaj forszę, skurwielu, ale już!

Rękojeść Karpia już była w jego ręku. Broń zaświstała, jak to miała w zwyczaju, i krzyki cierpienia przeszły noc. Harry Shulz przerwał strzelanie. Jego wzrok wyróżnił kształty ludzkie leżące na rozwalonym chodniku. Dwa jeszcze się poruszały. Karp zaświstał jeszcze dwukrotnie i jęki natychmiast ustały. Wymienił magazynek i ruszył dalej. O świcie karawan z Czterdziestego Pierwszego komisariatu pozbiera trupy. Gliniarze z Południowego Bronxu nie chodzili tu nocą. Kiedyś nawet zostali oblężeni w komisariacie przez bandę rozpasanych łobuzów uzbrojonych jak batalion marines. Od tego czasu Czterdziesty Pierwszy komisariat nazywano Fort Alamo.

Wokół niego sterczały szkielety budynków. Wzdłuż rozbitych wybuchami chodników stopy nieczystości i smutne resztki dziesiątków Pojazdów wspartych na osiach. Znał Południowy Bronx z lat sześćdziesiątych, ze spokojną nacją Irlandczyków, Żydów, Niemców, Włochów, lecz od tamtych czasów owe klasy średnie wyemigrowały na spokojne przedmieścia, a ta dzielnica stała się brudnym i opuszczonym gettem, na wpół czarnym, na

wpół portorykańskim. Ten sam rak drażył inne wielkie miasta amerykańskie.

Dotarł do budynku opisanego przez Miguela. Zanim zostawił chevroleta w rękach pracownika stacji benzynowej, przezornie wyjął silną latarkę elektryczną ze schowka na rękawiczki. Oświetlił teraz parter, budząc całą armię szczurów. Betonowe stopnie schodów zostały oszczędzone przez ogień. Szedł po nich powoli, omijając gruzy. Na trzecim piętrze zgasił latarkę i zatrzymał się, nadsluchując. Poza piskami szczurów nie słyszał żadnych odgłosów. Niezwykle ostrożnie zaczął wchodzić na ostatni odcinek schodów, macając każdy stopień końcem buta, aby zapobiec jakiemukolwiek przesunięciu gruzu, który spadając, mógłby spowodować hałas. Minęło piętnaście minut, zanim dotarł na czwarte piętro. Znowu zatrzymał się, latarka przeszła do lewej ręki, a prawa chwyciła drugi pistolet, zabrany z chevroleta, a który genialny rzemieślnik Mike O'Flaherty określił jako Guts wykorzystując grę słów*.

* *Guts*: flaki; *Gats*: gnat.

Harry Shulz włączył latarkę i wskoczył do pierwszego pokoju po prawej stronie, gdzie nie było już drzwi. Pusto. Biegiem sprawdził całe piętro, latarka i Guts wymierzone przed siebie, ten ostatni gotowy do strzału. Piętro było puste. Harry Shulz powrócił na podest schodów i zastanowił się. Czyżby Miguel skłamał? Tym razem powoli przeprowadził ponowny rekonensans. Niewątpliwie ktoś tu mieszkał. Świadczyły o tym materace, koche-ry, resztki mebli, siedzenia wyrwane z samochodów, brudne prześcieradła, koce, butelki do połowy pełne, pogniecione paczki papierosów, pety, wyszczerbione filiżanki. Poza tym otwory okienne były zabite deskami, jak mówił Miguel.

A jeśli Juanito nie powrócił jeszcze do bazy? Możliwe. Spojrzał na zegarek. Dochodziła druga. Postanowił zaczekać. Usiadł na siedzeniu z samochodu ustawionym na drewnianych skrzynkach i opartym o tynk obskubanej ściany, zgasił latarkę i położył Gutsa na prawym kolanie.

Zmusił się, by w tym momencie zapomnieć o zgrozie, która go ogarnęła po odkryciu masakry Mary Scarazella i jej trzech córek. Dotąd działania znieczulały cierpienie, które teraz budziło się jednak. Aby odpędzić myśli od tych smutnych spraw, zaczął zastanawiać się nad kontraktem na Blumfelda. Od tej strony jego plan działania znakomicie się układał. Jimmy'emu Kodashowi udało się sprowadzić Alexa Blumfelda do Nowego Jorku

i przeciągnąć jego pobyt aż do piątku. Rewelacyjnie. Gdzie mieszkał Blumfeld, gdy był w Nowym Jorku? Po prostu w swej rezydencji pod numerem 812 na Piątej Alei, w bardzo pięknym budynku pochodzącym z początku wieku. A Harry Shulz miał już tę rezydencję pod obserwacją. Rządziła tam kobieta. Prawdopodobnie ta sama, której głos odpowiedział na jego telefon, gdy nakręcił numer telefonu budynku przy 812 na Piątej Alei, aby dowiedzieć się, czy Alex Blumfeld znajduje się w tej chwili w Nowym Jorku. Kobieta pięćdziesięcioletnia, drobna, nie rzucająca się w oczy, opiekująca się rezydencją przez cały rok, w czasie obecności i nieobecności Blumfelda. Zapewne równocześnie gospodyni, pomoc domowa i kucharka. Każdego ranka jechała wozem po zakupy do Guardino's Food Marketu na Drugiej Alei, na wysokości Siedemdziesiątej Ósmej Ulicy, do supermarketu, gdzie można było dostać wszystko. Następnie podjeżdżała na Osiemdziesiątą Szóstą Ulicę Wschodnią, w samym sercu Yorkville, dzielnicy niemieckiej i wstępowała do *Wienerschnitzel*, aby spróbować kilku kawałków niemieckich ciast: *kugelhoff* lub *dampfnudel*, popijając to filiżanką kawy po wiedeńsku. To nie dziwiło Shulza, jako że jej nazwisko, zapisane na miedzianej płytce zamocowanej na tablicy rozdzielczej jej chryslera, brzmiało: Frieda Hartzmann.

Harry Shulz wiedział to wszystko, gdyż wielokrotnie śledził ją, jeszcze nim Jimmy Kodash otrzymał odpowiedź na swój telegram. Rytuał był niezmienny. Guardino's Food Market i *Wiener schnitzel*. Nawet obecność Alexa Blumfelda nie zmieniała tych dobrze zakorzenionych przyzwyczajeń. Poza tymi wyjściami zajęcia Friedy Hartzmann łatwo było podsumować. Wysyłka listów, zakup pism kobiecych i częste przystawanie, ale bez wchodzenia, przed tym samym jubilerem: *Lemarchand's Jewels*, na Drugiej Alei. Wydawała się nie mieć innego osobistego życia poza tym, które prowadziła, miękko schowana za wspaniałą fasadą pod numerem 812 na Piątej Alei.

W trakcie jednego z jej pobytów w *Wienerschnitzel* Harry Shulz wypróbował na zamku tylnego bagażnika chryslera jeden ze swych wytrychów i szybko znalazł taki, który pasował. Do tego bagażnika Frieda Hartzmann wkładała pudło na zakupy zawierające produkty zakupione w Guardino's Food Market.

Jeśli chodzi o Alexa Blumfelda, to przebywał on w Nowym Jorku dopiero od dwóch dni, ale jego pobyty w rezydencji były krótkie. Pojawiał

się późnym wieczorem i wyjeżdżał bardzo wczesnym rankiem. Huragan aktywności, cyklon nie pozwalający bażantom na żaden odpoczynek. Te ostatnie musiały dobrze się trzymać, gdyż bażant latał nisko, a rekin stawał się pełen fałszywej słodyczy, aby łatwiej chwycić swoje ofiary... Alex Blumfeld interesował się ich forsą. Tym gorzej dla ludzi o skłonnościach samobójczych i dla zbyt ciekawych prywatnych detektywów...

Zgrzyt katowanych hamulców na ulicy... Harry Shulz nastawił ucha i wymazał ze swego umysłu kontrakt na Blumfelda. Juanito powracający do gniazda? Głosy na ulicy.

Wstał i wyszedł z pokoju, w którym się znajdował, aby zacząć się za stosem desek opartych skośnie o jedną ze ścian podestu. Ktoś zapewne przyniósł je tu w celu użycia ich do zatkania dziur po oknach. Deski były postawione jedne obok drugich i stanowiły niezły schron.

Odgłosy rozmowy narastały. Z kierunku klatki schodowej. Harry Shulz zastanawiał się, czy inni ludzie mieszkali na trzech dolnych piętrach. Nie wykrył niczyjej obecności, ale istniała taka możliwość, że nadchodzący nie byli tymi, których oczekiwał, lecz po prostu innymi mieszkańcami budynku.

Głosy stawały się bardziej rozróżnialne, gdyż oczywiste było, że idący nie starali się ściszyć tonu. Wprost przeciwnie, wyglądało to tak, jakby przez swą siłę starały się ubłagać, obłaskawić lęk mroku. Potem przez szczeliny między deskami Harry Shulz ujrzał, że ściany nagle rozświetlają się. Nowo przybyli przezornie zaopatrzyli się w latarki. Teraz głosy były wyraźne:

- Cholera, o mało nie rozwalilem się na tych pieprzonych kamieniach!
- Chce mi się śmiać, gdy sobie przypomnę minę tego gnojka, co mu siknęliśmy witriolem prosto w gębę!
- Dobrze zrobiliśmy, zostawiając go przy życiu. Niech teraz zobaczy, jak się żyje na ślepo, jak te cztery cipki z Brooklynu!
- Aleśmy się z nimi ubawili!
- W gruncie rzeczy może niesłusznie je stuknęliśmy, bo przecież nigdy by nas nie rozpoznały! Gdyby gliny zapytały, kto je wyhaczył, to nie mogłyby nic odpowiedzieć, nie mogłyby nas opisać, bo przecież były ślepe!
- Tak jak tamten gnojek obłany witriolem!

– Nie masz racji, Juanito, on mógł nas zapamiętać. Może lepiej było go stuknąć?

– Nie łam się, co zrobione, to zrobione. Kto nas odnajdzie? Jesteśmy nie do złapania. Namierzył nas ktoś przy tamtych numerach?

– Myślisz, że Miguel przyniósł trochę forsy?

– Dobrze by było, bo inaczej będzie tęgie lanie.

A więc – pomyślał Harry Shulz, oszalały z wściekłości, gdy wyodrębnił trzy różne głosy – to ci trzej byli odpowiedzialni za masakrę i okropności w Brooklynie. Juanito i dwaj pozostali. Już wcześniej czuł, że u Mary Scarazella działało kilku ludzi, a teraz był tego pewien.

– Juanito, pamiętaj, żeby Miguel kupił nam nowego sztucznego człowieka. Jak mogliśmy być takimi głupkami, żeby zostawić tamtego w Brooklynie!

– Nie zwracaj sobie tym głowy, tego jest pełno w sex-shopach!

Poprzez szczeliny między deskami Harry Shulz rozróżnił trzy sylwetki, które stając po ostatnich stopniach stanęły na podeście. Stali naprzeciwko niego. Wołał to. Żeby widzieli, jak śmierć nadchodzi. Wyskoczył spoza desek. Trzy latarki elektryczne wyodrębniły go spośród nocy i utworzyły jedną wiązkę skierowaną na niego. Głosy zamilkły, tylko jeden odezwał się:

– Kto to jest ten facet?

Harry Shulz nacisnął cyngiel Gutsa. W każdej sylwetce mierzył w punkt umiejscowiony po lewej stronie od trzymanej przed sobą latarki – tam, gdzie był pępek. Wycia wypełniły podest i latarki upadły na gruz, ale żadna nie zgasła. Harry Shulz podszedł i wystrzelił do każdego z wijących się z bólu ciał drugą kulę, mierząc w brzuch. Wiedział, że żaden z nich nie zginął. Świadczyły o tym ich odgłosy. Śmierć nastąpi dopiero znacznie później, gdy kule z fosforem wynalezione przez Mike'a O'Flaherty'ego dokonają swego dzieła we wnętrzościach, jak parzący strumień lawy. Los był bezlitosny. Nic nie mogło ich uratować, nawet gdyby ratunek przyszedł natychmiast. Nic. Jedyne, co medycyna mogła dla nich uczynić, to ulżyć ich cierpieniom za pomocą morfiny, ale nic więcej. Harry Shulz mógł, używając Karpia, wykończyć ich kulą w głowę, ale nie chciał tego, ponieważ okropności, które odkrył u Mary Scarazella, podsycaly jego nienawiść do tych trzech morderców. Niech cierpią jak najdłużej, pomyślał.

Opuścił to miejsce ruszając dłuższą drogą, aby ominąć trupy tych,

którzy napadli na niego wcześniej tej nocy. Zapewne wciąż byli w tym samym miejscu. Kogo to zresztą obchodziło?

– Nie powinien pan chodzić piechotą w tej zasranej dzielnicy! – wykrzyknął pracownik stacji benzynowej, gdy zobaczył go ponownie. – Chyba że pan chce, żeby pańska stara odebrała za pana ubezpieczenie na życie. Widział pan to? – Z triumfującą miną wyciągnął z przedniej kieszeni kombinezonu Colta .45. – I umiem się nim posługiwać! Pomyśl pan, dwa lata w marines w tym pieprzonym Wietnamie! Gliny z Czterdziestego Pierwszego komisariatu wiedzą, że go mam, ale przysmykają oczy. Tu już czterech gnojków chciało na mnie napaść i załatwiłem ich. Pif paf! Steve'owi tego się nie robi! To dlatego szef daje mi premię za ryzyko!

– I to zasłużoną – zapewnił Harry Shulz siadając za kierownicą. – Nie staje się pan neurastenikiem w takim zapadłym kącie jak ten?

– Trzeba brać Nowy Jork takim, jaki jest, psze pana. Ale zobaczy pan, że któregoś dnia ludzie będą mieli po dziurki w nosie tych miast-mrówkowców. I w tym dniu zburzą wszystkie drapacze chmur. Może wtedy zwróci się Manhattan czerwonoskórym...

Miguel spał, kiedy Harry Shulz wrócił do domu w Brooklynie. Świt jeszcze nie nastał i dzielnica pogrążona była we śnie. Oswobodził z więzów chłopaka, który otworzył oczy. Natychmiast obmacał się sprawdzając, czy wciąż ma pięć tysięcy dolarów. Ziewnęła i spojrzał z ciekawością na Harry'ego Shulza.

– Znalazł pan Juanita? – zapytał.

– Zapomnij o Juanito – surowym tonem poradził mu Harry Shulz – i zapomnij także o Nowym Jorku. Pomyśl o Florydzie i powiedz sobie, że lepiej ci będzie tam w Tampie nawet z laniem od ojca, gdy wrócisz do rodziny. Wstawaj, wychodzimy.

– Dokąd?

– Lotnisko Kennedy'ego.

– A więc to prawda? Nie wcisnął mi pan kitu?

Nagle Miguel wybuchnął płaczem. Harry Shulz odwrócił się zażenowany.

– Pośpiesz się, bo samolot ci odleci.

Opuścili dom i Harry Shulz ruszył w kierunku Flatbush. Dzień akurat wstawał. Pierwsi robotnicy i pierwsze sklepy witali ten wtorkowy ranek. W jakimś punkcie z przecenioną odzieżą Harry Shulz kupił dla Miguela nowe ubranie. Wręczył mu je mówiąc:

- Przebierzesz się w toalecie na lotnisku.
- Jestem głodny – poskarżył się Miguel ziewając szeroko. – I pić mi się chce.

- Poczekaj.

Na Rockaway Avenue, w samym środku Wschodniego Nowego Jorku, Harry Shulz kupił naleśniki i czarną kawę i przyniósł je do samochodu. Znow ruszył i pojechał dalej na Queens, podczas gdy Miguel napychał się. Gdy dotarli na lotnisko, Harry poszedł do informacji, by sprawdzić, że pierwszym samolotem w kierunku Tampy jest lot National Airlines numer 125. W towarzystwie Miguela udał się do biura National Airlines i wykupił jeden bilet w jedną stronę podając, ze względu na wygląd Miguela, jakieś nazwisko zmyślane, ale o brzmieniu hiszpańskim. Po wypełnieniu tej formalności rozkazał chłopakowi, wskazując na ubranie spakowane w torbie:

- Idź się przebrać w toalecie. Przynajmniej będziesz porządnie wyglądał przybywając do rodziny i może unikniesz porządnego lania.

- Pan nie zna mojego ojca – jęknął Miguel.

- Dobra rada: przed domem przebierz się za arlekina, przypinając studolarowe banknoty do ubrania. Jestem pewien, że twój ojciec cię nie tknie. Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby dawać lanie synowi marnotrawnemu, który powraca obsypany złotem.

- Pan to ma łeb!

Gdy Miguel wyszedł z toalety, wywoływano już pasażerów jego lotu. Ubranie było ciut za duże, ale młody Portorykańczyk nie miał przynajmniej wyglądu włóczęgi. Harry Shulz podał mu bilet i kartę pokładową.

- Drzwi przed tobą.

Miguel zagryzł dolną wargę.

- Nie wiem, co powiedzieć – przyznał.

- Nie musisz nic mówić, nawet dziękuję. Obiecuj mi coś po prostu, a uwierzę ci na słowo.

- Co mam obiecać?

- Nie ruszaj się już z Tampy.

- Słowo.

- *Vaya con Dios*, Miguel.

- *Adios*, psze pana.

Miguel włączył się w strumień pasażerów lotu nr 125, oddał swoją kartę pokładową stewardesie i zniknął. Później, poprzez oszkloną kopułę, Harry

Shulz zobaczył, jak samolot DC 10 National Airlines, oznakowany greckim profilem w kolorze pomarańczowym z jaskrawo czerwoną czupryną na tle żółtego słońca, wykręca w kierunku pasa startowego. Jeszcze trochę później zobaczył go, gdy startował. Westchnął i poszedł do kafeterii. Czy Miguel po przybyciu do Tamy powróci do rodziny? Czy w ostatnim momencie zrezygnuje z tego, bojąc się tęgiego lania, a także i ze względu na znaczną kwotę w kieszeni? Czy ponowi swe wędrówki, wpadając któregoś dnia w sidła kolejnego Juanita?

Nie wiedział i bałby się nawet iść o zakład o to, co ten chłopak wybierze. Dał mu szansę. Miguel dysponował wolną wolą. Sam musi zdecydować. Po chwili już wygonił Miguela ze swego umysłu i skoncentrował się na kontrakcie na Blumfelda. Jest wtorek. Zastawi pułapkę od jutra, od środy. Na razie czuł się przybity, zmęczony i upiornie chciało mu się spać. Każdy dzień miał swoje cierpienie. Wyszedł z kafeterii, odnalazł chevroleta Caprice i pojechał w kierunku Manhattanu. Budynek, w którym mieszkał na Park Avenue, miał prywatny trzypiętrowy parking. Ustawił wóz w zamkniętym, zarezerwowanym miejscu, wysiadł i wyciągnął się na kocu położonym na betonie. Po załadowaniu Gutsa nowymi nabojami z metalowej szafy zainstalowanej w tylnej ścianie garażu, włożył broń na miejsce. Następnie zmienił tablice rejestracyjne chevroleta. Miguel mógł zanotować numer, podobnie jak pracownik stacji benzynowej na Cypress Avenue w Południowym Bronxie, a nawet sąsiedzi Mary Scarazella. Nie ma potrzeby pozostawiania śladów. A jutro, przed wykonaniem kontraktu na Blumfelda, pozbędzie się Caprice. Znał idealne miejsce, gdzie wóz mógł się ulotnić bez śladu: Południowy Bronx...

ROZDZIAŁ VIII

– Widział pan, panie Shulz, tego staruszka Graziano Tonnerre? Facio myślał, że z takim nazwiskiem będzie demolował ring!*

* *Tonnerre* – grzmot, grom.

Samym krzykiem przy dziennikarzach nie da się zmasakrować Gusa Pasneвича! Myślał, że ta jego brutalna lewa łapa otworzy mu drogę do mistrzostwa świata! Ale Gus przywrócił go do porządku! Gus nie jest pętkiem! W rytmie raz-dwa, lewa-prawa przeszedł na podwójny hak, lewa-

prawa, bum-bum, aż Graziano przestał widzieć reflektory! Oslupiał, tak był zdumiony, że zapomniał o podbródku! A przecież jego podbródek jest wielki jak Statua Wolności! Ten podbródek był widoczny nawet z ostatniego rzędu! Gus też go zobaczył! Kurcze, ten jego sierpowy, jak start rakiety! Tak jak na treningu, bez pośpiechu! I Graziano leżał; nos na deskach, ochraniacz zębów w migdałkach!

– W której rundzie, Jerry? – zapytał Harry Shulz.

– W siódmej. Do tego czasu Gus demolował go pomalutku, jak młotem pneumatycznym, chroniąc się przed tą jego brutalną lewą łapą. Dobre przygotowanie gruntu. Gus działa jak prawdziwa piła mechaniczna, gdy się do tego przyłoży. Tu miał Graziana na swej łasce. Koronkowa robota. Graziano ma mózdzek jak kulka od bilarda. Niezła gadka i brutalna lewa łapa, to wszystko. Reszta to zero.

Jerry Otrano sięgnął po *New York Timesa* leżącego na pulpicie w holu wejściowym budynku. Pulpit wyposażony był w konsolę, na której zbiegały się obrazy przekazywane na jej ekrany przez elektroniczne kamery rozmieszczone w strategicznych punktach budynku. System miał zabezpieczać przed wtargnięciem do środka osób niepożądanych.

– Niech pan patrzy, panie Shulz, to facjata Graziana Tonnerre po tym, jak Gus Pasnevich przeorał ją jak zagon kartofli! Jest pełna kraterów jak powierzchnia księżycy!

Jednak wzrok Harry'ego Shulza co innego przyciągnęło w gazecie. Był to duży tytuł na pierwszej stronie: CZŁOWIEK OŚLEPIONY KWASEM WE WŁASNYM MIESZKANIU NA MANHATTANIE!

Szybko przebiegł wzrokiem cały artykuł. Jakiś Ted Silvers napadnięty przez trzech mężczyzn. Powracały mu w pamięci, uchwycone poprzedniej nocy, urywki rozmowy między trzema bandziorami odpowiedzialnymi za masakrę u Mary Scarazella... *Chce mi się śmiać, gdy sobie przypomnę minę tego gnojka, co mu siknęliśmy witriolem prosto w gębę!... Dobrze zrobiliśmy zostawiając go przy życiu!... Nie masz facji, Juanito. Ten gnojek mógł nas zapamiętać. Może lepiej było go stuknąć?*

Harry Shulz miał przecucie, że chodziło o tych samych bandziorów.

Jerry Otrano czytał mu przez ramię i głośno oburzał się:

– Wie pan, panie Shulz, co powinno się zrobić takim okrutnym bandytom?

– Co? – zapytał Harry Shulz, odnotowując w pamięci, że Ted Silvers został przywieziony do Harlem Eye and Ear Hospital, 2099, Lexington Avenue. Nie znał tego szpitala, ale na podstawie numeru umiejscawiał go na północy Manhattanu, na granicy Harlem River oddzielającej Manhattan od Południowego Bronxu.

– Powinno ich się przypiekać na małym ogniu, panie Shulz, żeby długo cierpieć!

– Całkowicie się z tobą zgadzam, Jerry.

Zwrócił mu gazetę, nie starając się nawet rzucić okiem na strony sportowe, aby sprawdzić, co przypominała twarz Graziana Tonnerre po morderczych ciosach Gusa Pasnevicha. Pod wpływem nagłego impulsu postanowił, że odwiedzi Teda Silversa w Harlem Eye and Ear Hospital. Ta niewinna ofiara bandziorów łączyła się w jego umyśle z Mary Scarazella i jej trzema córkami. Ich cierpienia, męczarnie, śmierć spowodowali ci sami osobnicy, lub – jeśli mylił się utożsamiając napastników rodziny Scarazella z tymi, którzy napadli na Teda Silversa – byli to osobnicy *tej samej kategorii*. Po chwili przyszła mu do głowy inna myśl. Mary Scarazella i jej córki były niewidome. Od śmierci Pete'a to on, Harry Shulz, dbał o ich potrzeby, gdyż wszystkie cztery były całkiem bezbronne w dżungli, która w końcu XX wieku przekształcała życie w piekło. Teraz nie żyły, ale inny człowiek, ofiara ohydneho napadu, stał się z kolei niewidomy. Ze stu tysięcy dolarów pozostawionych przez Pete'a Scarazella na utrzymanie swej rodziny po jego śmierci w Nairobi pozostało jeszcze około sześćdziesięciu tysięcy plus odsetki z lokaty długoterminowej. Te pieniądze nie należały do Harry'ego Shulza. Stanowiły one własność Pete'a, lecz czy Pete, ojciec rodziny czterech niewidomych, nie byłby zadowolony, że jego pieniądze przynoszą pożytek innym niewidomym, skoro naturalni beneficjenci odeszli z tego świata? Może ten Ted Silvers potrzebował pieniędzy na opłaty szpitalne i później na dalsze życie? Harry Shulz był pewien, że Pete Scarazella zaprobowałby jego działania i użytek, który chciał zrobić z sześćdziesięciu tysięcy dolarów, gdyby okazało się, że Ted Silvers rzeczywiście potrzebuje pomocy finansowej.

Jerry Otrano ciągnął swoje wywody:

– Prawdziwa zaraza, te gnojki, panie Shulz! Co za łachudry! Niech mi tylko dadzą spluwę, a razem z kumplami oczyszczę Nowy Jork! To konkretne chłopy! Tu trzeba postąpić tak, jak to kiedyś robiono na Dalekim

Zachodzie! Jak sobie pomyślę, jaka była w tamtych czasach Ameryka! Aż się roilo od odważnych! A teraz, wie pan, czym się staliśmy?

– Mięczakami – odparł Harry Shulz.

– Dokładnie tak, panie Shulz! Niektórzy, tacy jak generał Custer, szeryf Waytt Earp, Buffalo Bill, wszyscy łowcy *bounties*, muszą się przewracać w grobie!

Harry Shulz poklepał go po ramieniu po przyjacielsku.

– Ty i ja pewnego dnia zmienimy to.

– Jasne, panie Shulz! Gdyby okazało się, że potrzebuje pan pomocnej dłoni do zrobienia porządku, może pan liczyć na mnie, jeszcze nie jestem próchnem mimo moich czterdziestu pięciu lat!

– Będę pamiętał, Jerry.

Harry Shulz skierował się do garażu i tam wyjął Gutsa ze schowka pod wozem. Zamknął go w metalowej szafie. To samo zrobił ze wszystkimi innymi przedmiotami wyjętymi z wozu, aby nie narazić się na rozpoznanie. Usiadł za kierownicą i wyjechał z parkingu w kierunku Południowego Bronxu. Wybrał ulicę tak samo opuszczoną jak ta, na której był poprzedniej nocy, blisko metra na Brook Avenue. Pozostawił tam chevroleta Caprice pewien, że zostanie ukradziony w ciągu najbliższego kwadransu. Aby ułatwić kradzież, pozostawił zresztą kluczyki w stacyjce i otwarte drzwi. Następnie piechotą dotarł do stacji metra na Brook Avenue. Była to linia sieci I.R.T. dochodząca aż do Pelham Bay Park. Wyszedł na peron w kierunku północnym, potem wsiadł do składu pociągu, który właśnie nadjeżdżał. Wsiadł na Hunt's Point Avenue i Southern Boulevard doszedł do Aldus Street. To tam mieścił się skład używanych wozów Casey'a Boile'a. Irlandczyk znalazł mu chryslera Cordobę po rozsądnej cenie i wypełnił odpowiednie formularze. Harry Shulz podał nazwisko Jake Mahone, gdyż takie posiadał fałszywe prawo jazdy, i wyjechał swoim nowym wozem w kierunku południowym, aż do mostu na Trzeciej Alei nad Harlem River. Po przekroczeniu rzeki pojechał Lexington Avenue która, ku wygodzie użytkowników dróg, była jedną z alei Manhattanu prowadzących na południe. Na wysokości Sto Dwudziestej Ósmej Ulicy odszukał Harlem Eye and Ear Hospital.

W okienku informacji przedstawił się jako krewny i powiedziano mu, na którym oddziale przebywa Ted Silvers. Wsiadł do windy i dotarł na właściwy oddział. Tam został jednak zatrzymany przez pielęgniarkę,

której plastikowa plakietka identyfikacyjna przypięta do nieskazitelnie białego kitla informowała, że nazywa się Carole Weingarten.

– To nie jest pora wizyt – zaprotestowała.

Harry Shulz skierował do niej swój najbardziej uwodzicielski uśmiech.

– Przyjechałem prosto z Południowej Karoliny zobaczyć starego kumpla Teda Silverssa. Dowiedziałem się z gazet o tej okropności, która mu się przydarzyła... W *New York Times*... To oburzające... Chciałbym coś dla niego zrobić... A muszę zaraz wracać do Raleigh...

– Przykro mi, ale...

Jak za pociągnięciem różdżki czarodziejskiej studolarowy banknot pojawił się w palcach Harry'ego Shulza.

– Jestem człowiekiem interesu, któremu się dobrze powodzi, a nie jestem pewien, czy stary Ted czuje się ostatnio pewnie finansowo... Chciałbym mu pomóc w tym paskudnym momencie...

Położył banknot na ladzie. Pielęgniarka rozejrzała się wokoło. Nikogo nie było w pobliżu. Przybliżyła się do lady i jakby niechcący położyła ciężki rejestr w czarnej okładce na banknocie studolarowym.

– Niczego pan się od niego nie dowie... – powiedziała. – Nie będzie miał pan więcej szczęścia niż policja...

Harry Shulz zmarszczył brwi.

– Zmarł?

– Nie, ale wygląda na to, że stracił zmysły. Bredzi. Zimna woda często powoduje takie reakcje.

– Zimna woda?

Wobec zdziwionej miny Harry'ego Shulza wyjaśniła bezbarwnym głosem:

– Gdy policja przywozi nam pacjenta, który został obłany witriolem i którego oczy zostały uszkodzone, natychmiast instalujemy go pod zimnym prysznicem, całkowicie nagięgo, usadowionego na specjalnym krześle, którego oparcie utrzymuje głowę odchyloną do tyłu i w konsekwencji oczy są uniesione w kierunku sitka, z którego cieknie zimna woda. Jej działanie łagodzi szkodliwe działanie kwasu siarkowego. Przynosi to efekty, jeśli między kontaktem z kwasem a przybyciem pacjenta do nas nie upłynie zbyt długi okres czasu. Niestety jedną z niedogodności tej terapii jest głęboki uraz psychiczny, jakiemu ulega pacjent zamknięty przez długie godziny

w kabinie prysznicowej. Uważamy, że uraz ten jest drugorzędny, bo można go wyleczyć w późniejszym terminie, czego nie da się powiedzieć o działaniu kwasu, jeśli nie zareaguje się wystarczająco wcześnie.

– Czy Ted się z tego wyliże, chodzi mi o oczy?

Pielęgniarka spłoszyła się i jej wzrok umknął na bok.

– Aby być z panem całkiem szczerą, nie sądzę. Za dużo czasu upłynęło między momentem napadu a czasem, gdy go do nas przywieziono.

Harry Shulz wsunął drugi banknot studolarowy pod rejestr w czarnej okładce.

– Mogę go zobaczyć? Nawet jeśli nic nie powie, chciałbym rzucić okiem na starego kumpla. Obiecuję, że nie zostaną dłużej niż pięć minut.

Pielęgniarka zawahała się, a potem skapitulowała.

– Nie dłużej niż pięć minut.

– Rozumiem. Czy jacyś krewni, znajomi odwiedzili już go?

– Nikt oprócz policji. Ale nic nie mógł im powiedzieć, bredzi. Wydaje mi się, że złożył policjantom jakieś zeznania, zanim umieszczono go pod zimnym prysznicem, gdyż wówczas był jeszcze przytomny, ale od wyjścia spod prysznica bredzi. Tędy, proszę za mną.

Otworzyła któreś drzwi i cofnęła się, żeby przepuścić Harry'ego Shulza. Pokój był mały, całkowicie zaciemniony. Pielęgniarka zapaliła nocną lampkę, która sączyła skąpe żółtawe światło. Na łóżku leżał mężczyzna o obfitej czuprynie, kosmyki z przodu były przylepione potem do czoła. Czoło stanowiło zresztą, przynajmniej w jego górnej części, jedyną widoczną część twarzy. Reszta pokryta była bandażami, z wyjątkiem dwu kawałków skóry na złączeniu szczęk i uszu. Na w pół otwarte usta tworzyły ciemny otwór w bieli opatrunku, podobnie jak wyloty nozdrzy. Ramiona były przyklejone do tułowia. Harry Shulz odniósł wrażenie, że znajduje się w obecności nieboszczyka; tylko, że nieboszczyk nie wypowiada ani jednego słowa, podczas gdy ten tutaj mówił:

– ...Jestem tu, bo udzielono mi pomocy, proszę się nie martwić, nie ma już problemów... Bez rąk, bez palców... Nie chcę zostać zgwałcony... Blondyn, Portorykańczyk, czarny... Bez rąk, bez palców... Sandro, dzwoniłem do ciebie, nikt nie odpowiadał... Musiałem zadzwonić gdzie indziej, poprosić, aby policja mi pomogła... Nie obciążajcie mnie odpowiedzialnością za to, co się dzieje... Bez rąk, bez palców będzie żyć beze mnie... Tonę w ciemnościach... Weźcie wszystkie moje pieniądze! Wszystkie! Ale

zostawcie mi wzrok, błagam was!... Proszę do mnie nie mówić, proszę mi niczego nie wyjaśniać, wiem wszystko. Zabroniono mi ponownie widzieć się z panią. Więc grajcie beze mnie bez rąk, bez palców. Spędzam z nocą najbardziej jasne chwile, zyskuję jej zaufanie... Na początku była bardzo nieufna względem mnie, była nieśmiała, ale obłaskawiłem ją jak uwięzionego ptaka. Powolutku czas zrobił swoje... Czuję obecnie, że podbiję ją całkowicie... Ale wcześniej była katastrofa, nie miejcie do mnie pretensji! Nigdy nie będę całkiem sam z nocą!... Rozumiem, że coś poważnego się stało, ale Sandro, kontynuuj beze mnie, bez rąk, bez palców i zostaw mnie sam na sam z moją nocą. Nie martw się tym strasznym wypadkiem...

– Sam pan słyszy, że bredzi – rzuciła pielęgniarka.

Harry Shulz przyglądał się obu rękoma Teda Silvera.

– Co on chce powiedzieć przez to: bez rąk, bez palców? Przecież nikt nie amputuje mu rąk, skoro to jego twarz została oblana witriolem! – wykrzyknął.

– Oczywiście, że nie.

– Więc?

– Maligna. Wspomnienia, które napływają z podświadomości i unoszą się na powierzchni. Być może napastnicy zagrozili mu uszkodzeniem palców i rąk? Z tego co zrozumiałam, był długo torturowany... Pana pięć minut już upłynęło.

Harry Shulz pokręcił głową i wyszedł. W kabinie windy powróciły mu w pamięci fragmenty długiego monologu Teda Silvera... *Nie chcę zostać zgwałcony... Blondyn, Portorykańczyk, czarny...* Przywołał obraz z podestu czwartego piętra budynku wskazanego przez Miguela na Sto Czterdziestej Ulicy. Wskoczył zza zasłony z desek, potrójny strumień światła z latarek elektrycznych skierowany na niego. Język spustowy Gutsa działał ciężko, była to jedna z wad tej broni, należało mocno ciągnąć. Na oko celował w pępek, wystrzelił trzykrotnie, latarki elektryczne upadły, ale nie popękały. Rozległy się wycia. Łoskot upadających ciał po hałasie spowodowanym przez latarki. Podszedł bliżej. Żadna z latarek nie kierowała swego strumienia światła na twarze trzech mężczyzn. Oświetlenie było rozproszone. Jednak przypomniał sobie. Jeden istotnie był blondynem, a drugi czarnym. Jeśli chodzi o trzeciego, mógł być Portorykańczykiem. Trudno powiedzieć, ale te różne elementy prowadziły jednak w kierunku hipotezy, jaką wysunął czytając artykuł w gazecie Jerry'ego Otrano. Na Teda Silvera napadli

ci sami, co zamordowali Mary Scarazella i jej trzy córki. Był o tym przekonany. Na razie nie mógł nic zrobić dla Teda Silvera. Należało poczekać, aż wyzdrowieje i wróci mu świadomość. Może jutro? Nie, jutro Harry Shulz będzie zajęty. To był dzień, który ustalił sobie na wykonanie kontraktu na Blumfeldzie. Może więc za dwa dni? Tak, za dwa dni przyjdzie odwiedzić tego biednego faceta. Tylko jak go przekonać do przyjęcia pieniędzy? I czy nie wyda się podejrzanym proponowanie mu konkretnej sumy? Ale dlaczego zaczynać od dużej kwoty? Idiotyczne i niebezpieczne. Na przykład tysiąc dolarów na początek. Należy odgrywać dobrego samarytana, człowieka interesu, któremu dobrze się powodzi, który pochyla się nad losem ofiar, jak to robiła Sharon Wood i Stowarzyszenie Obrony Małych Akcjonariuszy i Drobnych Ciułaczy...

ROZDZIAŁ IX

Siedząc za kierownicą chryslera Cordoby Harry Shulz widział, jak Frieda Hartzmann wyszła spod numeru 812 na Piątej Alei i wsiadła do swego chryslera. Włączył silnik i ruszył za nią. Szybkość, z jaką prowadziła auto, znacznie odbiegała od średniej nowojorskiej, co zmuszało Harry'ego do utrzymania ślimaczego tempa, wywołując szereg rozwścieczonych dźwięków klaksonu za jego plecami. Dotarła tak do Drugiej Alei na wysokości Siedemdziesiątej Ósmej Ulicy i wjechała na parking zarezerwowany dla klientów *Guardino's Food Marketu*. Harry Shulz naśladował ją, ale wybrał miejsca odległe od tego, w którym zaparkowała swój wóz. Następnie pozwolił się jej nieco wyprzedzić i poszedł za nią. Jak zauważył, wyraźnie preferowała produkty firmy Libby's. Puszki konserw, które wrzucała do metalowego wózka, pochodziły z tej firmy. Skończyła swój obchód działów i skierowała się ku kasom. Harry Shulz kupił butelkę soku grapefruitowego i wrócił na parking. Frieda Hartzmann doniosła kartonowe pudło z zakupami do bagażnika swego auta i następnie ruszyła kierując się do Yorkville. Tam zaparkowała chryslera na płatnym parkingu, wrzuciła monetę do parkometru i pieszo Osiemdziesiątą Szóstą Ulicą dotarła do *Wiener-schnitzel*. Harry Shulz wypatrzył miejsce sto metrów dalej. Także wrzucił monetę we wcięcie parkometru i otworzył bagażnik Cordoby. Wziął puszkę

z nawierconymi otworkami, wyjętą wcześniej z metalowej szafki w swym boksie garażowym i umieścił ją pod pachą. Następnie spokojnie ruszył ulicą aż do miejsca, gdzie stał chrysler Friedy Hartzmann. Postawił puszkę na brzegu chodnika, ogarnął wzrokiem otoczenie i wyjął z kieszeni wytrych, który poprzednio wypróbował i którym mógł otworzyć bagażnik pojazdu. Uniósł klapę, odszukał pudło z zakupami i szybko wyjął z niego zakupy, kładąc je na spodzie bagażnika. Po wykonaniu tego chwycił puszkę z otworkami i opróżnił jej zawartość do pudła. Pośpiesznie umieścił zakupy na swym miejscu i opuścił wieko, nie zapominając przykleić taśmy samoklejącej, którą oderwał, aby otworzyć karton. Szybko zamknął bagażnik i ruszył dalej, niosąc pod pachą puszkę z otworkami.

Frieda Hartzmann nie pozostała w *Wienerschnitzel* dłużej niż dozwolone przez parkometr czterdzieści minut. Wyszła i wsiadła do wozu. Harry Shulz ruszył za nią. Jak zwykle pojechała prosto pod numer 812 na Piątą Alei, nigdzie się nie zatrzymując. Przy rezydencji był prywatny parking i nie potrzebowała szukać dla swego wozu miejsca w okolicy. Za to Harry Shulz nie miał takich ułatwień i musiał dojechać aż do Sześćdziesiątej Siódmej Ulicy, gdzie mógł zostawić Cordobę na czas nieograniczony pod warunkiem opłaty ośmiu dolarów za godzinę. Zanim wysiadł z wozu, chwycił swoją małą skórzaną torbę i pogwizdując opuścił parking. Wcześniej, jeszcze przed wyjazdem Friedy Hartzmann Harry Shulz widział, jak dokładnie o ósmej, zgodnie ze zwyczajem, Alex Blumfeld odjechał spod numeru 812 na Piątą Alei. Kierowca w liberii prowadził szaro-białego rolls royce'a rocznik 1965, który jednak nie był własnością Blumfelda. Jak wszyscy oszuści, Blumfeld kochał wszelkiego rodzaju wypożyczania. Urząd podatkowy był bezsilny wobec wszelkich wypożyczeń, czy chodziło o prowadzonego przez kierowcę w liberii szaro-białego rolls royce'a 1965, czy też o rezydencję pod numerem 812 na Piątą Alei.

* * *

Frieda Hartzmann postawiła pudło z zakupami w kuchni na stole, odkleiła taśmę i zabrała się do wyjmowania puszek konserw. Była właśnie przy koncentracie pomidorowym, gdy wystraszony szczur ugryzł ją w rękę. Podskoczyła przerażona widząc, jak szczur wyskakuje z pudła i gna w kierunku zmywarki do naczyń, a za nim drugi i trzeci.

Wrzasnęła.

Stała, wrosnięta w ziemię, spoglądając kolejno na trzy szczury, które, niezdecydowane, szukały jakiegoś miejsca do schowania się, oraz na swoją rękę, na skórze której pobłyskiwała kropelka krwi.

Wrzasnęła ponownie.

Stała sparaliżowana lękiem i czuła, jak jej dłonie wilgotnieją od potu, gdy jednocześnie lodowate dreszcze krzyżują się na jej karku, przesuwiają między łopatkami i schodzą aż do nerek. Kolana jej drżały. Mój Boże! Co za okropność! – pomyślała. Dodatkowy aparat telefoniczny był zamocowany na ścianie, obok kawiarki, trzy metry od niej. Mogła go dostać, zadzwonić po policję, po strażaków, ale zupełnie nie była w stanie tego uczynić. Jej członki odmawiały posłuszeństwa mózgowi. Gdy wchodziła do kuchni, trzymając w ramionach pudło z zakupami, ruchem nogi zamknęła drzwi i trzy szczury zostały teraz uwięzione bez żadnej szansy na ucieczkę. Tak jak ona. Trzy ohydztwa kręciły się w kółko obok zmywarki naczyń, ze swymi długimi ogonami, popiskując. Straszne! Monstrualne! Ohydne! Miała wrażenie, że umiera kawałek po kawałku! Szczęście, że nie choruje na serce! Umarłaby natychmiast! Co robić? Jak zlikwidować ten paraliż, który przykuł ją do ziemi? Gdzie znaleźć odwagę, aby pokonać tę odległość trzech metrów i wezwać policję lub strażaków? Jak taka obrzydliwość może mieć miejsce w Nowym Jorku, w tak ekskluzywnym miejscu jak prywatna rezydencja Alexa Blumfelda? To po prostu nie mieściło się w głowie!

W tym czasie jeden ze szczurów wspinał się wzdłuż zlewozmywaka, za nim poszły dwa pozostałe. Przypomniała sobie, że gdzieś czytała, iż szczury poszukiwały źródeł wody, ponieważ jeśli w ciągu doby nie mogły się napić, nieubłaganie zdychały.

Wrzasnęła znowu całą siłą swych płuc.

Trzy szczury znajdowały się obecnie wewnątrz zlewozmywaka. Pierwszy stawał na swych tylnych łapkach i pyszczkiem poruszał sitkiem, aby spowodować kapanie kropli wody. Kilka kropel zawsze znajdowało się w gumowym sitku, a szczury były inteligentnymi zwierzętami, przypomniała sobie.

Wydawało jej się, że zwariuje. Dzwonek telefonu poderwał ją i uwolnił z paraliżu. Rzuciła się do telefonu, zdjęła słuchawkę.

- Pani Hartzmann?
- Tak... – wysapała.

– Tutaj *Guardino's Food Market*. Niezwykle nam przykro, że pani przeszkadzamy. Przy telefonie Charlie Olsen. Wiele naszych klientek skarżyło się przed chwilą przez telefon. Wydaje się, że nasza firma została opanowana przez hordę szczurów. Nasze klientki znalazły je w swych pudłach na zakupy. Sprawdzamy zatem u wszystkich naszych rannych klientów. Na szczęście płaciła pani czekiem, a tam był pani adres i numer telefonu. Chcielibyśmy po prostu dowiedzieć się, czy pani także uskarża się...

– Tak! – krzyknęła. – Są w mojej kuchni. Trzy! Piją! Słyszysz pan? PIJĄ WODĘ W MOIM ZLEWOZMYWAKU!...

– Niech pani tylko nie ulega panice, pani Hartzmann.

Głos był spokojny, łagodny, uspokajający, jak głos psychoanalityka, gdy leży się wyciągniętym na przysłowiowej kanapie pokrytej miękką skórą.

– Pani Hartzmann, wezwaliśmy przedsiębiorstwo deratyzacyjne. Już zaczęli działać. Dysponujemy kilkudziesięcioma wysoko kwalifikowanymi fachowcami. Teraz proszę uważnie posłuchać moich instrukcji, pani Hartzmann. Czy szczury są w pani kuchni?

– Mówię przecież, że w zlewozmywaku!

– Znakomicie, proszę się nie denerwować. Drzwi kuchni są zamknięte?

– Tak.

– Coraz lepiej. Proszę się wymknąć z kuchni tak, aby szczury stamtąd nie wyszły. Proszę zamknąć drzwi za sobą i nie wracać tam. Okno jest zamknięte?

– Tak.

– Co oznacza, że szczury są w potrzasku. Nasz fachowiec pojawi się u pani za mały kwadrans. Proszę mu otworzyć. Będzie ubrany w oliwkowy kombinezon i czapkę w stylu baseballowym tej samej barwy, łatwo go pani rozpozna. Następnie proszę pozwolić mu działać. Naturalnie ponosimy wszystkie koszty i pani nie musi nic płacić naszemu fachowcowi. Ponadto, aby pani wynagrodzić kłopoty i przeżyte emocje, *Guardino's Food Market* otwiera pani kredyt na bezpłatne zakupy do wysokości pięciuset dolarów i prosi panią o przyjęcie przeprosin za wszelkie te niedogodności. Mamy także nadzieję, że pozostanie pani naszą wierną klientką.

– O tak, proszę pana! Tak! Dziękuję panu, dziękuję!

Rozmowa została przerwana, odłożyła słuchawkę. Trzy szczury znajdowały się wciąż w zlewozmywaku. Chyłkiem wysunęła się z kuchni i zamknęła za sobą drzwi.

Dziesięć minut później usłyszała dzwonek i podeszła uchylić klapkę judasza zabezpieczonego siatką. Rozkazy Alexa Blumfelda były w tej kwestii ścisłe. Miała nie otwierać żadnemu przedstawicielowi, żadnemu rozmówcy, ani nikomu innemu. Doręczyciele telegramów z Western Union podawali telegramy przez tralki kraty, a ona sama nigdy, przenigdy nie otworzyła nikomu. Lecz dziś okoliczności były wyjątkowe. Co powiedziała by pan Blumfeld, gdyby dowiedział się, że trzy szczury wślizgnęły się do rezydencji, a ona odrzuciła ofertę *Guardino's Food Market* pod pretekstem, że zabronił jej otwierać drzwi komukolwiek. Ostro by ją skarcił, to pewne i miałby rację!

Przez wziernik zobaczyła młodego człowieka ubranego w oliwkowy kombinezon z czapką na głowie, w stylu baseballowym tej samej barwy. Odryglowała drzwi i zdjęła łańcuch zabezpieczający.

- Pani Hartzmann?
- Pan jest deratyzatorem?
- Sean O'Brien do usług, pani Hartzmann.
- Proszę wejść. Te wstrętne szczury są w kuchni.

Nazwisko i wygląd fizyczny tego mężczyzny były typowo irlandzkie, zauważyła machinalnie. Czupryna i wąsy były rude, a oczy zielone.

Z powrotem zaryglowała drzwi i przesunęła klapkę judasza. Odwróciła się i wskazała palcem skórzaną torbę, którą mężczyzna niósł.

- To pana sprzęt?
- Tak. Sprzęt niezwykle skuteczny. Sto procent sukcesu. W ciągu dziesięciu minut zostanie pani uwolniona od tych niepożądanych gryzoni.

Uśmiechał się jowialnie, pełen ufności, pewny siebie. Uznała, że jest raczej sympatyczny. Ale dlaczego nosił okulary w takiej gigantycznej oprawie, która zasłaniała mu pół twarzy?

Nagle wydał się jakby zażenowany. Zatrzymał się w holu i kołysał z nogi na nogę.

- O co chodzi? – zdziwiła się.
- Eee... widzi pani... To trochę delikatne, ale... No więc... Wygląda pani nieszczególnie... Proszę zwrócić uwagę, że jestem przyzwyczajony. U wszystkich naszych klientek wygląda to podobnie.

– To naturalne, prawda? Otworzyć pudło z zakupami i odkryć w nim trzy olbrzymie szczury, prawie tak wielkie jak króliki!

– Bardzo pani zbladła. Obawiam się, że zaraz pani zemdleje! To mi się zdarza trzy razy na cztery! Proszę, niech pani to wypije!...

Schylił się, otworzył swoją skórzaną torbę, wyjął z niej butelkę soku grapefruitowego kupioną w Guardino's Food Market oraz tekturowy kubek w plastikowym opakowaniu, rozerwał opakowanie, wlał trochę płynu do kubka i podał jej.

– Proszę to wypić.

– Co to jest?

– Jest pani ranna w rękę? Szczury panią pogryzły?

Przyglądał się jej prawej ręce. Ona także spuściła na nią wzrok i zobaczyła cienką strużkę zaschniętej krwi na palcu wskazującym. Poczowała, że zaraz straci przytomność.

– Proszę szybko wypić! – naciskał zatrwożonym głosem.

Chwyliła tekturowy kubek i łapczywie wypijała. Szalenie lubiła sok grapefruitowy, codziennie piła go na śniadanie. Jednak ten miał jakiś dziwny smak.

– Specjalne lekarstwo wyprodukowane w znanym laboratorium dla naszych nerwowych klientek – wyjaśnił deratyzator. – To wzmacnia. Miejsza się je z sokiem grapefruitowym, żeby łatwiej było przetłknąć. Lepiej się pani czuje?

W rzeczywistości pani Hartzmann wcale się dobrze nie czuła. Hol wejściowy wydawał się czterokrotnie powiększony, a stare lustro z lewej mnożyło się w dziesiątkach egzemplarzy... „Zanim zajmiemy się szczurami, opatrzmy pani zranioną rękę, pani Hartzmann...” Głos wydał się bardzo odległy. Jej wystraszone oczy wyobrażały sobie, że oglądają bieg hordy szczurów wylaniających się z jednego ze starych lusterek, które dziesiątkami zaludniały teraz ściany holu wejściowego. Upuściła tekturowy kubek, który upadł na dywan, zamknęła oczy, jej kolana ugięły się i jakiś zawrotny prąd uniósł ją nieodparcie.

Harry Shulz rzucił się i złapał ją w ramiona. Przeniósł ją na pierwsze piętro, gdzie łatwo ustalił, która sypialnia należy do Friedy Hartzmann. Ułożył ją na łóżku i wrócił po swoją skórzaną torbę, do której przezornie włożył z powrotem tekturowy kubek i butelkę soku grapefruitowego. Po wróciwszy do sypialni nałożył bardzo cienkie kauczukowe rękawiczki, idealnie przylegające do ciała. Z torby wyciągnął kilka sznureczków z białego nylonu i solidnie związał ręce i nogi kobiecie, nie dociskając jednak

zbyt mocno. Następnie otworzył jej usta i włożył w nie stożek, który wyjął z torby. Był to specjalny aparacik zaprojektowany tak, aby umożliwić spełnienie przez usta wszystkich swych naturalnych funkcji z wyjątkiem emisji dźwięków pochodzących ze strun głosowych. Istotnie, zaklejenie ust plasterem opatrunkowym lub włożenie knebla mogły prowadzić do pewnych niebezpieczeństw. Niektóre osoby bardzo źle oddychały przez nos. Potrzebowały wsparcia przez usta i całkowite ich zablokowanie mogło prowadzić do śmierci przez uduszenie. Harry'emu Shulzowi zupełnie nie zależało na tym, aby Frieda Hartzmann umarła. Nie miał nic przeciwko niej, a w każdym razie nie była ona włączona do kontraktu na Blumfelda.

Po zakończeniu swej pracy odszukał łazienkę, znalazł tam podręczną apteczkę i wyciągnął z niej różne przedmioty i medykamenty, których zamierzał użyć do zdezynfekowania rany na ręce swej branki. Po zakończeniu tych czynności wrócił do łazienki, odłożył wszystko do apteczki i zabrał się do zwiedzania domu.

Był zadowolony z siebie. Dotąd wszystko szło perfekcyjnie. Firma Experimental, na Staten Island, dostarczała zwierząt służących do eksperymentów w laboratoriach badawczych. Nie miał żadnych trudności w nabyciu tam trzech szczurów. Nie zadano mu żadnych pytań i nawet dostarczono puszkę z otworkami, którą zamknął w szafie w swym garażu w oczekiwaniu na dzień W. Szafa była wietrzona za pomocą siatki umiejscowionej w jej górnej części, szczury miały więc dostęp powietrza. Harry Shulz przezornie karmił je nawet i poił, mimo że szczury były zwierzętami, których najbardziej na świecie nienawidził.

Środek usypiający o działaniu piorunującym, lecz nieszkodliwym, wyspany do soku grapefruitowego, pochodził z zapasów Harry'ego Shulza. Dostarczył mu go *Herr Doktor* Schallenghammerforst, renomowany specjalista w dziedzinie chirurgii plastycznej, poznany przy okazji jednego z poprzednich kontraktów, gdy ów lekarz musiał reperować twarz Jayne Sterling*. Środek ten służył do natychmiastowego usypiania pacjentów dobrego *Herr Doktora*.

* Patrz *Śmierć idzie za nim krok w krok*.

Oliwkowy kombinezon i czapkę tej samej barwy można było kupić za kilka dziesiątków dolarów w dowolnym sklepie specjalizującym się w odzieży roboczej. Jeśli zaś chodzi o rudą czuprynę i wąsy oraz o okulary w ogromnej oprawie, to pochodziły one ze zbioru przebrań, których Harry

Shulz używał w miarę potrzeby. Uznał, że musi odwołać się do tej inscenizacji, gdyż w trakcie swych wielokrotnych obserwacji numeru 812 przy Piątej Alei zauważył, że Frieda Hartzmann odmawia otwarcia drzwikomokolwiek, nawet doręczycielom telegramów z Western Union. Postawił zatem na panikę, która ogarnie kobietę, gdy odkryje trzy szczury na dnie pudła na zakupy. Słusznie postawił na psychologię. Która kobieta nie poczuje się przestraszona widokiem zwierzęcia, którego boi się najbardziej na świecie? Dalej synchronizacja była doskonała. Rozmowa telefoniczna, jak gdyby pochodząca z *Guardino's Food Marketu*, następnie zneutralizowanie ludzkiej przeszkody, jaką stanowiła sama Frieda Hartzmann.

I teraz już był w rezydencji sam. Sam aż do wieczora, do czasu powrotu Alexa Blumfelda...

Zatrzymał się przed jednym z luster, by zachwycić się swym przebraniem. Naprawdę z tą rudą czupryną i wąsami, uzupełnionymi okularami w dużej oprawie, z policzkami powiększonymi przez wkładki z gumy piankowej, był nierozpoznawalny, tym bardziej, że rude kosmyki opadały mu nisko na czoło i przykrywały brwi. Co najwyżej widać było oczy, których barwy nie pofatygował się zmienić odpowiednimi szklami kontaktowymi. Skądinąd źle znosił szkła kontaktowe, zarówno twarde jak miękkie. Po upływie pół godziny od ich założenia zaczynały niesamowicie łzawić mu oczy. Co pomyślałaby sobie pani Hartzmann, gdyby zobaczyła zgłaszającego się deratyzatora rzewnie płaczącego? Że on kocha szczury i czuje się chory już na zapas, na samą myśl o ich zabiciu?

Wnętrze rezydencji było ekskluzywne. Alex Blumfeld miał raczej dobry gust. Wyjaśniało to, dlaczego tak pośpiesznie odpowiedział na telegram wysłany przez Jimmy'ego Kodasha z propozycją sprzedaży drogich obrazów. Poza dobrym interesem do zrobienia rekinem kierował także niewątpliwy zmysł artystyczny. Być może jednak nie w dziedzinie malarstwa, gdyż nigdzie na widocznym miejscu nie wisało żadne arcydzieło. Za to ciebie były w dobrym guście i warte były masę pieniędzy. Przynajmniej coś, co mógł zająć urząd skarbowy – uśmiechnął się do swych myśli Harry Shulz. Chyba, że one także zostały wynajęte na tę okazję...

Omiotł też wzrokiem biuro. Nie szukał żadnego dokumentu. Robota, którą miał wykonać, nie na tym polegała. Ponadto było mało prawdopodobne, aby ktoś tak cwany jak Alex Blumfeld pozostawił tu kompromitujące go dokumenty. Był on najprawdopodobniej przeciwieństwem bałaganiarza.

Zresztą kontrakt zawarty z Sharon Wood nie zawierał klauzuli przewidującej, że ma przeszukać mieszkanie w poszukiwaniu pieniędzy. Na przykład kwot mających posłużyć do wyrównania strat poniesionych przez ograbionych przez Blumfelda Członków Stowarzyszenia Obrony Drobnych Ciułaczy i Małych Akcjonariuszy. A może w odwrotnej kolejności, bo już nie bardzo sobie przypominał, czy należało w nazwie stowarzyszenia umieścić ciułaczy przed akcjonariuszami, czy też odwrotnie.

W każdym razie zagarnięcie hipotetycznych pieniędzy wymagałoby niewątpliwie otwarcia kasy pancерnej, a to nie było jego specjalnością. Do tego nadawał się idealnie Brian McGurk*.

Wreszcie wkroczył do pokoju, który prywatnie należał do Alexa Blumfelda. W rzeczywistości były to dwa przyległe pokoje. Gdy Harry Shulz przekroczył próg drugiego z nich, oniemiał ze zdziwienia i zatrzymał się...

* Patrz *Zaczęto się w Dallas*.

* * *

Książkę napisał John Toland, miała tytuł *Wrogowie publiczni z lat trzydziestych*. Opisywała zbrodnicze wyczyny Johna Dillingera i Hamiltona, Ma Barkera i jej czterech synów powiązanych z Volney'em Davisem, Alvina Karpisa i Campbella, Machine Gun Kelly'ego, Bonnie i Clyde'a, Baby Face Nelsona, Pretty Boy Floyda i iluś jeszcze gangsterów tego samego typu i z tej samej epoki.

Noc już zapadła, lecz Harry Shulz nie zapalił świateł wewnątrz rezydencji. Czytał z pomocą miniaturowej latarki kieszonkowej, której ograniczony strumień światła oświetlał jedynie dwa wiersze równocześnie. W trakcie długiego oczekiwania, w ciągu całego dnia, już po zakończeniu przygotowań, Harry Shulz pochłoniął większą część książki. Alex Blumfeld opatrzył ją wieloma uwagami, powsuwał nawet między jej stronicę kartki papieru z ręcznie zrobionymi zapiskami. Ale tylko w jednym z rozdziałów. W tym poświęconym Alwinowi Karpisowi i Campbellowi.

Powierzyć rolę Vince'owi Roddowi? Ken Reilly byłby lepszy, ale zginął rozerwany bombą w Hollywood.

Kogo wybrać do roli Campbella?

Szkoda, że już nakręcono filmy o życiu Bonnie i Clyde'a, Dillingera, Pretty Boy Floyda, Baby Face Nelsona, Machine Gun Kelly'ego oraz Ma Barkera i jej synów... – żałował Alex Blumfeld w jednej ze swych fiszek. –

Pozostają więc jedynie Alvin Karpis i Campbell...

Harry Shulz uśmiechnął się złośliwie. Producent filmowy nie umarł w Alexie Blumfeldzie. Musiał jeszcze pamiętać sukces *Dnia, w którym księżyc zakrył słońce* i swój pobyt w Centennial Pictures Corporation. Demon kina widocznie wciąż jeszcze go pożerał. Było to zjawisko często spotykane. Osoby, które powąchały kina, pozostawały przywiązane do aureoli, która otaczała przemysł kinematograficzny. Było to jak narkotyk. Gdy się tego zasmakowało, nie można się było wyzwolić. Nie było mowy o wyłączeniu się. Alex Blumfeld widocznie rozważał wyprodukowanie filmu o życiu i wyczynach Alvina Karpisa i Campbella, co wyjaśniało owe notatki. Być może miał odkupić lub założyć inną wytwórnię filmową? Albo raczej rozważał odkupienie lub założenie wytwórni filmowej? Słowo *miał* nie było właściwe, jako że jedyną rzeczą, którą *miał* zrobić teraz Alex Blumfeld, było zginąć...

Harry Shulz czytał o wyczynach *Wrogów publicznych z lat trzydziestych*, ale jego ucho nasłuchiwało. Usłyszał zatem lekki pisk hamulców przed rezydencją i odgłos nadal pracującego silnika. Zgasił ołówek świetlny i podszedł rzucić okiem na ulicę, uchylając o centymetr firankę i zasłonę. Wzdłuż chodnika stała taksówka. Wyłoniła się z niej sylwetka mężczyzny w smokingu, a także młodej kobiety w wieczorowej sukni. Na twarzy Harry'ego Shulza zarysował się bolesny grymas. Poznał Blumfelda. Ale ta młoda kobieta? Czyżby rekin wybrał *właśnie ten wieczór* na sprowadzenie do siebie towarzyszkę łoża? To komplikowało sprawy. Dotąd Blumfeld zawsze wracał do domu sam, ale to, co Harry Shulz odkrył w drugiej części sypialni, przemawiało za tym, że tę noc Blumfeld poświęcił erotyce. Zresztą przez cały dzień obawa przed tym tkwiła w umyśle Harry'ego Shulza, mimo pasjonujących go wyczynów *Wrogów publicznych z lat trzydziestych*. I oto istniało ryzyko, że obawa ta się sprawdzi!

Obserwował scenę odgrywaną na chodniku. Blumfeld ścisnął młodą kobietę, która na tyle, na ile można to było ocenić w półmroku ulicy, była bardzo ładna. Taksówka nie ruszała. Jej silnik pracował równo. Tyłne drzwi pozostawały uchylone, a wewnątrz było oświetlone żarówką umieszczoną w obiciu. Blumfeld i kobieta wymienili pocałunek, po czym ta ostatnia wsiadła do taksówki. Harry Shulz odetchnął z ulgą. Blumfeld zatrzasnął tyłne drzwi, poszedł do przodu i podał kierowcy banknot. Cofnął się na

chodniku o krok, pomachał na pożegnanie i taksówka po chwili znikła. Blumfeld odwrócił się i ruszył w kierunku wejścia do rezydencji.

Harry Shulz puścił końce zasłony i firanki. Odwrócił się, wziął wydanie kieszonkowe *Wrogów publicznych z lat trzydziestych*, zagiął róg na stronie, na której skończył i wsunął książkę do kieszeni swego oliwkowego kombinezonu. Następnie stanął zaczajony za drzwiami. Godzina była późna. Blumfeld nie powinien się zatem zdziwić, że nie zobaczy na parterze Friedy Hartzmann. Ponadto, gdyby nawet nabrał ochoty, żeby wejść do kuchni, otworzyć drzwi do lodówki i napić się szklanki zimnej wody przed pójściem spać, nie odkryje węń trzech szczurów, ponieważ przed rozpoczęciem lektury *Wrogów publicznych z lat trzydziestych*, Harry Shulz przezornie wyłapał je i zabił. Ich ciała zostały następnie spopielone w spalarce do śmieci w podziemiu. Produkty zakupione przez Friedę Hartzmann w *Guardino's Food Market*, a których nie wypakowała do końca z powodu szczurów, zostały odłożone do szafek, a pudło także zniknęło w spalarce. Żaden podejrzany szczególnie w holu wejściowym i w kuchni nie mógł zaalarmować dawnego szefa Centennial Pictures Corporation. Nie znajdując Friedy Hartzmann na parterze, pomyśli sobie całkiem zwyczajnie, że śpi ona spokojnie w swym pokoju. Gdyby z jakichś powodów potrzebował jej, poszedłby zapukać do drzwi jej pokoju, ale w tym przypadku Harry Shulz usłyszałby go przechodzącego korytarzem i pojawiłby się za jego plecami, wyłaniając się z sypialni, którą zajmował obiekt zemsty sióstr Wood oraz Stowarzyszenia Obrony Małych Akcjonariuszy i Drobnych Ciułaczy.

Ściszone pokasywanie w korytarzu, stłumione kroki na wykładzinie, otwieranie drzwi, błysk światła i znowu trzask drzwi. W tym momencie Harry Shulz skoczył. Gwałtowny kopniak w piszczel. Blumfeld wydał ryk bólu i złamał się w pół. Harry Shulz ścisnął razem obie pięści i jego straszny cios prosty odrzucił do tyłu podbródek jego celu. Kręgi szyjne pękły i Blumfeld padł martwy.

Harry Shulz wyjął czerwony goździk przypięty do klapy smokingu i przystąpił do całkowitego rozbierania trupa swej ofiary. Następnie pociągnął go aż do drugiej części sypialni. Blumfeld urządził tam kącik przeznaczony na swe swawole erotyczne. Co sądziła o tym Frieda Hartzmann? – zapytał sam siebie Harry Shulz przekraczając ten próg tegoż ranka. Ta kobieta pozbawiona świeżości, o cierpkim wyrazie twarzy, wyglądała raczej

na purytańską propagandzistkę z Armii Zbawienia gotową do zaintonowania *Bliżej Ciebie, mój Boże* na chodniku Columbus Circle niż na kapłankę boga Erosa. Zapewne Blumfeld opłacał ją po królewsku, aby nie wykraczała poza swą rolę zarządzającej-kucharki-gospodyni i aby barykadowała się w swej sypialni, gdy w świątyni Wenus lały się strumienie rozpusty.

Na ścianach zwykle atrybuty: łańcuchy, bicze, pejcze, bransolety, kajdanki, nazistowskie mundury, odzież rockersów, przydzwiek z czarnej skóry, zwiewne desabile, figi o sugestywnych otworach, kagule katowskie, pasy ze stalowymi sprzączkami, szczypce, obcęgi. Na podłodze deski z gwoździami, identyczne z tymi, na których lubili rzekomo wyciągać się wynędzniali fakirzy hinduscy. Po prawej stronie łożo o gigantycznych rozmiarach, na którym mogłoby swawolić bokiem dobre dziesięć osób. Na suficie lustro obejmujące całą jego powierzchnię. Pośrodku pokoju szubienica, której pozioma belka sięgała sufitu. Na tej poziomej belce dwa haki. Do jednego z nich zamocowano grubą linę konopną zakończoną węzłem zaciskowym. Do drugiego podwójną linę konopną, bez węzła zaciskowego, którą można było dowolnie przesuwając przez kółko pociągając za jeden z końców. Na belce prostopadłej do tego drugiego haka pał, którego zakończenie stanowił gumowy stożek o kształcie głowy cukru.

Ze względu na to, co zdarzyło się Mary Scarazella i jej trzem córkom, Harry Shulz był bardzo źle nastawiony do dewiantów seksualnych. Dlatego postanowił zrobić Alexowi Blumfeldowi dobry pośmiertny kawał. Zawiązał jeden z końców podwójnego sznura wokół szyi trupa i przystąpił, za pomocą końca drugiego sznura, do podniesienia nieruchomego ciężaru nad podłogę tak, aby udało się go posadzić na końcu pała o kształcie głowy cukru. Następnie przywiązał sznur do najbliższej pionowej belki szubienicy i zakończył potrójnym węzłem.

W ten sposób, pogratulował sobie, Blumfeld będzie śmieszny nawet po śmierci. On sam, niestety, nie będzie tego świadom, lecz dziennikarze wspaniale to opiszą, co niewątpliwie nieco podniesie na duchu biedne ofiary rekina, przynajmniej te, które nie wybrały samobójstwa i jeszcze żyją.

Pozostawił światła zapalone i opuścił to miejsce po upewnieniu się, że nie pozostał żaden ślad jego pobytu. Gdy wychodził z rezydencji, celowo nie zamknął całkiem bramy za sobą. Ze względu na późną porę aleja była dosyć spokojna. Pośpiesznie doszedł do Sześćdziesiątej Czwartej Ulicy

i odwróciwszy się tyłem do Central Parku ruszył w kierunku Madison Avenue. Minął ją dochodząc do Park Avenue. Nim tam dotarł, wszedł w wąską uliczkę wiodącą z tyłu *Vittorio's Seafood Restaurant* i szybko pozbył się różnych elementów swego przebrania, peruki, wąsów, kombinezonu, czapeczki, nie zapominając o wypróżnieniu kieszeni kombinezonu z ich zawartości, w tym między innymi *Wyczynów wrogów publicznych z lat trzydziestych*, którą to zawartość przeniósł do skórzanej torby niesionej w rękę. Przygody Alvina Karpisa i Campbella zachwyciły go i miał zamiar dokończyć tę lekturę.

Nie byłoby zbyt rozsądne odbierać Cordobę o tak późnej porze. Kasjer w okienku mógłby przypomnieć sobie jego rysy. Chyba lepiej było pocze-kać do następnego dnia? W anonimowości tłumu użytkowników parkingu publicznego pozostanie niezauważony. Znow podjął marsz, minął Park Avenue i doszedł do Lexington. Budka telefoniczna na rogu alei była właś-nie tym, czego potrzebował. Wszedł do niej i wykręcił numer *New York Timesa*. Gdy podniesiono słuchawkę, od razu zaczął mówić:

– Słyszał pan kiedyś o Alexie Blumfeldzie?

Odpowiedź była natychmiastowa:

– Stary, tutaj redakcja nocna, wszyscy jesteście zmęczeni, straciliśmy poczucie humoru, czarna kawa bez cukru pali mi żołądek, więc nie jestem zainteresowany marnymi kawałami.

– Szkoda. Trudno, zadzwonię do konkurencji.

– Poczekaj pan! Co ma pan do powiedzenia o Blumfeldzie? Mówi pan o tym Blumfeldzie z Centennial?

– Właśnie o nim. Powiesił się we własnej sypialni w dekoracjach jak najbardziej erotycznych. Wcześniej przywiązał swoją gospodynię, niejaką Friedę Hartzmann, do jej łóżka. Nie sądzę jednak, aby chciał ją zgwałcić. Prawdę mówiąc nie jest ona szczególnie pociągająca... Brama rezydencji Blumfelda, pod numerem 812 na Piątej Alei, nie jest zamknięta. Każdy może ją popchnąć, wejść na pierwsze piętro i odkryć nieboszczyka oraz Friedę Hartzmann. Każdy dociekliwy dziennikarz, który chciałby zrobić dobry materiał, wykorzystałby taką okazję. Ale właśnie pytanie brzmi: czy w *New York Timesie* są jeszcze dociekliwi dziennikarze?

Powiesił słuchawkę i zadzwonił do redakcji pięciu innych gazet, którym powiedział to samo. Reakcje jego rozmówców były identyczne.

Był przekonany, że co najmniej jeden z nich pójdzie rzucić okiem pod numer 812 na Piątej Alei. Na koniec zadzwonił do *Sherry-Netherland*.

– Z pokojem 512 – poprosił.

Po pewnej chwili zaspany głos wymamrotał coś pod nosem.

– Chett Dudley?

– Tak, ale to wariatwo budzić ludzi o tej porze – zaprotestował Jimmy Kodash wściekłym głosem.

– Może pan powrócić do domowego ogniska, nie potrzebujemy już pana w Nowym Jorku. Pańskie wynagrodzenie znajduje się tam gdzie zwykle.

Położył słuchawkę i postanowił pójść się położyć. Jego noc została wystarczająco wypełniona.

ROZDZIAŁ X

Sharon i Karen Wood piły z zachwytu. Na stole przed nimi leżało pięć gazet, których strony wzajemnie się mieszały. Sharon zaklaskała w dłonie:

– Gratuluję, Błękitna Dalio! – Harry Shulz pozostał niewzruszony. – Pomszczeni zostali ci wszyscy, których oszukał Blumfeld, a szczególnie ci, którzy z tego powodu nie żyją! – kontynuowała egzaltowanym głosem.

– To dobra lekcja dla pozostałych! – podjęła jej siostra.

– I jaki wspaniały pomysł, żeby powiesić go w tym pokoju z atrybutami erotycznymi! Wszystkie gazety piszą o upodobaniach seksualnych tego zbrodniarza. Policja grzeźnie podobno w niezliczonych numerach telefonów odnalezionych w jego notesiku adresowym.

– Call-girls będą opuszczać Nowy Jork pełnymi czarterami – zadrwiła Karen.

– Wieszając go na tej szubienicy – zauważył Harry Shulz – nie zamierzałem przedstawić zabójstwa jako samobójstwa, ponieważ sama Frieda Hartzmann mogła zaświadczyć, że została zaatakowana przez nieznanego.

Sharon Wood poklepała strony gazet.

– I to właśnie zrobiła. Oliwkowy kombinezon i czapeczka, ruda czupryna i wąsy. Dobra robota! Karen?

- Słucham?
- Pieniądze.

Na rogu stołu nie przykrytym rozłożonymi gazetami położono paczki banknotów studolarowych i Harry Shulz przeliczył je z oszałamiającą szybkością.

– Musiał pan być kasjerem w jakimś banku! – ironicznie zauważyła Karen.

– Nie, sztukmistrzem gier karcianych w kasynie w Hawanie przed epoką Castro.

– Musiał pan być bardzo młody! - zdziwiła się Sharon.

– Sprawność manualną uzyskuje się tylko wówczas, gdy zaczyna się bardzo młodo, prawie w kołysce – stwierdził, wkładając paczki do teczki z zamkami cyfrowymi, jaką przyniósł ze sobą. – Kwota się zgadza.

– Przypomina pan sobie, co mówiłam podczas naszego pierwszego spotkania w Arkansas?

– Na jaki temat?

– O innych osobach, na których także chcemy się zemścić.

– Przypominam sobie.

– Zajmie się pan tym?

– Za wcześnie, dla waszego bezpieczeństwa. Niech najpierw policja przeprowadzi rutynowe śledztwo. Nie wiemy, czy gdzieś nie leży nitka, która może was powiązać z tą sprawą... Spiętrzenie wyroków pozostałych osób w zbyt krótkim okresie czasu mogłoby naprowadzić policję na ślad.

– Nie musi pan za każdym razem działać w Nowym Jorku – skontrolowała Sharon. – Ci, o których nam chodzi, są wielkimi podróżnikami, jak wszyscy ludzie ich pokroju. Zabójstwo Blumfelda należy do obszaru działania policji Nowego Jorku. To nie jest zbrodnia, którą miałyby się zajmować policja federalna. To samo byłoby z pozostałymi. Każde morderstwo należałoby do obszaru działań danej policji lokalnej i żadna z nich nie powiązałaby śmierci Pana X ze śmiercią Pana Y czy też Pana Z.

– W zbyt bliskim okresie czasu istnieje takie ryzyko. To już nie ten czas, kiedy lokalne policje stanowe z oporami odwoływały się do policji federalnej, gdy jakaś sprawa przekraczała ich kompetencje. W dziedzinie policyjnej współpraca F.B.I. z lokalnymi policjami stanowymi uległa zacieśnieniu i w przypadku, który nas dotyczy, wystarczy, żeby jedna z tych

policji zgłosiła podejrzenie spisku pokrywającego kilka stanów, aby federalni interweniowali. Obie nie wymyśliłyście przecież same tego skoku. Wasi wspólnicy w tej sprawie zostali umoczeni. Nie dawajcie im okazji, aby mogli się wystraszyć i zdradzić was dla zachowania swego bezpieczeństwa osobistego. Coś wam wyjaśnię. Łatwo jest powiedzieć sobie wcześniej: Pozbędę się tego X płacąc znaczną kwotę. Ale gdy po wykonaniu kontraktu okazuje się, że policja węszy w tym czy innym kierunku, to zaczyna to mocno niepokoić. A jeśli policja odkryje prawdę? I wtedy... Znacnie teorię domina?

Karen skinęła głową.

– Gdy jeden kamień pada, pozostałe idą za nim.

– Tak się dzieje, gdy ktoś wpada w panikę. Jestem sam, nie znacie mojego nazwiska, miejsca zamieszkania, znacie tylko jedną twarz, łatwą do zmiany. Wy jesteście dwie i jesteście znane. Moja rada jest następująca: nie podejmujcie nierozważnego ryzyka. Poczekać, aż sprawa Blumfelda oziębi się do dwudziestu stopni poniżej zera.

Siostry spoglądały na siebie, niezdecydowane.

– Co o tym sądzisz? – zapytała Karen.

– Jego rada jest wypełniona mądrością – odpowiedziała Sharon, dokonując wysiłku, aby ukryć zawód.

– Zapewne uważacie, że macie przed sobą najemnika zainteresowanego tylko pieniędzmi. Jesteście w błędzie. Gdyby tak było, rzuciłbym się na wasze pieniądze, nie przejmując się waszym bezpieczeństwem. Byłoby to nieuczciwe, gdyż nie macie doświadczenia w dziedzinie kontraktów.

– Mimo wszystko niech pan nie przesadza! – poskarżyła się Karen – Niech pan nie odgrywa moralizatora. – Znów odwróciła się do siostry. – Za chwilę wygłosi nam kazanie, jak w niedzielnej szkółce parafialnej.

Sharon utkwiała wzrok w Shulzu.

– Za ile czasu sądzi pan, że...?

– Trzy miesiące – odpowiedział bez wahania.

– To strasznie długo! – jęknęła.

Nie skomentował.

– Czy będę musiała wypełnić całą procedurę, Błękitna Dalio? – zapytała.

– Skontaktuję się z wami. Obiecuję. Dokładnie za trzy miesiące.

Zamknął swoją teczkę i skierował się ku drzwiom. Obie siostry nie

starały się go zatrzymać. Na zewnątrz odnalazł Cordobę, w której znów zmienił tablice rejestracyjne. Pojechał w kierunku Manhattanu. Pierwszy przystanek stanowił jego garaż. Następnie windą wjechał do mieszkania i zamknął teczkę w szafie pancerniej. Miał sporo zabezpieczeń przed ryzykiem włamania. Drzwi jego mieszkania były naszpikowane zamkami elektronicznymi zainstalowanymi według skomplikowanego systemu opracowanego przez pewnego specjalistę. Włamywacz, który próbowałby sforsować wejście, byłby bardzo nierozważny. W identyczny sposób chroniona była kasa pancerna. Ponadto w budynku czuwali prywatni ochroniarze: Jerry Otrano, Ken Koragger i Steve Walzak. A oni solidnie wykonywali swą robotę. Owe środki ostrożności były potrzebne, gdyż budynek stojący na Park Avenue, na jej odcinku nazywanym Kwadratem Miliarderów, stanowił bez wątpienia kuszący cel dla wszelkiego rodzaju włamywaczy. Zaś Harry Shulz, ze względu na swe działania, zmuszony był przechowywać w kasie znaczne kwoty i wcale nie zależało mu na tym, żeby się ulotniły.

Ponownie zszedł do garażu i wsiadł do Cordoby. Tym razem celem był Harlem Eye and Ear Hospital. Nie zapomniał o Tedzie Silversie. Od przedwczoraj maligna powinna była ustąpić. Odszukał tę samą pielęgniarkę z plastikową plakietką na nieskazitelnie białej bluzie: *Carole Weingarten*. Poznała go i lekko uśmiechnęła się.

- Już jest pan z powrotem? – rzuciła na powitanie.
- Od mojej wizyty tutaj miałem dwie koszarne noce. Cały czas myślałem o starym Tedzie. Jak jego maligna?
- Jakby rzadziej się przejawia, ale pan Silvers ciągle jest w niepokojącym stanie otępienia...
- Ma to jakieś wyjaśnienie medyczne?
- Szok pourazowy był bardziej wyniszczający, niż sądziliśmy.
- A jego wzrok?
- Definitywnie utracony, obawiam się.
- To straszne. Nikt nie przychodził go odwiedzić?
- Nie. Policjanci oczywiście wrócili, ale niczego się od niego nie dowiedzieli. Nie będą się już fatygować, chyba że im powiemy, że pan Silvers odzyskał zmysły.

Wsunął banknot studolarowy pod rejestr w czarnej okładce.

- Mogę go zobaczyć?

Aby stworzyć sobie alibi, udała zachwyconą.

– Rzeczywiście, to może dobrze na niego wpłynąć! Dźwięk znajomego głosu może w nim wywołać odruch przytomności i może powróci do normalności...

Harry Shulz bardzo w to wątpił, ale był zmuszony grać rolę osoby, za którą się podawał. Dołączył drugi banknot studolarowy do pierwszego.

– Na pewno jest pani zajęta. Nie chcę pozostałych pacjentów pozabawiać pani opieki. Znam drogę, proszę sobie nie przeszkadzać.

Zagryzła dolną wargę.

– To nie jest pora wizyt – zastrzegła – a chciałabym zobaczyć, czy dźwięk pana głosu będzie na niego działał.

– Przekażę pani wynik – rzucił tonem nie znoszącym sprzeciwu i ruszył w kierunku sali, w której umieszczono Teda Silversa.

Nie poszła za nim. Harry Shulz zapalił lampkę nocną i zamknął za sobą drzwi. Twarz była wciąż pokryta bandażami. Mężczyzna cicho posapywał, obie ręce przylegały mu do tułowia.

– Ted Silvers? – powiedział półgłosem Harry Shulz.

– Gdzie jest Sandra?

– Przyjdzie – skłamał Shulz.

– Niech się pospieszy!

– Powiem jej to.

– Dlaczego jeszcze nie przyszła?

– Nie pozwolono jej.

Harry Shulz odczuwał wielką litość dla tego mężczyzny przytłoczonego przez okrutny los. Widać było, że Ted Silvers został mocno poszkodowany. Według Carole Weingarten utrata wzroku była pewna, ale ponadto wyglądało na to, że wpadł w demencję. Czy kiedykolwiek odzyska zmysły? Harry Shulz utożsamiał go z Mary Scarazella. Gdyby udało jej się przeżyć ten straszliwy koszmar, czy ona także nie wpadłaby w demencję? Ta myśl spowodowała, że odczuł jeszcze większą litość dla mężczyzny leżącego na łóżku.

– Sandra musi przyjść jak najszybciej – zachrobotał głos.

Harry Shulz słuchał tego ze ściśniętym żołądkiem. Uświadomił sobie nagle, że jego obecność jest tu zbędna. Nie mógł Tedowi Silversowi w niczym pomóc. W ciągu najbliższych dni mógł jedynie dowiadywać się o jego stan i doradzać, jakie działania podejmować, gdyby okazało się, że ranny potrzebuje pomocy finansowej. Tak, to było jedyne, co mógł zrobić.

Postanowił wyjść. Utrzyma kontakt z Carole Weingarten przy udziale drobnej sumy pieniędzy i będzie w ten sposób informowany o dalszym rozwoju wypadków.

Szykował się do zgaszenia nocnej lampki i opuszczenia sali, gdy Ted Silvers ponownie przemówił:

– Niech gra beze mnie bez rąk, bez palców... Nie mogę być dłużej w grze...

Harry Shulz zatrzymał się w miejscu. Wielokrotnie poprzednim razem Ted Silvers wypowiadał ten zbitek zdaniowy: *bez rąk, bez palców*. Stało się to jakąś obsesją. A przecież nie obawiał się o amputację rąk ani palców. Musiało to być jakieś przywidzenie, jakieś zogniskowanie jego trosk na sprawach nie związanych bezpośrednio ze źródłem jego cierpień. Co powiedziała Carole Weingarten, gdy ją o to pytał? Jeszcze pamiętał... *Wspomnienia, które napływają z podświadomości i utrzymują się na powierzchni. Być może napastnicy zagrozili mu uszkodzeniem palców i rąk? Z tego, co zrozumiałam, był długo torturowany...*

To musiało o to chodzić. Napastnicy musieli okropnie go przestraszyć i wywołało to u Teda Silversa tak silny uraz. Tak silny jak strumień wotriolu prosto w twarz. Harry Shulz potrząsnął głową ze smutkiem. Wyciągnął rękę, aby zgasić nocną lampkę, ale wstrzymał rękę w miejscu, gdyż zobaczył, że drzwi otwierają się. Sądził, że to Carole Weingarten chce dać mu do zrozumienia, iż trzeba znowu dopłacić, i zdziwił się widząc młodą kobietę podejrzliwie zerkającą na niego.

– Kim pan jest? – rzuciła ostro.

– Znajomym Teda Silversa. Przyszedłem udzielić mu wsparcia, ale obawiam się, że to na nic. On bredzi.

Mówiąc to przyglądał się młodej kobiecie. Średniego wzrostu, szczupła i dobrze zbudowana. Duże ciemne oczy, o migdałowym wykroju wypełniały górę twarzy. Włosy krucze, cera matowa. Nie przekroczyła jeszcze trzydziestki. Strój miała klasyczny, neutralny, pasujący wszędzie, w dobrym guście. Była lekko umalowana. Jej podejrzliwe oczy przenikały go.

– Pańskie nazwisko? – zażądała.

– Jake Mahone.

Było to nazwisko, którego użył przy zakupie Cordoby w składzie używanych wozów Casey'a Boyle'a. Te same dane znajdowały się na jego fałszywym prawie jazdy.

– Ted nigdy mi nie mówił, że ma znajomego o nazwisku Jake Mahone...

Początkowo Harry sądził, że ma do czynienia z lekarzem dyżurnym, który mógł być ubrany po cywilnemu, gdyż opuszczał lub obejmował swe codzienne funkcje i chciał rzucić okiem na pacjenta, który stwarzał mu na oddziale najwięcej problemów. Ale ostatnie zdanie sugerowało, że kobieta znała Silversa przed jego hospitalizacją. Nagle coś go tknęło:

– Czy pani jest Sandrą?

Usta młodej kobiety zacisnęły się.

– Dlaczego zadaje mi pan to pytanie? – Jej głos był ostry, suchy, bezpośredni.

– Jeśli pani jest Sandrą, to dużo o pani mówił.

– Naprawdę?

– Proszę pozwolić mi wyjaśnić...

Postanowił opowiedzieć część prawdy, nie wspominając oczywiście o zemście, której dokonał na napastnikach rodziny Scarazella i Teda Silversa. Nie powiedział też, co wydarzyło się Mary Scarazella i jej trzem córkom.

– Nie jestem znajomym Teda Silversa. W tym punkcie pani skłamałem, ale nie miałem złych intencji. Raczej chciałem w ten sposób ukryć finansową pomoc, gdyby Ted Silvers potrzebował pieniędzy. Jestem dobrze prosperującym człowiekiem interesu z Raleigh w Północnej Karolinie i moja słabość polega na tym, iż uważam, że pieniądze, jakie zarabiam, winny służyć dobroczynności. Przeczytałem w gazetach, co zrobiono Tedowi Silversowi i wstrząsnęło to mną. Jestem w Nowym Jorku przejazdem i przedwczoraj pospieszyłem tutaj dowiedzieć się, czy mogę być w czymś pomocny. Mógł potrzebować pieniędzy, aby podjąć długie i kosztowne leczenie umożliwiające mu odzyskanie wzroku. Niestety, tak nie było; definitywnie stracił wzrok i znajdował się w głębokiej malignie. Bredził, opowiadał przedziwne, niezrozumiałe rzeczy. Wróciłem dzisiaj. Był w...

– Sandra? – Ted Silvers odezwał się.

Młoda kobieta zadrżała. Jej oczy przesuwały się od kształtu leżącego na łóżku do Harry'ego Shulza i z powrotem.

– Bez rąk, bez palców... Będziesz musiała kontynuować beze mnie. Słyszysz mnie, Sandro?

Przez moment Harry Shulz widział, jak wzrok młodej kobiety zadrżał, jak płomyk świecy pod wpływem nagłego podmuchu powietrza. Drzwi

pozostawały uchylone. Wskazała je palcem.

– Bardzo panu dziękuję za zainteresowanie losem mojego brata, panie Mahone. Intencja pańska była wspaniałomyślna. To bardzo rzadkie w naszych czasach. Ani przez chwilę nie mam wątpliwości, że pańska chęć dobroczynności łatwo znajdzie swój upust gdzie indziej, ponieważ brzydota obecnego świata wytwarza znaczne obszary nędzy. Jeśli chodzi o mojego brata, proszę się nie martwić. Tak się składa, że ma on dość środków, z finansowego punktu widzenia... – Jej głos uległ zmianie, znikła uprzednia ostrość, użyła tonu kurtuazyjnego i wytwornego. Na jej wargach przebliskiwał nawet nikły uśmiech. Tym samym światowym tonem zakończyła: – Mój brat i ja nie będziemy zatem potrzebować pańskich pieniędzy, panie Mahone, ale tysiąc razy dziękuję za pańską tak szlachetną ofertę.

Jej palec wciąż wskazywał na drzwi i znaczenie tego gestu było całkiem jasne. Harry Shulz zaprezentował uśmiech pełen zażenowania.

– Proszę dobrze o niego dbać, będzie potrzebował wiele uczucia i opieki.

– Właśnie w tym celu tu jestem, panie Mahone. Nie mogłam przyjść wcześniej, bo dopiero dzisiaj rano dostałam tę straszną wiadomość. Byłam w podróży w Kalifornii.

Pokiwał głową i wyszedł. Nigdzie nie znalazł Carole Weingarten i opuścił szpital. Odnalazł Cordobę i miał już ruszyć w kierunku swego mieszkania na Park Avenue gdy, nie wiedząc dlaczego, ogarnął go jakiś niejasny lęk. Stanowiło to sygnał ostrzegawczy, że coś jest nie w porządku i że dobrze naoliwione, wspaniałe koła zębate jego mózgu włączają ostrzegawcze sygnały alarmowe. Jego mieszkanie na Park Avenue było jego więz z kości słoniowej, miejscem, którego nie powinno nawet musnąć żadne niebezpieczeństwo, miejscem, gdzie zawsze czuł się bezpieczny. Aby je ochronić, gdy czyhało jakieś zagrożenie, miał do swojej dyspozycji inne, skromniejsze mety, kawalerki wynajmowane na cały rok i używane przejściowo. Wszystkie były wyposażone w odzież, żywność, broń, amunicję i różne inne rzeczy.

Teraz, włączając się w ruch uliczny, postanowił nie wracać przez jakiś czas do swego mieszkania na Park Avenue i skorzystać z jednego z awaryjnych. Myślał nad tym dobre dziesięć minut starając się jednocześnie wykryć w lusterku wstecznym, czy nie jest śledzony i ewentualnie

wyślizgnąć się, ale nic go nie zaalarmowało w licznych autach, które naśladowały jego szybkie zmiany pasów ruchu. Te, które mógł podejrzewać o to, że go śledzą, znikwały w pewnym momencie w którejś z prostopadłych ulic. Dokonał wyboru: kawalerka na Barrow Street w dzielnicy Village. Na odcinku między ulicami Bedford i Bleecker, dwa kroki od Siódmej Alei. Niedaleko znajdował się parking strzeżony całodobowo i mógł zaparkować tam wóz bez obawy, że zostanie ukradziony.

W trakcie jazdy zajrzał do schowka na rękawiczki i sprawdził, że leży tam książka, którą wypożyczył od Alexa Blumfelda: *Wrogowie publiczni z lat trzydziestych*. Zamierzał dokończyć lekturę wyczynów Alвина Karpisa i Campbella.

Dla zgubienia ewentualnych śledzących go wykonał jeszcze spory objazd od północy na południe, od wschodu na zachód, następnie od południa na północ i powrócił ku południu. Zadowolony, że nikt go nie ściga, dotarł na koniec do kawalerki na Barrow Street.

ROZDZIAŁ XI

Śmierć Alexa Blumfelda nadal zajmowała dużo miejsca w gazetach. Złośliwie komentowano istnienie pokoju erotycznego i wysuwano mnóstwo hipotez mniej lub bardziej dziwacznych, które łączyło to, że żadna z nich nigdy nie była prawdziwa, a nawet się do prawdy nie zbliżała. Najbardziej atrakcyjną dla dziennikarzy była hipoteza powstała w redakcjach pism o połączeniu śmierci Alexa Blumfelda ze śmiercią trojga aktorów filmowych, ofiar zabójstw. Wszyscy oni pracowali dla Centennial. Dwóch mężczyzn i kobieta.

Jeden z tych dwóch mężczyzn nazywał się Ken Reilly i został w Hollywood rozerwany na strzępy wskutek wybuchu ładunku w skrzynce na listy na Van Ness Avenue, w momencie gdy jedna z jego wielbicielek prosiła go o autograf.

Harry Shulz przypomniał sobie wtedy o notatkach wsuniętych między strony książki, którą wypożyczył od Alexa Blumfelda. Krwawy łotr zastanawiał się nad powierzeniem roli Alвина Karpisa właśnie Reilly'emu i zapisał na papierze swe ubolewanie: *...Powierzyć rolę Vince'owi Roddowi? Ken Reilly byłby lepszy, ale zginął rozerwany bombą w Hollywood...*

Nikt jednak nie znał tych notatek. Ani policja, ani dziennikarze, ani nawet Frieda Hartzmann, która przecież udzielała się ostatnio nad wyraz. Była bohaterką dnia. Perorowała, brała udział w konferencji prasowej, zastanawiała się nad swym przyszłym losem teraz, gdy Blumfeld zginął, utrzymując, że nic nie wie o orgiach, które miały odbywać się w rezydencji.

W każdym razie, oceniał Harry Shulz, było bardzo dogodne, że dziennikarze konstruują hipotezy o ewentualnych powiązaniach między śmiercią Alexa Blumfelda i zgonami trojga hollywoodzkich aktorów. Całkowicie mu to odpowiadało. Porzucił lekturę gazet i przeczytał kilka stron wyczynów *Wrogów publicznych z lat trzydziestych*. Autor zapewniał, że Alvin Karpis i Campbell, tak jak zresztą John Dillinger i Baby Face Nelson, ukryli znaczne kwoty pieniędzy pochodzące z łupów, których to kwot nigdy nie odnaleziono i które rzekomo drzemały w jakimś nikomu nie znanym schowku. Ale nie dostarczał on, jak zawsze w tego rodzaju gołosłownych stwierdzeniach, żadnych dowodów na ich poparcie.

Harry Shulz wrzucił książkę do szuflady i postanowił pójść na obiad. Wybrał znaną mu turecką restaurację pod nazwą *Galatea* na Czterdziestej Czwartej Ulicy Zachodniej. Wydawało mu się zresztą, że wszystkie tureckie restauracje na świecie nazywają się albo *Galatea*, albo *Bosfor*.

– *Gunaydem, efendem...* – powitał go kierownik sali, postawny Turek o długich, starannie przystrzyżonych wąsach. – Stolik, który pan lubi, jest wolny.

Harry Shulz szybko wybrał dania z menu: krewetki z grilla i *szisz-balok**, podlane białym winem z Tracji.

* Ryby z rusztu, liście laurowe i plasterki cytryny, polane sokiem ze świeżych pomidorów.

Zabierał się akurat za *szisz-balok*, gdy ujrzał wchodzącą samotnie kobietę, którą kierownik sali posadził przy stoliku obok jego. To, co w niej dziwiło, to fakt, że nosiła zasłonę, czarczał jak mużulmanki, zasłaniającą całą twarz oprócz czoła, oczu i nasady nosa. Zasłona ta była, jak się wydaje, połączona z chustką zawiązaną na włosach i skrywającą je całkowicie. Poza tym była ubrana po europejsku, co w rezultacie uwypuklało tę zasłonę zakrywającą dwie trzecie twarzy. Nawet w tureckiej restauracji w Nowym Jorku strój ten wydawał się dziwny.

Jej skóra była dość ciemna, co sugerowało być może – jak uznał w myślach Harry Shulz – pochodzenie arabskie lub tureckie. Oczy miały kształt

migdałowy, nieco podobne do oczu młodej kobiety, którą spotkał w sali Teda Silvera i o której sądził, że jest Sandra, a którą tak usilnie wzywał mężczyzna leżący na szpitalnym łóżku. Ale te oczy tutaj należały do innej osoby. Po sylwetce, po skórze, po oczach ocenił, że kobieta jest młoda. Dwadzieścia pięć, trzydzieści lat – oszacował. Była szczupła i smukła, a ze względu na zgrubienie na karku odgadywał, że pod chustką włosy ma związane w kok.

– Oczekuję kogoś, kto zapewne spóźni się – rzuciła kierownikowi sali.

Jej głos był gardłowy, po każdym słowie następowała krótka przerwa, jak gdyby bała się potknąć.

– Oczywiście, proszę pani.

Kierownik sali wahał się, jednak w końcu zaryzykował: – *Turk?*

Pokręciła głową, z miną lekko znudzoną.

– Proszę mi przynieść... Coca-colę...

Kierownik sali zeszytniał, jakby go obrażono i spróbował przeprosząco uśmiechnąć się do Harry'ego Shulza.

– Dobrze, proszę pani.

Harry Shulz o mało nie parsknął śmiechem. Znakomicie się bawił. Turcy z *Galatei* byli wrażliwi na punkcie miłości własnej. Picie takich napojów w ich zakładzie można było porównywać z monstualnym policzkiem. Importowali po dużych kosztach wino z Tracji, jedno z najlepszych na świecie, a tu ktoś miał czelność zamawiać coca-colę! I to w dodatku kobieta! Jakże ten mężczyzna musiał żałować czasów, gdy kobiety zamykano w haremie!

Kierownik sali z pogardą postawił otwartą butelkę i szklankę przed zakwefioną kobietą i ulotnił się, demonstrując swą urażoną dumę. Kątem oka Shulz śledził, kiedy młoda kobieta zacznie pić. Oczekiwał momentu, gdy uniesie róg zasłony i odsłoni usta. Ale ona ograniczyła się do nalania coca-coli do szklanki, nie pijąc. Zawiedziony w swych oczekiwaniach utracił zainteresowanie nią i dokończył swoje *szisz-balok*. Zakończył obiad kilkoma egzotycznymi owocami i kawą po turecku złożoną w dwu trzecich ze zmielonego ziarna, a w jednej trzeciej z cieczy. Następnie poprosił o rachunek. Po jego uregulowaniu wstał i skierował się ku drzwiom zakładu, gdzie oczekiwał go zażenowany kierownik sali. Wsunął mu zwyczajowy napiwek.

– Tak to zatracą się reputacja firmy! – jęknął zgębiony kierownik sali. – Coca-cola, ma pan pojęcie? W *Galatei*!

– Proszę się nie martwić – pocieszał go Harry Shulz. – Koneserzy, ci prawdziwi, zawsze wrócą do *Galatei*, bo jest tu fantastyczna kuchnia.

Kierownik sali promieniał. Otworzył drzwi, przepuścił Harry'ego Shulza i odprowadził go aż na chodnik Czterdziestej Czwartej Ulicy. Od strony Ósmej Alei widać było jaskrawo oświetloną fasadę hotelu *Manhattan*. Tworzyło to kontrast z ciemnością otulającą Czterdziestą Czwartą Ulicę w miarę oddalania się ku zachodowi. Zaczął mżyć drobny deszczyk.

– Chciałby pan, żebym wezwał taksówkę? – zaproponował kierownik sali.

– Dziękuję, to zbędne, mam swój wóz.

– Daleko?

– Dwa kroki stąd.

Kątem oka Harry Shulz ujrzał, jak jakiś samochód wychynął zza rogu Dziewiątej Alei i gnał zgodnie z kierunkiem ruchu* w stronę Ósmej Alei i oświetlonej fasady hotelu *Manhattan*. Jazda była ostra, a kierowca nie włączył reflektorów.

* W Nowym Jorku z reguły ulice o numerach parzystych mają jeden kierunek ruchu, zwrócony ku wschodowi, podczas gdy ulice o numerach nieparzystych mają kierunek zwrócony przeciwnie. Niektóre z nich mają jednak oba kierunki ruchu.

Harry Shulz zgiął kolana i przetoczył się pod nogi kierownika sali, który pod wpływem uderzenia upadł z krzykiem na chodnik. Grad pocisków przeszedł ponad plecami Harry'ego Shulza i roztrzaskał oszklone drzwi restauracji. Zauważył, że detonacje zostały wyciszone dzięki pochłaniaczowi dźwięku. Policzył je. Łącznie wystrzelono siedem pocisków... Profesjonaliści w zakresie pochłaniaczy dźwięku, ale amatorzy w dziedzinie strzelania. Co prawda samochód, ford, przyspieszył przejeżdżając przed restauracją zamiast zwolnić, co umożliwiłoby strzelcowi spokojne naprowadzenie na cel. W takim przypadku, musiał przyznać, nie miałby żadnej szansy wyjścia z tego cała, nawet rozpląszczony na asfalcie chodnika. Ale zatrzymanie się w momencie strzału wymagało dużej dawki zimnej krwi. A może brakowało jej tym z forda? Nie byli chyba pewni siebie. Mimo, że ten odcinek Czterdziestej Czwartej Ulicy był słabo oświetlony, znajdował się on przecież w samym sercu Manhattanu, ustawicznie kontrolowanego przez zmotoryzowane patrole policyjne.

Z piskiem opon ford skręcił w Ósmą Aleję i zniknął w kierunku północnym.

Harry Shulz wstał i pomógł podnieść się kierownikowi sali. Ten drugi był siny.

– Ale... ale... dla... dlaczego? – wyjąkał.

Harry Shulz zalał go rzeką słów.

– Chodziło im o pańską restaurację, to zamach na Turków. Prawdopodobnie Ormianie. Udało nam się!

Kierownik sali otworzył szeroko oczy.

– Ormianie?

– Ormiańskie ruchy odwetu przeciw ludobójstwu popełnionemu na ich narodzie z nakazu sułtanów Turcji, na początku obecnego wieku. Milion zabitych. Ormiańscy mściciele postanowili teraz dokonać represji wobec Turków. Niedawno zabili dyplomatę w Paryżu. Sądzę, że wzięli na cel i pańską restaurację.

Kelnerzy i klienci zakładu wychodzili kolejno rozgniatając pod zelówkami stłuczone szkło. Harry Shulz popchnął kierownika sali w kierunku wejścia do restauracji.

– Niech pan szybko powiadomi policję, że w *Galatei* miał miejsce zamach ormiański – poradził.

Stek przekleństw wypłynął z ust tureckich kelnerów, gdy usłyszeli słowo ormiański. Sikilmiç... Ibne.. Puçt... Piç... Oruspu cocugu... Wszystkie sugerowały, że Ormianie upodobili sobie szczególne obyczaje, lub też zostali urodzeni z niegodnych matek. Nerwowość udzielała się, napięcie w zebranej grupie osób wzrastało. Harry Shulz skorzystał z zamieszania i oddalił się wielkimi krokami. Nie poszedł po Cordobę tego wieczoru i zła pał taksówkę jadącą powoli Dziewiątą Aleją.

Nie wierzył w tę historię o Ormianach, jaką opowiedział kierownikowi sali. Ruch forda pokrywał się z jego wyjściem na chodnik. Zatem to on stanowił cel. Prawda, kierownik sali także znajdował się na chodniku, ale dwa kontrargumenty świadczyły o tym, że to nie on był celem strzelca. Po pierwsze, kierownik sali rzadko stawiał nogi na chodniku w trakcie swej pracy. Ponadto było mało prawdopodobne, aby ktoś czyhał na niego już od tak wczesnej godziny wiedząc, że restauracja zamyka podwoje o drugiej nad ranem i że w tym właśnie momencie opuszcza on zakład i może stać się potencjalnym celem, jeśli ktoś chce go zamordować. W cudowny sposób, wbrew pozorom, nie było ofiar wewnątrz restauracji, mimo, że oszklone drzwi zostały roztrzaskane pociskami. Prawdziwy los szczęścia

dla biednych klientów i kelnerów. Siedem pocisków...

– To mój ostatni kurs – ucieszył się kierowca taksówki, gruby, wesoły Murzyn. – I wreszcie będę mógł się walnąć na łóżko.

Harry Shulz wpadł na pewien pomysł.

– Potem, po tym kursie prowadzi pan gablotę do zajezdni?

– Jasne, i inny facet pakuje swój tyłek na moje, jeszcze ciepłe, miejsce.

– To proszę zmienić kurs, też chcę tam jechać.

– Do zajezdni?

– Do zajezdni, z dużym napiwkiem, aby wypełnić pańskie sny niezgorszymi obrazami.

Kierowca taksówki natychmiast zrozumiał.

– Sądzi pan, że ktoś śledzi moją gablotę?

– Skąd mam to wiedzieć? Nie znam twarzy mężów moich konkiet. Znam za to teksty listów z pogrózkami, które codziennie dostają.

– Popatrz pan, to zabawne. Widzę, że pan jest tak samo ostry w te klocki jak ja! Teraz mam cizię, która chce, żebym ją...

Kierowca taksówki zaczął opowiadać jakąś skomplikowaną historię, ale Harry Shulz nie słuchał. Zajezdnią była duża; głośna hala, w której przekrzykujący się kontrolerzy zbierali pieniądze i wpychali je do skórzanych toreb, po czym wydawali pokwitowanie i specjalnym kluczem ustawiali liczniki na zero. Harry Shulz zmienił wóz i już na początku dał kierowcy banknot dwudziestodolarowy, aby ten wystartował w tym samym momencie, co dziesiątki innych wozów ruszających w miasto w poszukiwaniu nocnych klientów, zachowując chorągiewkę licznika uniesioną tak, jakby był wolny. Harry Shulz pozostał skulony na podłodze z tyłu taksówki. Kazał się zawieźć na Grand Central, a tam złapał inną taksówkę, którą powrócił do Village.

Skąd pochodził cios? – zapytywał sam siebie nalewając sobie szklanczkę William Lawsons w kawalerce przy Barrow Street.

W pierwszej chwili można było sądzić, że odpowiedzialnymi, jeśli nie autorkami strzelaniny, były obie siostry Wood. Należało zatem założyć, że opłaciły zabójcę dla zastrzelenia tego, kto wykonał kontrakt na Blumfeldzie. Ale było to przypisywanie im wielkiego machiawelizmu. Ponadto tej hipotezy nie potwierdzało ich zachowanie w trakcie przekazywania drugiej połowy zapłaty. Tym, czego chciały przede wszystkim, było kontynuowanie dzieła niszczenia kanalii, skorzystanie z jego usług w przyszłości. To

przecież on sam musiał się nabiedzić, aby odradzić im działanie od razu. Zatem? Złość? Zemsta za odmowę natychmiastowej współpracy? To nie miało sensu. Po pierwsze, zabójcy nie znajdowało się tak łatwo jak batonika lodowego w przerwie spektaklu. A szczególnie nie tak szybko. Czyżby zgłosiły się do Traków? Możliwe, ale spotkałyby się z odmową. Oni nie przyjmują kontraktów dotyczących własnych wykonawców. Dokąd doszlibyśmy, gdyby członkowie Organizacji wzajemnie się zabijali? Tym bardziej, że siostry Wood nie mogły przedstawić żadnego sensownego powodu. Kontrakt Blumfelda został wykonany ku ich satysfakcji. Nie popełnił żadnego błędu. A pretekst, że ktoś chce się pozbyć kłopotliwego świadka, wykonawcy kontraktu, nie stanowił argumentu mogącego spotkać się z akceptacją Organizacji. Wprost przeciwnie! To nawet siostry Wood ryzykowały, że zostaną sprzątnięte za niestosowanie się do reguł!

Jednak tego śladu nie należało całkiem odrzucać. Raczej należało go badać, ale bardzo delikatnie, subtelnie, mając jako podstawową broń nie Karpia lub Gutsa, lecz psychologię... Pewnie, obie siostry mogły go dyskretnie śledzić. Dobrze zrobił, że nie wrócił do swojego mieszkania przy Park Avenue. Ale wniosek był oczywisty: kawalerka na Barrow Street także została odkryta, bo inaczej skąd by wiadano, że jest w *Galatei*?

Konkludując: popełnił błąd wracając tutaj. Z Grand Central powinien kazać się zawieźć do innej ze swych met. Jutro właśnie tak zrobi. Dokończył scotcha, rozebrał się i położył sprawdzivszy uprzednio, że drzwi wejściowe i okna zostały zabezpieczone. Przeczytał kilka stron z *Wrogów publicznych z lat trzydziestych*, potem zgasił światło i spokojnie zasnął. Jego nerwy i umysł były przyzwyczajone do wszelkich niebezpieczeństw wiążących się z trybem życia, jakie prowadził, i od dawna zdołały się uodpornić.

* * *

Są ludzie, którzy, aby wynurzyć się z oparów snu, biorą prysznic. Nie dotyczyło to Vince'a Rodda. On wolał skoczyć na główkę do swego klimatyzowanego basenu w kształcie asa treflowego. As treflowy zawsze przynosił Vince'owi Roddowi szczęście. Za każdym razem, gdy miał szczęśliwą rękę w bakaracie, pojawiał się as treflowy, często wraz z dziesiątką treflową. Kłopot polegał na tym, że trudno zbudować basen pływakcki o kształcie dziesiątki treflowej, zatem Vince Rodd zdecydował się tylko na asa. Lecz

w celu prześlągania złego losu w przypadku, gdyby dziesiątka treflowa okazała się kapryśna, wymógł na architekcie, aby na dnie basenu pojawiało się mnóstwo dziesiątek treflowych. Takie załatwienie sprawy uspokajało sumienie Vince'a Rodda i miał nadzieję, że uspokajało ono także dziesiątki treflowe, jakie pojawią się w przyszłych rozdaniach bakarata u krupierów w Las Vegas.

Dziewczyna wciąż spała. Wysunął się z łóżka. Technicznie nawet niezła – przyznał, odczuwając wdzięczność zmysłów. To była jedna z jego wielbicielki, która w poszukiwaniu autografów przysłała pod bramę wytwórni Centennial w trakcie odsłaniania na ścianie tablicy dla upamiętnienia Kena Reilly'ego rozerwanego wybuchem bomby. Wniosek: należało być podejrzliwym wobec próśb o autografy. Czy gdyby Ken nie zatrzymał się, aby złożyć autograf swej wielbicielce, żyłby dzisiaj? Mógł, na przykład, zyskać dodatkowo dwa lub trzy metry i znaleźć się dzięki temu dalej od miejsca wybuchu. Może to by go ocaliło?

W każdym razie ostatnio zrobiło się ostro w światku filmowym! – pomyślał ze smutkiem, zakładając kąpielówki. Ken Reilly, Alex Blumfeld, dawny szef Centennial, Garry Gordon i Mary Jo Dunes. Wszyscy zamordowani. To z Blumfeldem musiało być za jakąś sprawę łózkową, jeśli wierzyć twierdzeniom prasy i opisowi jego sypialni. Ale pozostałych troje? Ken Reilly, Garry Gordon i Mary Jo Dunes?

Zdjął z wieszaka swój płaszcz kąpielowy i przeszedł na taras. Też sprawy łózkowe? Coś dużo tego jednak! Zazdrosne samiczki lub samce? Jo skłaniała się raczej do kobiet, Garry Gordon do typów super muskularnych w stylu jarmarcznych atletów. Ken Reilly interesował się wyłącznie samym sobą. Narcyz, autowielbiciel, egocentryk. Hollywood zdecydowanie stawał się niezdrowy. Nowy Jork także, ale w mniejszym stopniu. Na razie wynik wynosił trzy dla Hollywood i jeden dla Nowego Jorku. Trzy do jednego.

Rzucił okiem przez ramię. W pokoju dziewczyna wciąż spała pod odsuniętym prześcieradłem ukazującym jej nagie piersi. Tak, mimo wszystko fajna brzytwa. Żadnych kompleksów i żadnych problemów. I nie prosiła go, jak wszystkie inne, nieodmiennie już po pierwszych uściskach, aby jej wygrzebał jakąś rolę w przyszłej superprodukcji Centennial. Zresztą jeśli chodzi o to, C.P.C, nie kręciła takich filmów od dobrych kilku lat. Dokładnie od ery Blumfelda i następującego po tym skandalu, Centennial była

firmą powracającą do zdrowia, starającą się pozbierać po przebytych szoku, produkując filmy długometrażowe, ale o zredukowanym budżecie, tzw. filmy klasy B.

Przeszedł w dół schodami prowadzącymi do basenu.

Wstawał poranek o barwach pomarańczowych i indygo. Powietrze było łagodne. Vince Rodd pomyślał, że kąpiel dobrze mu zrobi. Cóż jest lepszego niż kąpiel po upojnej nocy? To relaksowało i doprowadzało mięśnie do formy. Zachowywał zawsze pewien zwyczaj: płynąć wzdłuż brzegów basenu o kształcie asa trefl. To tak jakby hołd, który oddawał Szansie. Nigdy nie pozbawiać się względów Szansy. To była zdeprawowana bogini. Najmniejszy fałszywy krok i opuszczała cię. Nieodwołalnie.

Ruchem nogi posłał zagubioną piłkę na trawnik oświetlony jeszcze lampami punktowymi. Powietrze chłonęło zapach eukaliptusów. Po kąpeli – zaplanował sobie – zrobi wspaniałe śniadanie z kawą, obudzi dziewczynę i nakarmi ją przed jej wypchnięciem. Następnie, prosto do wytwórni. Helikopterem. Był przesądny. Mowy nie ma o przejściu przez Van Ness Avenue, gdzie zginął Ken Reilly. Nie, zawarł umowę z San Bernardino Air Transport Service. Przylatywano po niego helikopterem, wieziono do wytwórni i wieczorem odwożono do domu. Dziewczyna, która teraz spała w sypialni, została oszołomiona taką jazdą i to go nawet podnieciło. Umowa nie kosztowała go bardzo dużo, ponieważ to właśnie firma San Bernardino dostarczała helikoptery niezbędne przy kręceniu *Zabójców w Dolinie*, typowego filmu klasy B, w którym miał główną rolę. Jeszcze dwa tygodnie pracy i jego kontrakt z Centennial zakończy się. Dawano mu oferty z Cinecittà. Może pojedzie popatrzeć trochę na Rzym? Clint Eastwood wyrażał się o nim w superlatywach, podobnie jak Alain Delon, gdy ostatnim razem przebywał w Hollywood. A on kochał Włochów i jeszcze bardziej Włoszki. Cinecittà miała najładniejsze aktorki na świecie. Nim sam zadebiutował w filmie, był do szaleństwa zakochany w Monice Vitti i Virnie Lisi. Tak, może pojedzie popatrzeć na Rzym, gdy jego kontrakt z Centennial się zakończy... Choć mówi się, że Włochy wcale nie są pewniejsze od Hollywood czy Nowego Jorku! Dokonuje się tam porwań na dużą skalę! Porwań dla okupu! Niedobrze, bardzo niedobrze!...

Zrzucił płaszcz kąpielowy na brzegu basenu i wskoczył do wody. Była rozkosznie łagodna. Idealna temperatura. Nie za zimna, nie za letnia.

Długimi, odmierzonymi ruchami ramion popłynął w kierunku podstawy asa treflowego.

A może spróbować kina meksykańskiego? Wcale niegłupie. Zawsze potrzebowali jakiegoś *gringo*. Ich historyjki nie były rewelacyjne, ale nie gorsze niż ci *Zabójcy w dolinie*, w których grał obecnie dla C.P.C. A w ich wytwórniach w Mexico mieli kilka uroczych aktorek. Kłopot był z wynagrodzeniem. Marne. Wystarczało akurat na *tequilę*, dziewczyny i *tortillas*. Ale z drugiej strony w Mexico jeszcze żadnych aktorów nie zamordowano. A to była zaleta. Ponadto tam szanuje się aktorów. Szczególnie *gringos*. *Vaya con Dios!*... Może więc wybierze się do Mexico... Tym bardziej, że biegle włada hiszpańskim. Urodził się w Douglas w Arizonie, mieście granicznym prawie złączonym ze swym meksykańskim vis-vis, Agua Prieta. W Douglas było wielu Meksykanów. Vince Rodd mówił po hiszpańsku od wczesnego dzieciństwa, a w wytwórniach filmowych w Mexico nie używano innego języka. Kino meksykańskie zalewało Amerykę Środkową i Południową swymi filmami. Niewątpliwie potrzebowało ono świeżej krwi... I Vince Rodd był gotów zaoferować swoją.

Woda wspaniale go odprężyła. Dopłynął do podstawy asa treflowego, skręcił w lewo i ruszył w kierunku okręgu, tworzącego jedną z bocznych gałęzi asa. Poranek stawał się coraz jaśniejszy i barwy pomarańczowa i indygo nieodwołalnie znikwały. Wysiętek wywoływał głód; zastanawiał się, czy warto opłynąć cały obwód basenu. Ale był bardzo przesądny. A jeśli as treflowy zirytuje się? Nie wspominając o mnóstwie dziesiątek treflowych pod nim, z których utworzono wykładzinę kafelkową dna. Na następny weekend zaplanował kolejną wizytę w Las Vegas i było nie do pomyślenia, aby brakowało mu asów i dziesiątek treflowych w trakcie gry w bakarata, tym bardziej, że postanowił grać ostro. Thunderbird, Stardust, Sahara i inne kasyna Las Vegas powinny dobrze się trzymać i przygotować żetony do wielkiej gry! Bakarat, craps i poker. Z crapsem jest kłopot, bo gra się w nim kostkami do gry i w grze tej ani as, ani dziesiątka treflowa nie są przydatne. Tu jego ulubionym wynikiem była szóstka. Wychodziła mu za każdym razem, albo jako dwie trójki, albo jako cztery i dwa, lub pięć i jeden. Gdyby kiedykolwiek kazał sobie zbudować drugi basen, nada mu kształt szóstki. U podstawy duży okrąg i ogon wygięty ku górze.

Czuł się nieco zdyszany. Ciekawe, był w gorszej formie niż zwykle. Chwycił brzeg basenu dwiema rękami i zdziwił się, widząc nad sobą dwie

szczupłe nogi w spodniach. Podniósł głowę.

– Cześć, Vince, będziesz miał trudności w poznaniu mnie, ale przypominasz sobie pewną scenę... Byłeś wtedy z Kenem, Garrym i Mary Jo. Już chwytasz, o czym mówię?

Nagle woda wydała się Vince'owi Roddowi obrzydliwie lodowata i zaczęła dygotać.

– Przyznaję – wybełkotał – że nie przypominam sobie...

– Ależ, Vince – głos stał się ironiczny – zwykle kojarzysz znacznie szybciej. Jeszcze się nie obudziłeś?

– O co chodzi?

– Chcę się zemścić.

Vince Rodd miał wrażenie, że jego nogi opierają się o górę lodową, tak były zimne. Wdychał powietrze pachnące eukaliptusem, ale w niczym mu to nie pomagało.

– Zemścić się? Za co?

– Zobacz...

Zobaczył i przeraził się. Jego umysł ogarnął niepokój. Próbował się skupić. Co teraz ma zrobić? Opuścić się na dno, uciec pod wodą jak najdalej, wylądować na przeciwnym brzegu i próbować umknąć temu szaleńcowi? Tak właśnie robi. W żadnym razie nie może czekać tu na śmierć. Jednak czuł się jakoś dziwnie sparaliżowany. I wtedy zobaczył otwór pistoletu. Strach wyzwolił go z paraliżu. Obie dłonie puściły brzeg i zanurzył się. Zbyt późno. Pocisk przedziurawił mu czaszkę od góry do dołu, ciało stało się miękkie, zwiotczało i powoli wypłynęło na powierzchnię, otoczone czerwonym kręgiem jak ciekłym kołem ratunkowym. Drugi pocisk strzaskał mu głowę, ale on już wcześniej był martwy.

Dziewczyna śpiąca nago w sypialni tego wspaniałego domu w kalifornijskim stylu odnotowała w swej podświadomości dwie detonacje, ale przewróciła się tylko we śnie, szepcząc: Która to godzina, Vince?

ROZDZIAŁ XII

Harry Shulz nienawidził być zwierzyną; on, który zwykle był myśliwym! Po raz kolejny od przebudzenia się rozpatrywał swoje położenie zakładając, że kawalerka przy Barrow Street została odkryta. A jeśli tak

się stało, to czyż nie było prawdopodobne, że ci, którzy próbowali go zabić poprzedniej nocy, wykonają i w dzień jakieś działania, aby poprawić wynik tamtej akcji?

Postanowił zatem nie ruszać się ze swej kryjówki do czasu, aż zapadnie zmrok. Taką taktykę lubił stosować. Najpierw dać szansę myśliwemu na wytropienie go, a następnie kontratakować, wychodząc naprzeciw, z odsłoniętym torsem, ale i z bronią w rękach. Najistotniejsze teraz było poznać tożsamość potencjalnych zabójców i ich motyw.

Dokończył lekturę wyczynów *Wrogów publicznych z lat trzydziestych* i zamknął książkę. Muzyka rockowa nadawana w radio pomiędzy reklamami została nagle przerwana i spiker podekscytowanym głosem oznajmił:

– Wiadomość z ostatniej chwili. Znany hollywoodzki aktor filmowy Vince Rodd został zastrzelony podczas kąpieli w basenie w jego rezydencji w Beverly Hills. Zgodnie z oświadczeniem przyjaciółki aktora, która spędzała tę noc w jego pokoju gościnnym, zbrodnia miała miejsce przed ósmą dzisiejszego ranka. Do nas ta wiadomość dotarła dopiero teraz ze względu na różnicę czasową trzech godzin między Zachodnim i Wschodnim Wybrzeżem...

Harry Shulz spojrział na zegarek. Było wpół do pierwszej.

– To już czwarty aktor z Hollywood zamordowany w ostatnim czasie. Najpierw był Garry Gordon, następnie Mary Jo Dunes, potem Ken Reilly; wszyscy pracowali dla Centennial Pictures Corporation, której dawny szef, słynny Alex Blumfeld, także został zamordowany kilka dni temu w swej rezydencji na Piątej Alei w Nowym Jorku. Przypomnijmy, że Vince Rodd był laureatem Oscara w roku 1978 za rolę męską w filmie *Mężczyzna między dwiema kobietami*. Urodził się w Douglas w Arizonie...

Harry Shulz już jednym uchem słuchał tych danych biograficznych ofiary. A jeśli Stowarzyszenie Obrony Małych Akcjonariuszy i Drobnych Ciułaczy zaangażowało się – o czym ani słowa nie szeptęły mu siostry Sharon i Karen Wood – w wyniszczającą wojnę przeciwko aktorom pracującym dla Centennial, i to z jakiegoś niejasnego powodu, którego nie potrafił doćiec? Używając do tego innych wykonawców? Dzielać robotę na odcinki. Być może nie był jedynym, którego usługi zamówiono u Traków? Dobrze, ale po co starać się go zabić po robocie? O co chodziło w tej eksterminacji aktorów z Hollywood?

Coś tu się gdzieś nie zgadzało...

Głos w radiu zmienił temat:

– ...inny okrutny przypadek na Brooklynie. Ofiarą bestialskiego mordu padła rodzina niewidomych, matka wraz z trzema córkami. Policja prowadzi śledztwo w tej wyjątkowo odrażającej sprawie. Dożyliśmy czasów rządzenia przemocy. Gwałt pojawia się wszędzie. Nawet pogoda dostosowała się do nastroju. Chmury zbierają się nad...

Harry Shulz westchnął. A więc odkryto wreszcie ciała Mary Scarazella i jej trzech córek. Musi dyskretnie dowiedzieć się, kiedy będzie ich pogrzeb i anonimowo wysłać kwiaty. Te myśli przypomniały mu o Tedzie Silversie. Jak się obecnie czuje? Może odzyskał już świadomość?

Odszukał w książce telefonicznej numer Harlem Eye and Ear Hospital i wykręcił go.

– Z oddziałem Eye 17 – poprosił, gdy odezwała się telefonistka, a po kilku sekundach dotarł do niego głos Carole Weingarten, lekko zniekształcony przez telefon. – Jestem przyjacielem Teda Silversa, tym mieszkającym w Raleigh w Północnej Karolinie i pozostawiającym studolarowe banknoty pod rejestrem w czarnej okładce...

– Przypominam sobie.

– Jak on się czuje?

– Umarł.

Zaparło mu dech i przez chwilę zaniemówił.

– Jak to? Przecież to chyba nie z powodu braku świadomości! – udało mu się wreszcie wykrztusić. – A może to działanie kwasu siarkowego?

– Ani to, ani tamto. Popęłnił samobójstwo.

Z trudem przełknął ślinę.

– Samobójstwo?

– Sądźmy, że w momencie, gdy wróciła mu świadomość, dotarła do niego wielkość strasznego ciężaru, który będzie musiał nieść do końca swych dni: ślepotą. I chyba nie mógł tego znieść. Pewnie udało mu się przekonać swą siostrę, że śmierć jest lepsza od tego okropnego kalectwa. I ona zgodziła się przynieść mu cyjanek...

– A co ona sama powiedziała na ten temat?

– Nic, gdyż więcej jej nie zobaczyliśmy.

– Nie macie jej adresu?

– Nie.

- Kiedy to się stało?
- Ostatniej nocy.
- A co o tym sądzi policja?
- Samobójstwo to samobójstwo, co można więcej powiedzieć? W gruncie rzeczy każdy może dysponować swym życiem, tak jak uważa. Nie pochwała pan postępkę przyjaciela?

Harry Shulz pokiwał głową. Zapewne zrobiliby to samo, będąc na miejscu Teda Silvera.

- Nie potępiam go.
- Ani ja. Rozumiem jego reakcję. Jeśli nikt nie zgłosi się po ciało, po grzeb odbędzie się za trzy dni. Zwłoki przez ten czas będą w kostnicy szpitala. Moim zdaniem nikt się nie zgłosi po ciało, mam na myśli tę jego siostrę. Mimo wszystko ona chyba czuje się winna. To nie może być przyjemne wiedzieć, że się jest współniczką śmierci brata...
- Sądzę, że ma pani rację. Dziękuję.

Odłożył słuchawkę, nieprzekonany. Jego myśli wróciły do Vince'a Rodda. On także był wymieniany w notatkach wetkniętych między strony *Wrogów publicznych z lat trzydziestych*. Blumfeld chciał mu powierzyć rolę Alвина Karpisa, pierwotnie przeznaczoną dla Kena Reilly'ego. Wszyscy trzej obecnie nie żyli. Dziwna ta hekatomba, mimo wszystko... Ta hekatomba plus próba zabójstwa poprzedniej nocy...

Ponownie wziął książkę, którą skończył kilka minut temu i uważnie przeczytał rozdział poświęcony Alwinowi Karpisowi i Campbellowi oraz notatki, zatrzymując się przy każdym słowie, przy każdym zdaniu, w poszukiwaniu jakiegokolwiek wskazówki, która mogła mu umknąć poprzednio. Owszem, tak jak w rozdziałach dotyczących zbrodniczych wyczynów Johna Dillingera i „Baby Face” Nelsona, autor wysuwał hipotezę łupu ukrytego i nigdy nie odnalezonego, ale Blumfeld wydawał się nie przywiązywać do tego jakiegokolwiek wagi. Zresztą gdzie szukać? Uplłynęły czterdzieści cztery lata, prawie pół wieku, od ujęcia Alвина Karpisa i osadzenia go w Alcatraz*. Był to ślad niemożliwy do zbadania, a w każdym razie jak go powiązać z zabójstwami i z jego uśłowaniem?

* Wypuszczony na wolność w roku 1969 po 33 latach więzienia, Alvin Karpis zmarł w Hiszpanii po długiej chorobie latem 1979 roku.

Nic z tego nie wynikało. Zamknął książkę.

Gdy mrok zapadł, zdecydował się. To był moment, aby z odsłoniętym

torse, ale z bronią w rękach, stanąć przeciw napastnikom, którzy, jak zakładał, oczekiwali go, zaczajeni w mroku, gotowi znów uderzyć. Karp drzemał spokojnie w swej kaburze. Sprawdził, że ma zapasowe magazynki. Następnie zaczął się ubierać, czego nie zrobił od rannego golenia i przysznica, umieścił kaburę na miejscu. Mobilizując wszystkie zmysły opuścił kawalerkę i wyszedł na ulicę. Niedaleko Washington Square złapał taksówkę i kazał się zawieźć na otwarty parking, gdzie poprzedniego wieczoru zostawił Cordobę. Wsiadł do niej i jadąc powoli dotarł do hotelu *Americana* na Siódmej Alei, Postawił wóz na parkingu z parkometrem. Stamtąd poszedł do baru hotelu. Należało się pokazywać w miejscach publicznych, gdzie przebywało wielu ludzi. To budziło zaufanie tych, którzy ewentualnie go śledzili. Mniej się kryli, co z kolei dawało Harry'emu Shulzowi większą szansę ich wykrycia; choć szansa ta, przyznawał, była znikoma, jeśli miał do czynienia z profesjonalistami. Tak, ale czy profesjonalści popełniliby błąd i nie zwolnili wozu przejeżdżając przed celem, który chcieli ostrzelać na chodniku, jak to się wydarzyło poprzedniego dnia na Czterdziestej Czwartej Ulicy?

Bar hotelu *Americana* miał spore grono swych bywalców. Spotykano tam, w równych proporcjach, Nowojorczyków i osoby spoza miasta, a spośród mieszkańców Nowego Jorku wielu Libańczyków, którzy uciekli ze swego zrujnowanego kraju i próbowali ponownie wypłynąć na powierzchnię w największym centrum finansowym świata; co prawda ze zmiennym szczęściem, gdyż konkurencja broniła się zaciekle, waląc siekierą w nerki przeciwnika.

Zamówił podwójnego Williama Lawsons i zapalił pall maila. Przy piątym zaciągnięciu kelnerka przyniosła mu zamówionego scotcha, a gdy znikła z widoku z tacą obciążoną szklankami, zadrżał. O kilka kroków dalej stała zasłonięta kobieta, którą poprzedniego wieczoru zauważył w *Galatei*. Miała na włosach tę samą chustkę, a na twarzy ten sam kwef. Pozostałe części ubioru uległy zmianie. Szara suknia doskonale pasowała do odrobinę jaśniejszego zamszu botków. Rozglądała się na prawo i lewo, wyraźnie poszukując wolnego stolika. Nagle jej wzrok spoczął na Harrym Shulzu i rzuciła się w jego kierunku.

– Poznaję pana! – zawołała gardłowym głosem. – To pan uniknął śmierci wczoraj wieczorem!

Wstał, lekko się uklonił i zaprosił ją, aby usiadła naprzeciwko. Zrobiła to bez cienia zażenowania.

– Co za niespodzianka! – wykrzyknęła. – Byłam tam, przed wejściem. Zaciągnął się pall malle.
– Przed wejściem?
– Przed *Galateą* wczoraj wieczorem – sprecyzowała. – Po strzelaniu. Pan i kierownik sali cudem ocaliliście! Dlaczego nie zaczekał pan na przybycie policji, aby zgłosić skargę?

– Skargę na ormiańskich terrorystów, co by to dało? Miałem ważne spotkanie i dlatego odszedłem. Świadczenie kierownika sali było wystarczające. Co się działo po moim odejściu?

– Przyjechała policja i wszystkich przesłuchała.

Harry Shulz zauważył, że głos jej jakby urywał się, tak jak poprzedniego dnia w trakcie dialogu z kierownikiem sali *Galatei*. Zająkowała się na początku słów.

– Czy policja coś wywnioskowała z tych przesłuchań?

– Nie mam pojęcia. Osoba, na którą czekałam, zjawiła się wtedy i poszliśmy zjeść obiad gdzie indziej. W *Galatei* był taki bałagan, że obsługa nas byłoby niemożliwe. A poza tym nie podobało mi się miejsce ani kierownik sali.

– Z powodu coca-coli?

Roześmiała się za zasłoną.

– Nie było to w jego guście.

Zapuścił swój wzrok w jej wielkie oczy o migdałowym kształcie.

– Dlaczego nosi pani tę zasłonę?

– Ze względu na moją religię.

– Jest pani muzułmanką?

– Tak.

Kelnerka przesuwiała się koło stolika. Harry Shulz zawołał ją.

– Czego się pani napije? – zapytał, ze wzrokiem wciąż utkwionym w wielkich oczach o migdałowym kształcie.

– Coca-coli.

Kelnerka nie była kierownikiem sali pracującym w tureckiej restauracji i nie wygłosiła żadnego komentarza.

– Z jakiego kraju pani pochodzi? – kontynuował Harry Shulz.

– Z Libanu. Z Bejrutu.

– Często przychodzi pani do tego baru?

– Mieszkam w tym hotelu. Właśnie... Mam na imię Mouna...

– Bardzo mi miło panią poznać. Jestem Jake. Jake Mahone.

– Zachwygam się wszystkimi amerykańskimi imionami i Jake bardzo mi się podoba. To zdrobnienie od Johna, prawda?

– Nie, zdrobnieniem Johna jest Jack, nie Jake. Jest pani w Nowym Jorku przejazdem, Mouno?

– Przekrzekam tu, aż w Bejrucie wszystko się ustabilizuje, jeśli kiedyś się ustabilizuje. Nie sądzę, aby wojna domowa była bliska zakończenia. Zbyt wiele stronnictw rywalizuje tam ze sobą, a każde jest chętne do złapania władzy. Na razie staram się przeżyć w Nowym Jorku, a mój zapas biżuterii topnieje jak śnieg na słońcu...

– Pani angielski jest znakomity.

– Dziękuję. A czym się pan zajmuje, Jake?

– Jestem człowiekiem interesu. Import-eksport.

Kelnerka przyniosła coca-colę i, jak poprzedniego wieczoru w *Galatei*, Harry Shulz oczekiwał momentu, w którym Mouna, aby się napić, zostanie zmuszona unieść róg zasłony zasłaniającej jej twarz.

– Lubi pan tańczyć? – zapytała zniemacka, gdy tylko kelnerka zniknęła między stolikami.

Pytanie zaskoczyło Harry'ego Shulza.

– Eee... – odpowiedział szukając właściwej odpowiedzi, gdyż nie bardzo widział, o co jej chodzi.

Uratowała sytuację:

– Kocham disco. W Nowym Jorku jest kilka rewelacyjnych lokali. Znacznie lepsze, niż w Bejrucie. Znam cztery. *Affinity* no Broadwayu, *Oubliette* w hotelu *Gotham*, na rogu Piątej Alei i Pięćdziesiątej Piątej Ulicy, *Hippopotamus*, Siódma Aleja przy Czterdziestej Ósmej Ulicy i *Library*, Park Avenue przy Sześćdziesiątej Ulicy. Chociaż *Oubliette* tak naprawdę nie jest całkiem disco. Orkiestra, która tam gra, składa się wyłącznie z kobiet, pod batutą Patti Brown, i wykonuje także utwory bardzo retro, w stylu boogie-woogie, rumby a nawet tanga, ale jak gra rocka, to wtedy daje z siebie wszystko! Gra także utwory *reggae* oraz *ska*. Ale, moim zdaniem, Patti Brown jest najlepsza w *new wave*. Nie do pobicia! I nie może pan sobie wyobrazić, jak fakt oglądania występów scenicznych orkiestry złożonej wyłącznie z kobiet napawa satysfakcją mnie, muzulmankę. Daje mi to ufność w bliskie całkowite wyzwolenie muzulmanek.

Harry Shulz znał lokale, o których mówiła Mouna. Aby zabić czas między kontraktami, gdy znajdował się w Nowym Jorku, sprawdził je, tak jak i

inne podobne miejsca, lecz jego zdaniem hałas był tam nadmierny i z góry czuł się zniechęcony na samą myśl o podrygiwaniu przez długie godziny na parkiecie z wątplą nadzieją na zdobycie względów jakiejś cizi. Było skądinąd prawdą, że kobiety zajmowały coraz bardziej dominujące miejsce w grupach spod znaku *new wave*. Choć disco, ze swym Travoltą, Bee-Gees, głupawymi tekstami i uporczywym akompaniamentem perkusji, wciąż święciło triumfy. Donna Summer elektryzowała parkiety taneczne. Lecz *new wave*, ze swymi kobietami robiącymi za symbole seksu, atakowała całą mocą. Tu królowały Martha Davis, Pat Benatar, Debbie Harry, Nina Hagen, Marie Curry, Martha Daws i im podobne. Jak mężczyźni skandowały tempo, synkopowały, frenetycznie szarpiąc struny elektrycznych gitar, wybijając akordy na organach, wywołując eksplozje dźwięków na perkusji, przeginały się w biodrach, uda rozchylone jak do ofiary seksualnej, obciśnięte w swych ekstrawaganckich mundurkach zaprojektowanych tak, aby wzbudzić pożądanie u mężczyzny, a uwolnienie marzeń u kobiety.

Harry Shulz zostawił *new wave* na boku i skierował temat na ostatnie słowa Mouny:

– Fakt zdarcia zasłony skrywającej pani twarz stanowiłby, moim skromnym zdaniem, duży krok w kierunku pani własnego wyzwolenia – zauważył obojętnym tonem.

– To prawda – przyznała – ale boję się.

– Czego?

– Nie znam nikogo w Nowym Jorku, oprócz Libańczyków. Gdy są chrześcijanami i widzą kobiety z zasłoną czy bez, nie ma to dla nich żadnego znaczenia, ale muzułmanie są takimi tradycjonalistami, że zszokowałby ich mój widok bez tej zasłony. Zostałabym odrzucona przez społeczność, a nie chcę tego, bo zostałabym sama. A ponieważ nie znam nikogo poza Libańczykami, w większości muzułmanami...

– Rozumiem. Pani nie pije?

Wlała zawartość butelki do szklanki, ale pijąc odwróciła się, tak że Harry Shulz nie zdołał zauważyć dołu jej twarzy. Zamierzał coś na ten temat powiedzieć, ale w ostatniej chwili wstrzymał się. Zamiast tego zapytał:

– Dlaczego spytała mnie pani, czy lubię tańczyć?

Nad kwefem brwi młodej kobiety zmarszczyły się.

– Może moglibyśmy pójść do jakiegoś lokalu?

– Jadła pani już obiad?

– Rzadko jadam obiady, ze względu na linię. Wczorajszy wieczór stanowił wyjątek.

– Dlaczego chce pani pójść potańczyć?

– Po pierwsze, kocham tańczyć. To wchodzi w skład tego, co nazywam wyzwoleniem kobiety. A poza tym za każdym razem, gdy tam szłam, to zawsze z Libańczykami. Chciałabym zmienić partnera. Poznać coś innego. Nigdy nie miałam okazji tańczyć z Amerykaninem. Mimo że już od roku jestem w Nowym Jorku!

– Nie jest pani w stanie wydostać się z tego libańskiego otoczenia?

– Nie mogę przecież podrywać mężczyzn! Wydaje mi się, że nie zdołałabym uczynić pierwszych kroków. *Nie jestem wyzwolona do tego stopnia!* Z panem to wygląda inaczej, bo spotkaliśmy się wczoraj wieczorem w *Galatei*, a następnie przydarzyła się panu ta okropna historia, o mały włos nie został pan zabity! Wstęp był łatwy...

– Osobiście jeszcze nie jadłem obiadu.

– Niech pan zatem wypróbuje restaurację hotelową. Jest znakomita, sprawdziłam ją podczas moich lunchów. Kuchnia francuska. Widziałam, że pił pan wczoraj wieczorem wino tureckie. Nie ma porównania z tutejszą piwnicą.

– Pójdzie pani ze mną?

– Pójdę na górę do pokoju. Mam do wysłania kilka pilnych listów do Bejrutu. Powiedzmy, że spotkamy się tutaj za dwie godziny? Dobrze?

Harry Shulz skinął potwierdzająco głową. Za zastonką usłyszał lekkie chrząknięcie.

– Wie pan – dodała cichszym głosem – w dziedzinie seksu jestem wyzwolona i nie zachowuję żadnej zastony... Być może będzie pan miał okazję to sprawdzić, gdyż taniec i otaczająca go atmosfera strasznie mnie podniecają... Nie panuję już wtedy nad moim ciałem...

– Nie zachowuje pani żadnej zastony, nawet na twarzy?

– *Żadnej* zastony, Jake.

Wstała, lekko pomachała ręką i zniknęła w tłumie nowoprzybyłych, szukających wolnego stolika. Na stoliku szklanka z coca-colą była w trzech czwartych pełna. Zaintrygowany Harry Shulz skończył swego podwójnego scotcha i przywołał kelnerkę, aby zapłacić za oba napoje. Jego umysł funkcjonował na pełnych obrotach. Wstał od stolika i skierował się do restauracji hotelowej, gdzie istotnie jedzenie okazało się wyśmienite. Uzupełnił je

połową butelki Clos-Vougeot i jakość wina także przyjemnie go zaskoczyła. Nie spieszył się. Dwie godziny, to czas w pełni wystarczający, aby spokojnie zjeść obiad smakując każdy kęs i każdy łyk Clos-Vougeot. Dwaście minut przed wyznaczoną godziną był z powrotem w miejscu spotkania. Lecz żaden stolik nie był wolny i musiał usiąść przy barze tuż przy drzwiach wejściowych, aby nie przegapić przyjścia Mouny. O umówionej porze pojawiła się. Przebrała się, oczywiście oprócz chustki i zasłony, które pozostały na miejscu. Miała na sobie czarną bluzę rockersów ze skośnymi kieszeniami i ciemnogrnatowe obcisłe spodnie, których dół wchodził w te same botki z szarego zamszu. Przy takim ubiorze chustka i kwef sprawiały bardzo ekscentryczne wrażenie. Niewątpliwie odniesie sukces w jednym ze swych ulubionych lokali, pomyślał Harry Shulz. Wokół niego przyglądano się zresztą Mounie z ironiczną ciekawością.

- Proponuję *Oubliette* – rzuciła swym gardłowym głosem.
- Niech będzie *Oubliette* – zgodził się Harry Shulz przed wychyleniem reszty z drugiej podwójnej szklanki Williama Lawsons, którą zamówił tego wieczoru, i przed zapaleniem pall malla, co natychmiast natchnęło go pomysłem nowej pułapki.

Wyciągnął paczkę papierosów.

- Pani pali?
- Nie z tą zasłoną.

Nic z tego, pomyślał. Uregulował rachunek i pociągnął młodą kobietę za sobą.

Oubliette przedstawiała archetyp nowojorskiego lokalu. Oświetlenie psychodeliczne, dużo ludzi i mało miejsca. Parkiet co najwyżej umożliwiłby postawienie swych płóz helikopterowi. Szczodry napiwek spowodował, że Harry'emu Shulzowi i Mounie przydzielono kącik dyskretny i tak ciemny, jak Południowy Bronx nocą. Za to estrada, z zespołem Patti Brown, oświetlona była rześścicie. Patti była wiotką blondynką o wspaniałym ciele opiętym obcisłym niebieskim kostiumem opinającym biust i jedno z ud. Drugie było odkryte. Czarne wysokie buty dochodziły do kolan i nawet je nieco przekraczały. Jedna z gitarzystek ubrana była w granatowy, bardzo klasyczny smoking, z muszką, podczas gdy jej koleżanka nosiła mundur paryskiego policjanta z kepi i białą pałką. Przy pianinie stała okrągłutka dziewczyna owinięta w sari, a przy basetli wspaniała Murzynka mająca za cały ubiór żółto-cytrynowe figi kąpielowe z trójkątem tak malutkim, jak

krakers imbirowy w koktajlu na pięćset osób. Sutki jej pełnych, twardych piersi muskały struny instrumentu i Harry Shulz przez chwilę zastanawiał się, czy ten nieoczekiwany dodatek nie włącza się niekiedy do programu wywołując fałszywe akordy. Na perkusji wyżywała się płomienskie ruda dziewczyna w stroju leoparda. Najwyraźniej perkusja stanowiła całe jej życie. Była tam jeszcze saksofonistka w jednocześnie kostiumie kąpielowym ze skośnym napisem *Miss America*, a przy instrumentach perkusyjnych dwie dziewczyny przebrane, jedna za Mandrake'a, a druga za Robin Hooda.

Kolejny utwór wybrzmiał właśnie, ale Patti Brown nie odłożyła mikrofonu. Głosem bez śladu zadyszki wyszeptała z chrapliwym akcentem:

– W hołdzie tym, którzy sprawili, że jesteśmy tu dziś wieczorem, oto *Elvis Presley i Mick Jagger Rythm an'Blues Rock an'Roll*. Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden!...Goooo!...

Zagrzmiało ostro z kolumn i Mouna przysunęła się całkiem do Harry'ego Shulza, którego nozdrza wypełniły ciężkie wschodnie perfumy z wizjami pól naftowych, haremów i zakwefionych kobiet.

– Podoba się panu?

– Ten rock jest bardziej energiczny, bardziej wyrazisty, bardziej elektryzujący, niż *old wave*.

– Całkiem słusznie.

Zwrócił uwagę, że ona podryguje w miejscu.

– Może byśmy poszli trochę potańczyć na parkiecie? – zasugerowała.

Nie okazał entuzjazmu. Próbował się wykręcić:

– Jest już strasznie zatłoczony.

– Czyż nie przyszliśmy tu potańczyć? – zaprotestowała. – A przy tym proszę nie zapominać, że taniec mnie wyzwala i sprawia, że chcę się kochać...

Należało grać aż do końca, przekonywał sam siebie, rad nie rad. Odewał się od fotela z czarnej skóry.

– Chodźmy.

Na parkiecie było bardzo ciasno. O mały włos, a trzeba by ciosami noża wywalczyć kilkanaście centymetrów kwadratowych śliskiej podłogi. Ale Mounie i jemu udało się jednak wcisnąć między tańczące pary. Gdy utwór się skończył, Mouna zasugerowała:

– Lepiej pozostać na parkiecie. Mieliśmy kłopot z wywalczeniem naszego miejsca pod słońcem. Bez sensu byłoby znów się bić o nie...

Harry Shulz rozejrzał się wokoło. Rzeczywiście inne pary nie zamierzały opuszczać terytorium wywalczonego z takim trudem. Zresztą Patti Brown nie porzuciła mikrofonu i mówiła teraz:

– Moje robaczki, to było po to, żeby was rozkręcić. Ale czuję, że dzisiejszego wieczoru potrzebujecie ruchu, czegoś, co mocno was zmęczy. Nie pomyliliście się przychodząc tutaj. Jesteśmy wasze, historycznie wasze, wszystkie jak tu stoimy, na estradzie. I taki jest też tytuł kolejnego utworu. Ja napisałam słowa, a muzykę... Hej, widzicie przy pianinie tę dziewczynę owiniętą w sari? To jest Deborah i to ona skomponowała muzykę. Nie bądźcie skąpi, panie i panowie, brawa dla Deborah!

Zabrzmiały oklaski, a po chwili muzyka zagrzmiała znowu. Harry Shulz czuł się trochę zadyszany. Brak treningu, stwierdził w duchu. Od pewnego czasu ten siedzący tryb życia... Trzeba będzie wrócić do starych zwyczajów... Dwie godziny pływania dziennie... Trochę nart... Na północy stanu Nowy Jork lub w Vermoncie... I ma przecież swojego domowego trenera, który musiał chyba przyrdzewieć od czasu, jak go porzucił... Niezbyt kolorowo wygląda to wszystko... Dobre jedzenie, alkohol plus papierosy... Ostrożniej, panie Shulz... Na elektrokardiogramie nic groźnego, ale... I proszę uważać na zasłonięte muzulmanki, które porywają pana na parkiet taneczny w rytmie rozhukanego rocka new wave!... Jasne, to wywołuje poty, to eliminuje wszelkie niepożądane tłuszcze, to oczyszcza krew, ale co z oddechem, dobry Boże?

Patti Brown nieświadomie uratowała Harry'ego Shulza:

– Moje kózki, a teraz wszyscy muszą trochę odpocząć, wy na parkiecie i my na estradzie. Trochę retro, aby wsączyć w serca nostalgię. Pamiętacie jeszcze chyba starego dobrego Binga Crosby'ego i jego wychodzący z głębi gardła głos śpiewający *It's been a long long time...* – zanuciła i od razu pociągnęła w rytm odzywających się instrumentów: – *Kiss me once and kiss me twice and kiss me once again, it's been a long long time...*

– Wolny – szepnęła Mouna – będzie pan mógł odpocząć. Zauważyłam, że już ledwo pan wytrzymuje...

Objął ją, mając wrażenie, że wychodzi z sauny. Za to młoda kobieta wydawała się tak świeża, jak róża zerwana w jasny wiosenny poranek.

– Sądzi pani, że oni słyszeli coś o klimatyzacji? – zapytał ironicznie.
– Ależ lokal jest klimatyzowany! – zaprotestowała. – To jest napisane na drzwiach wejściowych.
– Musieli ją wyłączyć, aby oszczędzić na wydatkach na energię, to obecnie jest bardzo modne.

– A może to, że zbyt mocno się przytulam, panu przeszkadza... – podsunęła z udawanym oburzeniem w głosie.

– To na pewno nie, ale tu jest naprawdę zbyt duszno dla mnie.

Zagruchała mu w ucho:

– Proszę pamiętać o obietnicy, którą dałam panu w barze *Americana*...

– To nie była obietnica – skontrolował – a tylko zwykłe niedomówienie.

– Obietnica w formie niedomówienia, jeśli pan woli.

– I zawsze dotrzymuje pani obietnic? – Harry'emu spodobało się to przekomarzanie.

– Sam się pan o tym przekona, gdy będę znużona tańcem...

Patti Brown nie ograniczyła się do *It's been a long long time*, wskrzeszając całą serię sukcesów Binga Crosby'ego:

– *A rose must remain With the sun, with the rain*

*Or it's lovely promise won't come true *

To each his own...

Nagle Harry'emu Shulzowi wydało się, że śni. A przecież...

Powracała mu w pamięci identyczna scena w kabarecie w Hong Kongu, wieki temu... Chinka była wspaniała. Miała na sobie gruby żakiet pod pretekstem chłodu w lokalu. Faktycznie ktoś miał ciężką rękę, przykręcając klimatyzatory. Był co prawda sierpień i w Hong Kongu można było zdechnąć z gorąca, ale mimo wszystko! Inne dziewczyny na tanecznym parkiecie doskonale wytrzymywały rzeczywiście niską temperaturę. Wszystkie nosiły na sobie jedynie tradycyjną obcisłą chińską suknię, z kołnierzykiem-stójką i głębokim rozcięciem z boku. Na ich gładkiej skórze nie pojawiała się gęsia skórka. A jednak Mai-Ling miała na sobie ten gruby brązowy żakiet...

– *What good is a song*

If the words just don't belong?

And a dream must be a dream for two.

To each his own... – śpiewała dalej Patti Brown niewzruszenie, podtrzymywana *moderato* przez saksofonistkę.

Harry Shulz przycisnął Mounę nieco mocniej. Nie mylił się. W prawej skośnej kieszeni bluzy rockersa... Wykonał jeszcze kilka kroków, po czym nagle odsunął się i jego lewa ręka zanurkowała do środka prawej kieszeni jej bluzy. Palce dotknęły letniego metalu, złapały go i wyciągnęły. Model Hi-Standard Sentinel Snub Nose, kaliber 0.22 Long Rifle w wersji niklowanej.

– *Mexicali Rose, stop crying,*

I'll come back to you some sunny day

Every night you know...

Harry Shulz uniósł broń do góry. Mouna kopnęła go gwałtownie w piszczel. Poczul ból i byłby pewnie upadł, gdyby nie otaczał ich zbity tłum. Jeden z sąsiadów, wielki Murzyn, chciał rozbroić Harry'ego Shulza, ale gest jego obu rąk był tak niezdarny, że jednocześnie uniósł się cyngiel i nacisnął spust. Rozległ się strzał, pocisk uderzył w jeden z cymbałów, wywołując akompaniament rytmiczny nie przewidziany w orkiestracji. Patti Brown podskoczyła, rzuciła rozniewany wzrok na tańczący tłum, lecz flegmatycznie kontynuowała:

– *I'll walk alone*

Because to tell you the truth I'll be lonely...

Detonacja przestraszyła pary otaczające Harry'ego Shulza i Mounę. Nastąpiła kotłowanina, Mouna została porwana przez prąd tancerzy nagle objętych paniką. Hi-Standard upadł na podłogę. Wielki Murzyn usiłował schwytać wpół Harry'ego Shulza. Ten udał, że się poddaje, ale trzymał się sztywno, nie poddając się wstrząsom, które przenosiły na jego ciało ruchy przyływu i odpływu szalejącego tłumu. Murzyn był doń przyklejony. Zdołał go uchwycić. Jego twarz oblał uśmiech zwycięzcy. Głowa Harry'ego Shulza odchyliła się do tyłu, a następnie z wielką siłą powróciła do przodu i uderzyła przeciwnika w nasadę nosa. Z oszałamiającą szybkością powtórzył to dwukrotnie i Murzyn osunął się u jego stóp. Jego partnerka, dotąd obserwująca tę scenę i klaszcząca z zachwytem, nagle rzuciła się na Harry'ego Shulza z wyciągniętymi pazurami. Uderzył ją w podbródek wierzchem lewej ręki i dołączyła do swego partnera leżącego na deskach parkietu. Harry Shulz zanurkował w szalejący tłum, aby spróbować złapać Mounę. Na estradzie Patti Brown z godnym pochwałą wyczuciem sytuacji zaczęła amerykańską wersję *Rififi* przekształconą w rozhukanego rocka wybijanego przez gitary, perkusję i instrumenty perkusyjne, które

nabrały tempa. Hałas był piekielny, ogłuszający, przygniatał nawet głos Patti Brown, która starała się wyciągnąć jak najwyżej. Nie bez kłopotu Harry'emu Shulzowi udało się wydostać z ludzkiej magmy. Rzucił kelnerowi banknot dwudziestodolarowy za konsumpcję i skorzystał z tego, aby zapytać:

– Zauważył pan chyba kobietę z zasłoną na dolnej części twarzy i chustką na głowie?

– Wyszła dwie minuty temu.

Harry Shulz wyskoczył na zewnątrz. Na końcu ulicy zobaczył, jak Mouna wsiada do taksówki, która odjechała z piskiem. Wtedy sam pobiegł do miejsca, gdzie zaparkował Cordobę, i potem prowadząc ją pojechał w kierunku *Americana*. Urzędowy uśmiech recepcjonisty stał się bardziej przyjacielski i dobroduszny, gdy ujrzał, że w palcach Harry'ego Shulza pojawia się banknot pięćdziesięciodolarowy.

– Pokój, proszę pana?

– Informacja. Od której pan tu jest?

– Od szesnastu godzin. Kończę o północy.

– Kobieta z zasłoną zakrywającą dół twarzy, z chustką na włosach, przypomina pan sobie?

Wzrok recepcjonisty załśnił frywolnie.

– Wydawała się ładna. Szkoda, że ta zasłona... – rzucił, ale szybko przypomniawszy sobie, że wykracza poza obowiązki zapytał: – Interesuje pana ta osoba?

– Tak.

– Wynajęła u nas pokój.

– Kiedy?

– Około dziewiętnastej trzydzieści, dzisiaj.

Harry Shulz zastanowił się. To było w czasie, gdy Mouna, czy jak tam naprawdę miała na imię, pożegnała go w barze *Americana* pod pretekstem, że musi wysłać pilne listy do Bejrutu. Co oznaczało, że kłamała i nie mieszkała wcześniej w tym hotelu. Pozostawiwszy go w barze, szybko wynajęła pokój w hotelu, aby uwiarygodnić, to co mówiła, gdyby chciał ją sprawdzić.

– Miała jakieś bagaże?

– Nie wydaje mi się.

– Który pokój?

– 509.

Harry Shulz rzucił okiem na przegrody. Klucz od pokoju 509 wisiał na miejscu. Dołożył drugi banknot pięćdziesięciodolarowy.

– Macie tu chyba jakieś wytrychy, co? I chyba nic by się nie stało, gdyby jeden taki zniknął, nie sądzi pan? – Przesunął oba banknoty przez kontuar. – A może założymy się o to? Proszę mi powiedzieć, czy przegrałem?

– Przegrał pan. – Recepcjonista zgarnął obydwa banknoty i wsunął w dłoń Harry'ego Shulza długi, zaostzony przedmiot. – Proszę nie pozostawać tam zbyt długo – zaznaczył. – I wracając proszę pamiętać, żeby mi go oddać, gdy nie będzie już panu potrzebny...

Zapach ciężkich, orientalnych perfum, jakie owiewały Harry'ego Shulza tak obficie przez cały wieczór w *Oubliette*, unosił się w powietrzu pokoju 509. Łóżko było zasłane, nigdzie żadnego bagażu. Z pewnością używano jednak łazienki. Kilka kropli wody pobłyskiwało w umywalce. W koszu leżały poplamione chusteczki higieniczne, zwinięte w kulkę. Jeden z ręczników hotelowych, a także myjka, były jeszcze wilgotne. Zwyczajowo kładzione w hotelach tej kategorii: mydełko, torebki odświeżające, pasta do zębów, pianka do golenia, jednorazowa maszynka do golenia i szczotka do zębów pozostały nietknięte.

Harry Shulz wysypał na podłogę zawartość kosza. Odsunął jedną po drugiej brudne chusteczki. Nie znalazł nic poza pustym karnecikiem po zapalniczkach. Był koloru zielonego, a na jego wierzchu można było odczytać:

*SAM WYBIERZ SOBIE TEN FRAGMENT ŻYCIA
JAKI CHCESZ PRZEŻYĆ
U MIKE'A ERIKSONA
Na plaży. U.S. Highway 90
Biloxi, Mississippi.*

Na odwrocie zapewniano o całkowitym spokoju w okolicach Zatoki Meksykańskiej. Harry Shulz włożył kartonik do kieszeni. Na nic innego nie trafił. Zszedł na dół, oddał wytrych i poprosił recepcjonistę o przywołanie mu taksówki. Gdy zjawiła się, kazał kierowcy zrobić objazd miasta aż do czasu jego zjazdu do zajezdni. Tam powtórzył swój pomysł z poprzedniego dnia wsiadając do taksówki, której kierowca zaczynał pracę. Kazał się zawieźć na Pennsylvania Station, tam wziął inną taksówkę, na Flatbush Avenue na Brooklynie, potem przesiadał się jeszcze dwa razy, aż dotarł do kolejnej ze swych met, na Sherman Avenue, dwa kroki od Fort Tryon

Park i Cloisters. Postanowił porzucić mieszkanie na Barrow Street, zostawić Cordobę i zmienić nazwisko. Teraz nazywał się Peter Yale. Na nowej mecie oczekiwały go wszystkie niezbędne dokumenty dotyczące tej nowej osobowości. Coraz mniej jednak podobało mu się bycie zwierzyną, zamiast zwyczajowym myśliwym.

ROZDZIAŁ XIII

Obie siostry Wood patrzyły na niego bez cienia niepewności czy zmieszania.

– Jeśli ktoś próbował pana zabić, to my nie mamy z tym nic wspólnego, ani Karen, ani ja – mówiła Sharon spokojnym głosem. – Gdyby któraś z nas była w stanie zastrzelić kogoś, same byśmy wykonały tę robotę i uniknęły płacenia profesjonalście pięciuset tysięcy dolarów!

– Czy przypominacie sobie, co mówiłem wam podczas naszego ostatniego spotkania o teorii domina?

– Jeśli jeden kamień pada, pozostałe padają za nim – odpowiedziała Karen.

– Właśnie. Taka mogła być i wasza reakcja. Dlaczego nie pozbyć się jednego profesjonalisty za pomocą innego profesjonalisty?

– Ale my nie znamy pana nazwiska, miejsca, gdzie pan mieszka – odparła Sharon. – Znamy jedynie twarz. Jak to się daje powiązać z pańskimi insynuacjami?

– Mogłyście mnie śledzić w bardziej sprytny sposób, niż sądziłem... Karen potrząsnęła głową.

– Wymyśla pan chyba jakiś scenariusz dla telewizji...

W duchu Harry Shulz też był przekonany, że zmierza fałszywym tropem podejrzewając obie siostry, ale mimo wszystko chciał się upewnić co do tego. W ostatnim momencie zmienił podejście. Odrzucił subtelności, delikatność, psychologię, które zamierzał zastosować pierwotnie. Lepsza będzie brutalność. Tak właśnie prowadził dialog z obiema siostrami, ale one nie okazywały zmieszania. Czyżby tak dobrze kryły swą grę? Trudno powiedzieć. Może były tak dobrymi aktorkami, jak ta zmarła czwórka z Hollywood: Ken Reilly, Mary Jo Dunes, Garry Gordon i ostatnio Vince Rodd?

– A co sądzicie o tych zgonach aktorów z Hollywood, o tej czwórce, z

których każde mniej lub bardziej pracowało dla Centennial?

Karen uniosła ręce na wysokość twarzy.

– Ken Reilly był moim ulubieńcem.

– A moim Vince Rodd – dodała jej siostra.

– Ale ta Mary Jo Dunes to zwyczajna snobka!

– Masz rację, Karen. Pamiętasz, jak ją oglądałyśmy w *Bezludnej wyspie*?

– Żałosna.

– Wyglądała, jak Kleopatra otoczona tłumem galerników.

– Grała jakby spadła z księżycy.

Harry Shulz przerwał tę wymianę opinii.

– To zabawne, czworo aktorów, którzy pracowali dla Centennial, daje się zgładzić, tak jak Blumfeld, poprzednio wielki arcykapłan C.P.C., nieprawdaż?

– Myśmy miały swój żal do Blumfelda, nie do aktorów Centennial – zauważyła Karen cierpko. – Kena Reilly'ego i Vince'a Rodda uwielbiałyśmy. W każdym razie żadne z tej czwórki aktorów, nawet ta nieznośna Mary Jo Dunes, nie było odpowiedzialne za to, co stało się z małymi akcjonariuszami C.P.C, po wielkim oszustwie w wykonaniu Blumfelda.

– My mamy pretensje do odpowiedzialnych, nie do niewinnych – włączyła się jej siostra. – I dotyczy to także pana. Dla nas jest pan czysty, nawet jeśli wziął pan za to pieniądze. Pomógł nam pan w wymierzeniu sprawiedliwości.

– Zgodnie z teoriami rewolucyjnymi nie ma niewinnych. Każda istota na Ziemi stanowi albo część problemu, albo jego rozwiązania...

– Nie jesteśmy rewolucjonistkami, *Błękitna Dalio*, i nie zgadzamy się z tymi teoriami! – oburzyła się Karen.

Harry Shulz zdał sobie sprawę, że ta dyskusja do niczego nie prowadzi. Pozostawała mu tylko ewentualna groźba dla zażegnania niebezpieczeństwa w przypadku, gdyby miało ono pochodzić od siostr Wood, w co nie wierzył.

– Porozmawiajmy o Organizacji, do której zwróciłyście się – zaproponował. – Ona chroni swych członków. Mam z nią umowę i oni wiedzą już o wszystkim. Gdyby zdarzyło mi się coś nieprzyjemnego, weźmie i was pod uwagę. A Organizacja reguluje swoje rachunki tak, jak ja uregulowałem wasz z Blumfeldem.

– Zapewniam pana, że nie mamy nic wspólnego z tą historią! – zaprotestowała ostro Sharon.

– Ja tylko was ostrzegłem.

Oczywiście Harry Shulz wcale nie kontaktował się z Organizacją Tra-ków. To był jego osobisty problem, który musiał sam rozwiązać. Dokąd zdąża świat, jeśli amatorzy zaczynają napadać na profesjonalistów? Dokąd to wszystko zmierza, gdy trójkąty przekształcają się w prostokąty, gdy wprowadza się w życie kwadraturę koła, gdy burzy się zamki na lodzie, aby je odbudowywać nad egzosferą w przestrzeni międzyplanetarnej, gdy umieszcza się wapniaków na szczycie elity! To świat wywrócony do góry nogami! Harry Shulz nienawidził takich sytuacji. Lubił, żeby mysz była w mysiej dziurze, a nie w dzieży do wyrabiania chleba. Rozmawiając z siostrami Wood starał się odsunąć niebezpieczeństwo, tak jak przy układaniu puzzla, gdy nie wiadomo, gdzie umieścić romb o powycinanych brzegach, i lepiej odłożyć go na bok na później, kiedy obrazek będzie wyraźniejszy.

Pożegnał siostry i ruszył przed siebie. Tym razem uważnie sprawdził, czy nikt go nie śledzi. Wypożyczony wóz zwrócił do Hertza na lotnisku La Guardia. Wynajął prywatny helikopter, który wysadził go na brzegu rzeki Hudson, trzysta metrów od więzienia Osining, bardziej znanego jako Sing-Sing. Stamtąd ruszył krętą ścieżką, kończącą się w czarnej dzielnicy miasta Osining gdzie zapytał o przystanek autobusowy Greyhound. Dotarł do niego, jak się okazało, dwadzieścia minut przed ustalonym czasem. Zdążył jeszcze zjeść coś lekkiego w pobliskim barze. Gdy pojawił się autobus, wsiadł do niego i tak dostał się na dworzec autobusowy w Poughkeepsie. Stamtąd przeszedł się kilkoma ulicami, aż wreszcie wybrał samotny dom, w którym otwarte były skrzydła garażu. Była to dzielnica typowo mieszkaniowa i ludzie tutaj nie musieli raczej przejmować się kradzieżami samochodów. Dla wygody pozostawiali nawet kluczyki w stacyjce. Przyzwyczajenie i lenistwo.

Zachodzące słońce odbijało się na białych ścianach domu, a trawnik był niedawno strzyżony. Wiatr potrząsał sznurami huśtawki. Plastikowe zabawki o żywych barwach były porozrzucane na zieleni murawy. Klematisy wspinały się wesoło na fasadę domu. Wokół nie kręcił się nikt. Żadna bariarka nie chroniła trawnika, a brama wjazdowa była otwarta.

Harry Shulz szybko znalazł się w garażu. Kluczyki zwisały pod kierownicą. Uruchomił wóz. Silnik zamruczał. Żadnej reakcji w domu. Zwolnił

hamulec ręczny, włączył tylny bieg i wolno cofnął auto aż do ulicy. Nie lubił kraść, ale tym razem okoliczności zmuszały go do tego. W każdym razie nie była to kradzież, lecz pożyczka.

Na drodze szybko zorientował się w położeniu i skierował na południowy wschód, do granicy stanu Connecticut. Swą długą podróż zakończył w Bridgeport. Noc dawno już zapadła. Wsunął studolarowy banknot do schowka na rękawiczki i zostawił samochód na pustej ulicy, zapamiętując numer telefonu właścicieli, widniejący na przymocowanej do tablicy rozdzielczej miedzianej tabliczce. Sprawdził, że ma w kieszeni drobne i zamknął się w budce telefonicznej. Gdy usłyszał głos właściciela samochodu, poinformował go w krótkich i zwięzłych słowach o miejscu, w którym pozostawił wóz, odwiesił słuchawkę i ruszył do pobliskiego portu.

W *Moby Dicku*, obskurnym barze, oczekiwali go Flip Przemysłownik. Miał on co najmniej osiemdziesiąt lat i był rozbitkiem z czasów prohibicji, gdy Rumowa Droga kwitła, a szybkie kutry, wypełnione po brzegi ładunkiem alkoholu, pływały tam i z powrotem między brzegiem a frachtowcami zakotwiczonymi poza granicą wód terytorialnych. W tamtych czasach Flip zakosztował smaku kontrabandy, i potem poświęcił temu resztę swego życia. Teraz jego szybki kuter pływał tam i z powrotem od brzegu do panamskich, greckich lub liberyjskich frachtowców przywożących cygara *hechos a la mano* od Fidela Castro. Był to wysoki, suchy mężczyzna, o siwej, wciąż gęstej czuprynie, twarzy pokrytej zmarszczkami, spalonej bryzą i słońcem, sylwetce potężnej i sękatą, nie tracący czasu na zbędne słowa.

- Wypijamy i splywamy – rzucił, robiąc jednocześnie naglący ruch kciukiem w kierunku barmana.
- O której będziemy w Wilmington? – zapytał Harry Shulz.
- Sporo przed świtem.
- Więc ja przeczekam pod pokładem, aż będzie dzień.
- Możesz tam się czuć jak u siebie, Harry. Ale ja muszę odpłynąć wcześniej, bo mam do załadowania towar w Stamford. To dobry klient.
- Pracujesz w eksporcie? Myślałem, że ograniczasz się do rynku wewnętrznego...
- Spluwy do Afryki. Ci faceci zawsze są potrzebowni.
- Uważaj, w twoim wieku nie gra się już w rosyjską ruletkę...
- Czy ja wyglądam na takiego, który idzie na emeryturę? A tak w ogóle to kto mi będzie wypłacał tę emeryturę? Faceci, dla których kiedyś

pracowałem? Wszyscy nie żyją, zaczynając od Lucky'ego, Frankiego i reszty.

– Tylko ty jeden pozostałeś ze wspaniałej epoki Rumowej Drogi i papierosów Virginia...

– Niestety, kolego. I dlatego jestem nie do ruszenia. Ci handlarze giberami potrzebują mnie żywego. No, kończ i spływamy.

* * *

*Give me your tired, your poor
Your huddled masses yearning to breathe free,
The wretched refuse of your teeming shore.
Send these, the homeless, tempest-tossed to me:
I lift my lamp beside the golden door*.*

** Dajcież mi waszych zmęczonych, waszych biedaków,*

Wasze zgromadzone tłumy tęskniące, by odetchnąć wolnością,

Smętne odpadki waszych urodzajnych brzegów.

Wyślijcie ich do mnie, tych bezdomnych, tych, których burze odrzuciły,

Stawiam moją lampę tuż obok Złotych Drzwi.

Harry Shulz rozpoznał słowa. Był to ten sam tekst, jaki wyryto na cokole Statuy Wolności w Zatoce Nowojorskiej. Słowa, które zasiały nadzieję w sercach milionów emigrantów.

Te pięć linijek tekstu wyróżniało się czarnymi literami na żółtym tle gigantycznej drewnianej tablicy wzniesionej na kolumnie w kształcie greckiej amfory przed wjazdem do parku nazwanego *U Mike'a Eriksona*. Napis ten powtórzono i na drugiej tablicy bliźniaczej kolumny po drugiej stronie bariery – olbrzymiej białej bariery ze sztachetami o artystycznych zawijasach, która zagradzała wjazd. Budynek o barwie jasnej ochry służył jako schronienie dla strażnika w ciemnoszarym mundurze. Dalej za barierą i obiema kolumnami w kształcie amfory wznosił się łuk triumfalny, na którym napis głosił: *SAM WYBIERZ SOBIE TEN FRAGMENT ŻYCIA JAKI CHCESZ PRZEŻYĆ* Harry Shulz podszedł i zapukał w szybę budynku o barwie jasnej ochry. Strażnik przesunął klapę okienka: – Słucham pana?

– Chciałbym się widzieć z Mikem Eriksonem.

– W jakiej sprawie?

– Jestem ewentualnym klientem.

– Pana nazwisko?

– Peter Yale.

– Chwileczkę. – Strażnik podniósł słuchawkę telefonu, powiedział coś do niej i po chwili poinformował: – Asystentka przyjedzie pana zabrać.

Jego wzrok przeniósł się na forda Pinto, którego Harry Shulz wynajął w Nowym Orleanie.

– Podniosę barierę – powiedział. – Może pan zostawić swój wóz na naszym parkingu.

Harry Shulz przytaknął i zrobił, jak mu poradzono. Asystentką okazała się wspaniała brunetka ubrana w szorty i bluzeczkę, pozwalające ukazać znaczne obszary pięknie opalanej skóry. Na bluzeczce, wypchnięta do przodu przez dumną pierś wielka plakietka informowała: *Helen McMara, asystentka Mike'a Eriksona*. Przyjechała białym odkrytym landroverem.

– Proszę wsiadać, panie Yale – zaprosiła.

Harry Shulz wsiadł.

– Dokąd jedziemy? – zapytał.

– Biuro pana Eriksona jest dość daleko od bramy wjazdowej. Zresztą nasz cały obszar na plaży zajmuje sześć kilometrów kwadratowych.

Ruszyła krętą wyasfaltowaną dróżką. Harry Shulz spoglądał na ciąg budynków pomalowanych w różne barwy i usytuowanych w pewnych odstępach od siebie. Droga położona była w odległości około dwustu metrów od brzegu, dalej widać było rozświetlone słońcem wody Zatoki Meksykańskiej. Nagle skręcili w lewo i oddalili się od plaży. Teraz przed nimi był lasek magnolii. Harry Shulz nie zdziwił się, ponieważ znajdował się w stanie Mississippi*. Niebawem landrover zatrzymał się przed czymś, co wydawało się być kopią średniowiecznego zamku, rodem z Disneylandu. Dominującą barwę stanowił blade róż i miało się wrażenie, że chodziło o budowlę z cukru wybudowaną ku największej radości łakomych dzieciaków.

* Magnolia jest godłem stanu Mississippi.

– Jesteśmy na miejscu – poinformowała asystentka, wyłączając silnik i wyskakując z landrovera. – Proszę za mną, panie Yale.

Biuro Mike'a Eriksona udekorowane było w ekstrawagancki sposób. Można tam było napotkać obok siebie gobelin, konfesjonał, tomahawki szczepów indiańskich skrzyżowane na flagach Konfederacji z wojny secesyjnej przybitych do ścian, portret La Fayette'a pędzla nieznanego malarza, zdjęcia przedstawiające partyzantów Wietkongu uciekających pod salwami karabinów maszynowych z zielonooliwkowych helikopterów, Elvisa Presleya przyłapanego na żywo w trakcie koncertu z obowiązkową gitarą i

grzywką ciemnych włosów, Johna F. Kennedy'ego powalonego na oczach swej małżonki w odkrytej limuzynie w zamachu w Dallas, wypchane mały, wigwam czerwonoskórych, krzesło elektryczne ze swym wyposażeniem, gilotyńę i wiele jeszcze innych dziwacznych przedmiotów, którym Harry Shulz nie miał czasu się przyjrzeć. Biuro było tak obszerne jak mostek lotniskowca.

– Zechce pan spocząć, panie Yale.

Mike Erikson miał na sobie jaskrawo niebieskie spodnie i żółtą koszulę wystającą spod marynarki w czerwoną i zieloną kratę. Był mężczyzną wysokim, mocno zbudowanym, o twarzy opalanej i przebiegłej. Jego czarne oczy były żywe, inteligentne, szybkie i lekko złośliwe.

– Czym mogę panu służyć? – zapytał zdecydowanym głosem sugerującym, że czas to pieniądz i nie należy tracić go na głupstwa.

– Co pan rozumie przez to hasło: „Wybierz sobie ten fragment życia, jaki sam chcesz przeżyć?”

Mike Erikson pozwolił sobie na długi chichot.

– Kiedyś sprzedawałem używane samochody. Nudziłem się. Ciągłe te same gadki, te same idiotyzmy. Chciałem zmienić życie. Pewnego dnia stwierdziłem, że chyba sporo moich współobywateli marzy o tym samym. Ale taka zmiana nie zawsze daje się zrealizować. Za to, jeśli się dysponuje odpowiednimi środkami, można co najmniej raz w życiu zrealizować jakieś marzenie, które nas dręczy. Oczywiście, każdy ma jakieś swoje marzenie. I przyjąłem, że w tej materii jest coś jeszcze do zrobienia. Wziąłem byka za rogi i zorganizowałem firmę.

– Jakie więc marzenia pan urzeczywistnia?

– Dowolne. Zgodne z życzeniami. To klient jest tu panem.

– Może pan podać jakieś przykłady?

– Jasne! Na przykład facet chce być sułtanem i mieć do swojej dyspozycji harem pełen hurys. Przychodzi do mnie i ma to. Tworzę mu taką inscenizację i facet spędza trzy cudowne dni w autentycznym otoczeniu. Widział pan wszystkie te budynki na krętej drodze prowadzącej tutaj?

– Owszem.

– To tam wszystko się dzieje. Dekoracje są tworzone w zależności od życzeń klienta. Taki facet spędził tu trzy cudowne dni i będzie je wspominał przez całe życie. Inne przykłady? Jakaś kobieta życzy sobie zostać ofiarą

gwałtu, jakiś facet chce uczestniczyć w napadzie na bank w towarzystwie innych gangsterów, jeszcze inny chce być ofiarą porwania i do tego maltretowaną potem. Są faceci, którzy chcą się poczuć w roli Iwanhoe'a czy Robin Hooda, Hitlera, skazańca w celi śmierci, prezydenta Stanów Zjednoczonych, króla piętnastowiecznej Anglii, niewolnika w antycznym Rzymie, galernika zagrzewanego do pracy biczem nadzorcy, czy ja wiem co jeszcze? Panie Yale, fantazje ludzkie są nieograniczone...

– I wszystkie zaspokajacie?

– Wszystkie. – Mike Erikson chrząknął i poprawił się: – Wszystkie oprócz jednej, jak dotychczas.

– A o co wtedy chodziło?

– Facet chciał wykonać akrobacje na trapezie na wysokości trzydziestu metrów, bez siatki ochronnej pod spodem. Musiałem odmówić. Akceptuję fantazje jedynie przy założeniu, że nie narażają one życia moich klientów.

– A w przypadku skazanych na śmierć? – skontrował Harry Shulz.

– Sadza się ich na krzesła elektrycznym lub pod gilotyną, ale oczywiście nie włącza się prądu ani nóż nie spada. Nikt nie prosił mnie jeszcze, aby w tych przypadkach posunąć się aż do końca. Moi klienci chcą przeżywać swe marzenia, ale nie chcą od nich ginąć.

– Zdrowy odruch. A honorarium? Zapewne nie jest małe...

– To zależy od stopnia trudności realizacji danego marzenia. Od dwóch do dwustu tysięcy dolarów. Najdroższe są dekoracje i inteligentni statyści. Gdy chce pan, na przykład, być Napoleonem dowodzącym pod Waterloo to trzeba zgromadzić statystów, zamówić wykonanie mundurów, zadbać o uprzęż dla koni, zgromadzić strzelby i armaty z tamtej epoki. To bardzo obciąża budżet.

– Rozumiem więc, że te honoraria odstraszą wielu...

– Powtarzam panu, to kwestia marzenia. W przeciwieństwie do tego, co opowiadałem przed chwilą, niech to będzie facet, który chciałby się brutalnie zemścić na kochanku swojej żony i nie może tego zrobić w rzeczywistości, bo jest tak cherlawy, że tamten zgniółby go jednym palcem. Przychodzi więc do mnie, a ja znajduję mu eksboksera wagi ciężkiej cierpiącego na brak gotówki. Zamykam ich obu w pustym pokoju i mój klient wyładowuje się na nim, a ten tylko umiejętnie się zasłania. Łącznie z kosztami szpitalnymi nie wyniesie to więcej niż dwa tysiące dolarów. To chyba

całkiem rozsądna cena, prawda? A teraz, skoro rozwiązałem już pańskie wątpliwości, przejdźmy do spraw poważnych: jakie jest pańskie marzenie, panie Yale?

– Brunetka z chustką na głowie i twarzą zakrytą jak muzulmanka, ale ubrana jak Amerykanka.

– To łatwe do zorganizowania. Pozostaje tylko jeden szczegół: co chce pan z nią zrobić? Podziwiać ją z oddali, z bliska czy przespać się z nią?

– Odnaleźć ją.

Brwi Mike'a Eriksona stały się niespokojne.

– Nie rozumiem.

– Ta osoba naprawdę istnieje. Przedstawia się jako Mouna. – Harry Shulz rzucił na biurko Eriksona kartonik z zapałkami odkryty w koszu w pokoju 509 hotelu *Americana*. – Czy to panu coś mówi?

– Rozdajemy ich tysiące. Mam pytanie, panie Yale. Czy jest pan pewien, że chce zostać jednym z moich klientów?

Harry Shulz uśmiechnął się z zażenowaniem.

– I tak, i nie, panie Erikson. Nie jako jednym z pańskich klientów, który chciałby urzeczywistnić swe marzenie. Za to, jeśli chodzi o wynagrodzenie pańskich usług za wszelką pomoc, której mógłby mi pan udzielić, odpowiedź jest pozytywna. Zresztą te honoraria wydają mi się całkiem rozsądne...

Mike Erikson westchnął i oparł się plecami o oparcie fotela przypominającego tron z unoszącymi się nad nim posrebrzonymi kwiatami lilii i pozłacaną koroną królewską.

– Nie jestem pewien, czy będę w stanie panu pomóc, panie Yale. Zupełnie nie wiem jak. Rozmawiam za każdym razem z potencjalnym klientem, tak jak z panem teraz, i mogę zapewnić, że nikt odpowiadający opisowi, jaki pan przedstawił, nie zjawił się w tym biurze.

– Od jak dawna pan działa?

– Dwa lata, ale gwarantuję panu, że pamiętam każdego z moich klientów, szczególnie kobiety, ponieważ niewątpliwie stanowią one wyraźną mniejszość w stosunku do mężczyzn. Być może wstyd...

– Zapewne zatrudnia pan liczny personel?

– Niewiele osób na pełny etat, ale rzeczywiście sporo osób pracuje dla mnie na zlecenie.

– Więc może wśród tego personelu...

– Pośród pracujących etatowo na pewno nie. Choć pański opis jest mało dokładny. Gdyby nie ta chustka i zasłona... Jeśli je zdjąć, to może być dowolna osoba, prawda?

– Prawda – przyznał Harry Shulz.

– I to jest problem. Ta chustka i zasłona mogą być zwykłym przebraniem.

– Mogą.

– A więc jest pan załatwiony. Przysłowiowa igła w stogu siana.

– A pośród osób na zlecenie? Wśród tych, których pan potrzebuje do odgrywania hurys w tych niby-haremach?

Mike Erikson wykrzywił się lekceważąco.

– Ja nie zajmuję się wyszukiwaniem takich osób, panie Yale. Mam od tego ludzi... – Jego tors powrócił do przodu i zderzył się z brzegiem biurka w stylu lat trzydziestych. Jego ton stał się ostry i nieco szorstki: – Ja jestem *businessmenem*. Za tysiąc dolarów mogę skierować pana do mojego asystenta zajmującego się tymi sprawami. Za ten tysiąc może uda się panu odkryć to, czego pan szuka... Bierze pan czy nie? Proszę się szybko zdecydować.

– Biorę – szybko odparł Harry Shulz.

Wyjął banknoty i odliczył je. Zawsze należało mieć przy sobie co najmniej dziesięć tysięcy dolarów. Poniżej tej kwoty człowiek czuł się nagi.

Mike Erikson złapał banknoty i wstał.

– Proszę za mną.

Asystent wyszukujący pracowników na zlecenie był grubym, wysokim mężczyzną o czerwonej twarzy i lubieżnych oczach.

– To Dan Rowell – przedstawił go Mike Erikson. – Dan, proszę pomóc panu Yale'owi w miarę naszych możliwości. To tyle ode mnie, panie Yale, resztę omówi pan tutaj...

I w pośpiechu opuścił biuro. Harry Shulz uśmiechnął się nieco naiwnie, aby zyskać sobie przychylność Dana Rowella. Ten ostatni zachęcił go z wyczuwalną nutką fałszu w głosie:

– Słucham pana, panie Yale.

Harry Shulz opisał wygląd kobiety, która w barze hotelu *Americana* przedstawiła się jako Mouna. Gdy skończył, Dan Rowell skrzywił się tylko.

– Nie mam pojęcia – przyznał.

– Czy nie może to być jedna z kobiet, które pan wynajmuje do ról hurys w waszych haremach?

– Prawdę mówiąc, nie sędzę. Nie mam pewności ze względu na tę chustkę i zasłonę... Wszystkie dziewczyny, które angażowałem, przedstawiały mi się z odkrytą twarzą.

– Duże czarne oczy o wykroju migdałowym, włosy także ciemne – nie ustępował Harry Shulz.

Dan Rowell wzruszył ramionami.

– Naprawdę, nie mam pojęcia. Opis nie odpowiada żadnej osobie, którą bym sobie przypominał.

– A imię Mouna, jeśli w ogóle było prawdziwe?

– Może znajduję coś w moich teczkach. Mam tam namiary na wszystkich, którzy dla nas pracowali, wraz z ich specjalnością...

Harry Shulz czekał cierpliwie, ale końcowy werdykt okazał się jednoznaczny:

– Nie ma żadnej Mouny w moich teczkach, panie Yale.

– A może ktoś z pańskiego personelu wiedziałby coś więcej?

– Więcej niż ja? Nie sędzę.

– Dużo wydajecie tych waszych kartoników z zapałkami?

– Jakiś tysiąc miesięcznie.

– Rozumiem.

Harry Shulz uznał tym samym, że ślad kończy się na niczym. Ślepy zaulek. Mur nie do przeskoczenia. Takie rzeczy się zdarzają. Nic nie można na to poradzić. Mike Erikson miał rację. To jak szukanie igły w stogu siana.

– Pańska historia z zasłoną na twarzy coś mi jednak przypomina – zaczęła nagle Dan Rowell.

Shulz poczuł jakby płomyk nadziei znów się zatlił.

– Co to było?

– Ale to nie była kobieta! To był facet.

– Tak?

– Zapropomował mi swoje usługi... Widzi pan, dla niektórych klientów organizujemy takie nibyskoki na banki z seriami ślepaków z pistoletów maszynowych i całym tym bum-bum... On się podejmował roli porywacza, twierdził, że był przedtem aktorem, że grał w Hollywood...

– Dawny aktor z Hollywood?

– Tak.

– I co dalej? – niecierpliwił się Harry Shulz.

– Ale stawiał jeden warunek... Że zjawi się tu tylko w pełnym rynsztunku...

- Co pan rozumie przez to w pełnym rynsztunku'?
- W kominiarce odstawiającej jedynie nozdrza i oczy. A te dodatkowo zasłonięte ciemnymi okularami.
- Gdyby pan nie zgodził się na ten warunek, nie zgadzał się pracować dla pana?
- Dokładnie tak.
- Czy nie sądzi pan, że w rzeczywistości był to ktoś, kto starał się tłumaczyć swoje fantazje jak normalny klient, a nie chcąc za to płacić, udawał, że jest gotów pracować dla was?
- W gruncie rzeczy to możliwe.
- I co z tego wyszło, skorzystaliście z jego usług?
- Tak, proszę poczekać... – Dan Rowell znów zajrzał do swoich teczek.
- Mam... William Corfield... Sześć jednodniowych kontraktów w krótkich odstępach... Trzydzieści dolarów dziennie... Jedyna specjalność: porwania.
- Kiedy to było?
- Ostatnim razem miesiąc temu.
- Ma pan jego współrzędne?
- Oczywiście. – Zerknął do teczki. – *Alamo Plaza Motel Court*, przy autostradzie Highway 90, tej przechodzącej obok nas, w Gulfport, kilka kilometrów stąd, dwa kroki od plaży.
- Nie ma pan innych informacji na jego temat?
- Nie.

Asystentka w białym landroverze odwiozła Harry'ego Shulza do bramy wejściowej, gdzie usiadł za kierownicą forda Pinto.

Gulfport istotnie położony był blisko Biloxi, w kierunku granicy między stanami Mississippi i Luizjany. Łatwo odnalazł tam *Alamo Plaza Motel Court*. Stara kobieta o pięknych śnieżnobiałych, gładko zaczesanych włosach robiła na drutach w recepcji.

- W motelu jest komplet – powiadomiła od razu.
- Poszukuję Williama Corfielda.
- Wyjechał trzy dni temu i prawdę mówiąc jestem z tego bardzo zadowolona.
- Narobił pani kłopotów?
- Prawdę mówiąc, nie, ale mnie krępował. Pan należy do jego przyjaciół?
- Nie sądzę, abym go kiedykolwiek w życiu spotkał. Ale on może udzielić mi informacji o pewnej osobie, której poszukuję.

– Pan jest kimś takim, jak ci prywatni detektywi, których ogląda się w telewizji? Jak *Columbo*? Bardzo lubię Petera Falka. Uważam, że jego szklane oko jest fascynujące. Ale najlepszy, moim zdaniem, był serial z Raymondem Burrem w roli Perry'ego Masona...

– Całkowicie się z panią zgadzam – przytaknął Harry Shulz, żeby sprawić jej przyjemność. – Moja praca jest jednak bardziej banalna: pracuję w ubezpieczeniach.

– Ale ja jestem już ubezpieczona od wszystkiego...

– A mnie interesuje wyłącznie William Corfield. Czym tak panią krępował?

– Kominiarką, którą zawsze nosił.

Drgnął.

– Zawsze?

– Cały czas, a mieszkał tutaj sporo czasu. Nigdy go nie widziałam z odkrytą twarzą. Może pan to sobie wyobrazić w tym upale nad Zatoką Meksykańską?!

– I jaki podawał powód tej dziwnej manieri?

– Zawarł niby wielki zakład, że za każdym razem, gdy opuści swój wynajęty bungalow, będzie miał tę śmieszna kominiarkę i ciemne okulary. Mówił, że ci, co się z nim założyli, śledzą go bez przerwy i nie może inaczej zrobić, bo straci dużo pieniędzy.

– Często wychodził?

– Raczej nocą. Może dlatego, że wtedy było mu mniej gorąco w tej kominiarce i mógł chodzić bez ciemnych okularów? A poza tym jakaś dziewczyna odwiedzała go tu dosyć często...

Te słowa sprawiły, że serce Harry'ego Shulza zaczęło bić szybciej. Opisał jej kobietę, która przedstawiała się jako Mouna.

– To nie ta! – zaprotestowała starsza pani, nie przerywając robótki na drutach. – Ta była blondynką o jasnej cerze! Nawet chroniła się bardzo przed słońcem! Trzeba przyznać, że taka skóra szybko czerwienieje, jak pomidor!

– Zna pani jej nazwisko?

– Nie, ale prowadziła sportowe *coupé* A.M.C. Matador z rejestracją JTK 456 stanu Luizjana. Ale nie była stamtąd, mimo że Luizjana jest bardzo blisko...

Harry Shulz spojrział na nią w osłupieniu.

– A co panią skłania do tej pewności?

Zerknęła na niego z ironią.

– Młody człowieku, jak pan sądzi: co robię cały czas, gdy nie dębuję na drutach? Trenuję pamięć. Zapamiętuję numery tablic rejestracyjnych wozów, które tu wjeżdżają, i to co jest charakterystyczne w tych pojazdach. Może pewnego dnia Perry Mason, pod postacią Raymonda Burra, zjawi się tu, by zapytać mnie o coś ważnego...

Harry Shulz wybuchnął śmiechem.

– Ja raczej nie przypominam Raymonda Burra...

Spojrzała na niego.

– Pan jest znacznie młodszy i... Eee... Przystojniejszy... On jest trochę za gruby...

– Wie pani może, dokąd przeniósł się William Corfield, gdy opuścił pani motel?

– Nie mówił tego. Chyba że ja nie dosłyszałam przez tę jego kominiarkę na twarzy...

– I ta dziewczyna nie pojawiła się już od jego wyjazdu?

Kobieta przestała robić na drutach i wyraz zamyślenia pojawił się na jej pomarszczonej twarzy.

– A wie pan, że to pytanie nie jest takie głupie! – wykrzyknęła.

– Dlaczego?

– Bo JTK 456 rzeczywiście powróciła w swym *coupé* A.M.C. Matorador i nie wiedziała, że William Corfield wyprowadził się. To ja jej o tym powiedziałam...

– Jaki kolor miało to *coupé*?

– Czerwony.

ROZDZIAŁ XIV

Harry Shulz zjechał z autostrady U.S. Highway 90 i zanurzył swojego forda Pinto w obszar stanu Mississippi wzdłuż Zatoki Meksykańskiej, prostopadle do brzegu. W pewnym momencie zobaczył po lewej wyboistą drogę, zwolnił i zjechał na nią. Magnolie rosły tu w pełnej krasie. Przez opuszczoną szybę wdychał słodki zapach ich obfitych kwiatów. Droga była pusta, chyba rzadko z niej korzystano. Zapewne swoje godziny chwały miała wówczas, gdy kwitły pola bawełny.

Harry Shulz zahamował, zatrzymał wóz i wrzucił wsteczny bieg. Magnolia, którą wybrał, była wysoka i gruba. Wcisnął pedał gazu i lewy

bok Pinto zderzył się z drzewem wydając długi metaliczny jęk skargi. Wsiadł z wozu, żeby rzucić okiem na uszkodzenia. Efekt był taki, jakiego oczekiwał. Wsiadł z powrotem, zawrócił ku autostradzie i gdy tam dotarł, skręcił w prawo na Nowy Orlean.

Mijało już leniwe popołudnie, gdy dotarł do tego najbardziej znanego miasta stanu starorzecza. Zjechał na Chef Menteur Highway, przedłużoną przez Gentilly Boulevard. Koło uniwersytetu Dillard skręcił w Virgil Boulevard, a następnie w Lafreniere Street. To na tej ulicy znajdowała się agencja, w której wypożyczył fordą Pinto. Wymagała ona obowiązkowego zwrotu wozu w tym samym stanie w przeciwieństwie do dużych firm jak Hertz, Avis czy Budget-Rent-A-Car, którym można było oddać wóz w filii znajdującej się w innym stanie. Miała jednak tę zaletę, że łatwiej było tu o anonimowość, bo nie prowadziła wykazu swej klienteli w skali krajowej, jak jej wielkie siostrzyce.

Kierownik skrzywił się, gdy zobaczył mocno wgnieciony tylny lewy bok.

- Spisał pan protokół? – zapytał.
- Ona zwiła – odparł Harry Shulz, udając wściekłość.
- Kto?
- Dziewczyna. Blondynka o bardzo jasnej cerze.
- Co prowadziła?
- Czerwone sportowe coupé A.M.C. Matador.
- A zapamiętał pan chociaż numer rejestracyjny?
- Jasne! JTK 456. Co za pipa! Miałem pierwszeństwo, byłem z prawej strony. Prawie że przejechałem, gdy stuknęła mnie z tyłu!
- Widzę – mruknął przez zęby kierownik. – Dobra, proszę wejść, zobaczmy, co da się zrobić, żeby ją odszukać. Powiedział pan: czerwone sportowe coupé A.M.C. Matador, o numerze rejestracyjnym JTK 456?
- Tak.
- Tablica Luizjany?
- Tak, ale to miało miejsce w Mississippi. Blisko Gulfportu – ciągnął swoje małe kłamstwa Harry Shulz.
- JTK oznacza rejestrację w tutejszym hrabstwie – zauważył kierownik, podnosząc słuchawkę telefonu i wciskając cyfry na aparacie. Po chwili rzucił szybko kilka zdań i czekając, przysłonił dłonią mikrofon. Zwrócił się do Shulza jakby chcąc mu coś wyjaśnić: – W tej robocie trzeba dobrze żyć z facetami z policji stanowej, tymi z Wydziału Rejestracji

Pojazdów Samochodowych, i z glinami miejscowymi też. Z tymi pierwszymi, aby odnaleźć kierowców, którzy uciekają z miejsca wypadku, a z glinami, aby anulować mandaty, gdyż od chwili wynajęcia wozu faceci automatycznie gwizdzą sobie z kar za nieprawidłowe parkowanie. Tłumaczą sobie to tak, że przyjechali z innego stanu i po zwrocie wozu trudno będzie ich odnaleźć i zmusić do zapłaty grzywny. A ponieważ nie istnieje organizacja, która zbierałaby opłaty mandatów w skali pięćdziesięciu stanów, ich rozumowanie jest słuszne. A ponieważ to właściciel wozu jest odpowiedzialny, więc zdaje sobie pan sprawę, ile mandatów byśmy płacili, gdyby ich nie anulowano?

– To by was pogrzebało – grzecznie przytaknął Harry Shulz.

Kierownik nagle odstąpił mikrofon telefonu.

– Tak? – Słuchał, a wolną ręką złapał długopis i notes. – Sylvia Finnegan? Osiedle w Joe W. Brown Memorial Park. Numer 14, Aleja G. Wspaniale się panu udało, sierzancie.

* * *

Sylvia Finnegan wzięła przesadnie długą kąpiel, aby pozbyć się zmęczenia nagromadzonego w ciągu długiego dnia pracy, po czym pogasiła wszystkie światła w domu. Następnie wyciągnęła się na łóżku, mając na sobie jedynie lekką piżamę.

Przez kolejne dwie godziny paliła prawie papierosa za papierosem. Potem wstała i ostrożnie uchyliła zasłony w oknie. Nie pomyliła się. Ktoś ją obserwował. Tam, za krzakami bugenwilli, wyczuwała sylwetkę mężczyzny. Na pewno było ich więcej. Musi zdwoić swą ostrożność. Nie może używać teraz własnego wozu. Na szczęście mogła dysponować samochodem Mary Lindstrom. Mary wyjechała z narzeczonym poopalać się na jakiejś plaży Florydy i przed wyjazdem poprosiła ją, aby odebrała z warsztatu jej forda po kapitalnym remoncie silnika. Wyposażony teraz w nowe moce ford niecierpliwie czekał w garażu Mary na okazję pokazania swych możliwości.

Nie zapalając światła w ciemności włożyła dzinsy i lekki sweter, a na nogi wsunęła tenisówki i cicho wyslizgnęła się z domu.

Część trawnika była oświetlona. Przebyła ją czołgając się po trawie. Gdy dotarła do płotu, przecisnęła się przez dziurę zrobioną przez dzieci sąsiadów, Williamsonów, które w ten sposób łatwiej mogły sięgać po piłkę regularnie wykopywaną na jej trawnik. Z drugiej strony płotu nadal czołgała się po trawniku Williamsonów, okrążyła ich dom, o mało nie rozbiła sobie

czoła o jedną z żerdzi portyku na którym Hiram, najstarszy z Williamsonów, ćwiczył na kółkach, przeskoczyła przez drewnianą barierkę i znalazła się wreszcie na wycementowanej alejce, która lekkim spadkiem schodziła do Alei K.

Szybko przekroczyła drogę, ruszyła Aleją E aż do G i niedługo zatrzymała się przed domem Mary Lindstrom.

Bez trudu włączyła silnik forda, zamknęła drzwi garażu i ruszyła powoli Aleją G. Nie miała ochoty przejeżdżać obok posterunku przy wjeździe na osiedle, dlatego dojechała do drogi prowadzącej na publiczne wysypisko śmieci i modłać się, aby jakiś nieszczęsny kawałek butelki nie przeciął opon forda, przejechała przez woniejący obszar podskakując na nierównościach, ślizgając się i wpadając w zdradzieckie koleiny.

Tak dotarła do autostrady U.S. 90 i przyspieszyła. Wreszcie mogła się odprężyć. Najtrudniejsze było za nią. Nie czuła już żadnego zmęczenia. Wyłącznie podniecenie wywołane uczuciem, że uczestniczyła w całej tej akcji.

Nie była w stanie określić stanu ducha Billa. Miał jakąś nieuchwytną osobowość. Czyżby był zabawką losu, biedną łupinką orzecha popychaną to tu, to tam, przez siły, którym nie mógł się przeciwstawić? Musiała to dopiero odkryć.

Sprawą niepodważalną było jego przyciąganie. Od chwili, gdy pożegnała go ostatnim razem, boleśnie odczuwała jego nieobecność. Całym swoim ciałem. Jak stara narkomanka pozbawiona swej kolejnej dawki.

Wcisnęła pedał gazu, jednocześnie uważnie obserwując drogę, w lusterku wstecznym i przez szybę. Na którymś z poboczy mógł się zacząć wóz patrolowy policji stanowej. Nie chciała się spóźnić z powodu zatrzymania za przekroczenie dopuszczalnej prędkości.

Nieco później zjechała na boczną drogę usianą rozpadlinami, prowadzącą do starego baraku. Bezsukutecznie próbowała przy tym odsunąć głęboko w pamięć wspomnienia, które napływały tłumnie.

Gdy zatrzymała samochód przed wiekowymi drewnianymi stopniami, zdziwiła ją cisza panująca wokół. Czyżby się pomyliła?

Wysiadła z wozu, przeszła kilka kroków, po czym wróciła i oparła się niezdecydowana o maskę.

Czy Mary Lindstrom wozila w schowku na rękawiczki latarkę? Sprawdziła to i ulżyło jej, gdy odkryła ją. Po chwili snop światła oświetlał już stare zmuszałe drzwi.

Ostrożnie weszła po stopniach i pchnęła je. Od razu zauważyła Williama Corfielda na podłodze. Obrzydliwy zapach wzburzył jej żołądek i o mało nie dostała torsji. Pospieszenie cofnęła się na ostatni schodek. Dobrze знаła ten zapach. To był zapach śmierci.

Bill był martwy. Robota Pat? Na tę myśl znowu odczuła mdłości.

Opanowała się i zmusiła do ponownego wejścia do baraku, przyciskając do nosa chusteczkę. Światło latarki elektrycznej omiotło pokój, odnalazło ciało Williama Corfielda. Uklękła na kolanach. Badała przy pomocy latarki skurczoną twarz, gdy usłyszała słaby jęk. Zdziwiona skierowała strumień światła na oczy Williama Corfielda i zauważyła krótki ruch rzęs.

Wstała na nogi i bezradnie patrzyła na ciało przymocowane do ciężkiego, drewnianego krzesła dużymi stalowymi kajdankami. Uklękła, podniosła chusteczkę, którą upuściła przed chwilą, i pomacała twarz oświetlaną latarką. Stwierdziła, że Bill żyje. Zapewne zemdlął. Należało go stąd wydostać.

Najpierw musiała jednak poradzić sobie z kajdankami. Przyszedł jej do głowy pomysł: skrzynka z narzędziami w bagażniku forda. Ale gdy obejrzała je dokładnie, miała ochotę się rozpłakać. Wydawały się tak śmieszne. Prawie jak dziecinne zabawki. Oczywiście był jeszcze podnośnik, ale nie miała pomysłu, jak go użyć do rozerwania kajdanek. Potem zauważyła cienką stalową linkę nawiniętą jak wąż i pewien pomysł przyszedł jej do głowy.

Pobiegła obejrzyć futrynę drzwi. Mimo wieku wydawała się solidna. Należało szybko działać. Kto wie, czy Bill nie umrze, jak tamci, za chwilę? Z całych sił popchnęła krzesło w poprzek drzwi. Drzwi były wąskie i krzesło zablokowało się o nie. Przekroczyła je i następnie dużym kamieniem zablokowała skrzydło drzwi, aby pozostały otwarte. Czuła pot lejący się z czoła i palący powieki.

Rozwinęła linkę, jeden jej koniec przymocowała do przedniego zderzaka forda, zaś drugi do łańcuchów łączących kajdanki wokół nadgarstków Williama Corfielda.

Nie tracąc czasu wsiadła do wozu, uruchomiła silnik i włączyła wsteczny bieg. Cofała powoli do momentu, gdy linka się naprężyła, i wtedy z wściekłością wcisnęła nogą pedał gazu. Ford przez chwilę buksował w miejscu, a potem skoczył do tyłu. Ostro wcisnęła pedał hamulca, otworzyła drzwiczki i pobiegła do drzwi baraku.

Łańcuchy pękły. Ręce były wolne. Oczywiście wokół nadgarstków pozostawały obrączki kajdanek, ale to nie miało znaczenia. Można je

rozbić później. Istotne było uwolnienie rąk. Skóra przedramion ucierpiała nieco wskutek tych działań i krew ściekała wzdłuż palców.

Powtórzyła ten sam manewr z fordem, ale mocując tym razem koniec linki do łańcuchów przytrzymujących kajdanki założone wokół kostek.

Zadowolona z wyniku, odsunęła krzesło i obejrzała z bliska twarz Williama Corfielda. Wydawało się, że on nie chce powrócić do przytomności. A przecież to było konieczne. Był zbyt ciężki, aby mogła go przetransportować aż do wozu.

Wówczas zauważyła wiadro w drugim końcu pokoju. Było w nim trochę wody. Zmoczyła w niej swoją chusteczkę i matczynymi ruchami zaczęła nacierać twarz Williama Corfielda.

Po kwadransie tych wysiłków otworzył oczy. Westchnęła z ulgą.

– Kto tu jest? – zapytał słabym głosem.

Skierowała latarkę na swoją twarz.

– To ja, Sylvia. Jak się czujesz, Bill?

– Tak sobie...

– Co tu się wydarzyło? – Ograniczył się do pomruku, nie odpowiadając. – Musimy stąd wyjechać, Bill. Wstawaj.

Starał się poruszyć, ale bez skutku.

– Obawiam się, że nie dam rady, Sylvio...

Energicznie nim potrząsnęła.

– Do cholery, Bill, zmobilizuj się! Nie możemy tu zostać.

Zacisnął pięści, ścisnął zęby i spróbował raz jeszcze się wyprostować, ale nie dało to efektu. Część jego ciała była jak sparaliżowana.

– Musisz, do cholery – zbuntowała się. – Spróbuj jeszcze raz.

Nie poddawaj się.

* * *

Czołgając się Harry Shulz wślizgnął się na trawnik. Zauważył ludzi, którzy obserwowali dom. Dwaj mężczyźni. Cholera, co oni tam robią? Dlaczego interesują się tym domem, a może raczej jego lokatorką? Gliny? Czy jego pomysł dostania się do tego domu był dobry? Czy nie ryzykował, że zostanie zauważony? W każdym razie Sylvia Finnegan musiała być u siebie. Dom nie był co prawda oświetlony, ale w otwartych skrzydłach drzwi garażu widać było tył pojazdu. Czyżby to coupé A.M.C. Matador z rejestracją JTK 456? Był zbyt daleko, aby się upewnić. W każdym razie

wydawało się, że w tej okolicy, tak jak w Poughkeepsie, ludzie nie obawiali się kradzieży pojazdów, zostawiając drzwi do garażu otwarte na oścież.

Osiedle mieszkaniowe w Joe W. Brown Memorial Park było obszarem zamkniętym z drogami określanymi jako aleje i oznaczonymi nie numerami, a literami. Wyglądało na to, że wykorzystano wszystkie litery alfabetu. Przy wjeździe była dyżurka, ale Harry Shulz nie zamierzał się ujawniać. Wolał poszukać bardziej dyskretnego sposobu dostania się na teren osiedla. W końcu znalazł sposób: publiczne wysypisko z boku, dające się poczuć z daleka. Nie było to zresztą zwykłe wysypisko, ale raczej obszar przylegający do osiedla, gdzie mieszkańcy podrzucali różne kłopotliwe i duże rzeczy, jakich nie mogli się pozbyć w spalarkach czy pojemnikach na śmieci. Stare lodówki, telewizory, pralki, materace, szczątki mebli, wraki samochodów. Wilgotność w Luizjanie była wysoka i poza odpadkami metalowymi cała reszta gniła bardzo szybko, wydzielając ohydny woń. Aby mieć lepszy dostęp do tego wysypiska, mieszkańcy osiedla zrobili wyrwę w otaczającym je ogrodzeniu i przez ową przerwę Harry Shulz dostał się na teren osiedla. Następcę forda Pinto, merkurego Monarch – wynajętego dla bezpieczeństwa w innej agencji niż ta, gdzie zwrócił Pinto – pozostawił w ukryciu w lasku magnolii na północ od autostrady Chef Menteur Highway.

Trawnik miejscami był oświetlony, tak jak i wywieszka z numerem domu 14. W innym wypadku Harry Shulz miałby pewne trudności w rozpoznaniu domu spośród pozostałych, ze względu na obserwujących go dwu mężczyzn. Co ciekawe, nie czynili oni szczególnych starań, aby ukryć swą obecność. Wprost przeciwnie. Tak jakby chcieli, aby lokatorka domu wiedziała, że tam są. Gliny? – zastanawiał się znowu Harry Shulz nie przerywając czołgania się.

Dotarł już do skraju garażu. Tu był już osłonięty. Wyprostował się i oparł o ścianę. Z kieszeni wyciągnął miniaturową latarkę kieszonkową, którą już się posługiwał w rezydencji Alexa Blumfelda przy lekturze o wyczynach *Wrogów publicznych lat trzydziestych* w oczekiwaniu na pojawienie się celu. Podszedł do stojącego wozu, schylił się i przy wąskim strumyku światła odczytał napis na tablicy rejestracyjnej: JTK 456. Sam zaś pojazd był niewątpliwie sportowym coupé A.M.C. Matador koloru czerwonego. Oznaczało to, że Sylvia Finnegan była z pewnością w domu.

W głębi garażu zaczynały się czterostopniowe schodki. Harry Shulz wszedł na nie, dotarł do drzwi, które otworzył bez trudu, i postawił stopę w holu. Przeciwległy koniec holu był skąpo oświetlony blaskiem reflektorów umieszczonych na trawniku dochodzącym do oszklonych frontowych drzwi.

Z racji swej profesji Harry Shulz był przyzwyczajony do zwiedzania domów pograżonych w ciemnościach. Jego ciało automatycznie stawalo się giętkie, ciche, końcówki jego nerwów włączały radary, pozwalające mu na uniknięcie potrącenia mebla, stopnia lub potknięcia się o jakiś przedmiot umieszczony na poziomie podłogi. Ważna była tu powolność. Żadnego, niekiedy zgubnego, pośpiechu. Mądra powolność i głęboki namysł przed każdym ruchem.

Zwiedził cały dom. Był pusty. Może Sylvia Finnegan wyszła do jakiejś sąsiadki i zasiedziała się trochę jak na tę późną porę? Żałował, że efekt zaskoczenia, na który liczył, nie zagrał. Nic straconego, jeszcze mógł to naprawić. Bardziej niepokoił go ci dwaj mężczyźni obserwujący dom. W każdym razie ich obecność pozwalała sądzić, iż on sam był na dobrym tropie. Nie obserwuje się domu kogoś, kto żyje spokojnie, cicho, bez wielkich emocji. Wiele milionów amerykańskich ognisk domowych nie staje się przedmiotem obserwacji, nigdy nimi nie były i nigdy nie będą. Były to ogniska domowe obywateli szanujących prawo, żyjących życiem konformistów, odrzucających wszystko co prowadzi na drogę nielegalności. Zapewne nie dotyczyło to Sylwii Finnegan. Zresztą, czy ktoś normalny spotykałby się z chłopakiem mającym zawsze na twarzy kominiarkę i ciemne okulary, twierdzącym, że ta maskarada była wynikiem zakładu? To wyjaśnienie podane przez Williama Corfielda kobiecie z motelu *Alamo Plaza* nie miało żadnego sensu.

Minęło już ponad dwadzieścia minut, odkąd Harry zakończył oględziny wnętrza i obserwował dwóch tajemniczych mężczyzn przez lekko uchyloną firankę we frontowym oknie, gdy usłyszał słaby odgłos dobiegający od drzwi, tych od garażu. Momentalnie zdwoił czujność. Skrzywił się na myśl, że znalazł się między młotem a kowadłem. Z jednej strony mężczyźni śledzący dom, z drugiej zaś ktoś wchodzący do środka.

Puścił firankę i szybko przeszedł przez pokój w kierunku holu. Był tuż koło telewizora, gdy rozległ się huk jakiegoś spadającego przedmiotu, który roztrzaskał się, wywołując piekielny hałas rozdzierający błogą ciszę.

Harry Shulz zastygł w miejscu. Jego nogi dotykały progu drzwi prowadzących do holu. Machinalnie prawą ręką wyciągnął Karpia z kabury pod lewą pachą. Jego szary garnitur z tropiku, szyty na miarę, zabrany z mety na Sherman Avenue, a który włożył wybierając się do Mike'a Eriksona do Biloxi, znakomicie maskował wybrzuszenie od pistoletu w kaburze. Saul Zylbersztajn, stary polski Żyd z Orchard Street na Dolnym Manhattanie, był jednym z ostatnich krawców w tym kraju, który pieczołowicie dopasowywał garnitur tak, aby dobrze leżał i jednocześnie gwarantował pod pachami niewidoczną przestrzeń do ukrycia broni w kaburze. A do tego Saul Zylbersztajn nie zadawał pytań. Jego klientela składała się głównie z osób, które dyskrecję otaczały szczególnym kultem...

Dał się słyszeć jakiś szmer cichych głosów, następnie Harry Shulz usłyszał, jak drzwi wejściowe otwierają się i hol zalało światło. Miał wrażenie, że skierowano nań reflektor. Kilkakrotnie zamrugał powiekami.

– Nie ruszaj się, Sylvia! – krzyknął jakiś męski głos.

Przez to mruganie Harry Shulz stracił cenne sekundy. Tymi, którzy weszli do środka przez drzwi wejściowe, byli ci dwaj śledzący dom. Patrzyli na niego, stojącego w progu drzwi wychodzących na hol. Byli uzbrojeni i Harry zorientował się, że jeden z nich za chwilę naciśnie spust swej broni, widząc Karpia w jego ręku. Było to nieuniknione w tego rodzaju sytuacjach. On musiał być szybszy. Karp wy puścił śmiertelny pocisk i mężczyzna obrócił się wokół własnej osi jak przestraszony nagle bąk. Drugi zareagował natychmiast, ale Harry Shulz zdążył usunąć się za futrynę. Tłumik w broni przeciwnika wydał ciche *Tttfeunnk!* i pocisk z metalowym dźwiękiem uderzył w ścianę. Harry rzucił się do przodu na brzuch, z pistoletem uniesionym nad głową i nacisnął spust. Pocisk dosięgnął mężczyznę pod brodą, odrzucając jego głowę do tyłu, gdy równocześnie całe jego ciało obracało się wokół swej osi. I wtedy drugi *Tttfeunnk* zdążył wydobyć się z tłumika jego broni. Mężczyzna odbił się o ścianę holu i padł jak jakiś woskowy manekin. Harry Shulz zarejestrował, że jego towarzysz leży w odległości jednego metra od otwartych drzwi wejściowych. Żeby tylko nie okazało się, że to gliny! Mimo wszystko wątpił w to. Z reguły gliny dość dobrze panują nad swymi odruchami. Jeden z nich zawołałby przed naciśnięciem spustu: Stój! Policja! A Harry Shulz czuł, że tamten za moment naciśnie spust bez wahania i bez żadnych

weszań. Zbyt często znajdował się w takich okolicznościach, aby w to teraz wątpić.

Wstał i zwrócił głowę w kierunku drzwi do garażu. Ładna blondynka z przerażonym wzrokiem i obiema pięściami przy twarzy spoglądała na wyciągniętego u jej stóp trupa mężczyzny z otworem w czole. Twarz była już pokryta krwią. To był efekt tego drugiego *Tttfeunnk* – stwierdził w myślach Harry Shulz.

Włożył z powrotem Karpia do kabury, podniósł obydwa pistolety upuszczone przez obu mężczyzn i ruszył w kierunku młodej kobiety. Nagle zorientował się, że ona zacznie zaraz wrzeszczeć. Skoczył więc szybko i uderzył ją mocno w brzuch poniżej obu uniesionych łokci. Osunęła się w jego ramiona z zaskoczeniem zastygłym na twarzy.

Po wcześniejszym zwiedzeniu domu w ciemnościach znał już jego rozkład na pamięć. Przeniósł zwiotczone ciało do tej sypialni, którą według wszelkich oznak zajmowała lokatorka domu, i ułożył ją na łóżku. Następnie wrócił do holu, aby zgasić światła, zamknąć drzwi wejściowe i odholować trzy trupy do garażu. Przedtem jeszcze wyprowadził sportowego Matadora aż do betonowej alei. Kluczyki zgodnie ze zwyczajem były w stacyjce. Po wykonaniu tego wszystkiego obszukał trzy trupy. Tym, który padł u stóp ładnej blondynki, był William Corfield. Dwaj pozostali byli znani za życia odpowiednio jako Jefferson Mahler i Robert Hagen.

To nie były gliny. W ich prawach jazdy widniała ta sama adnotacja: demonstrator. Demonstratorzy czego? – zastanawiał się zdziwiony Harry Shulz. Może sprzedawcy uliczni? Demonstratorzy nowego cudownego gadżetu przy wejściu do domu towarowego? W rodzaju młynka do jarzyn lub błyskawicznej kawiarki?

Za to w prawie jazdy Williama Corfielda wpisany był zawód: aktor filmowy. Co potwierdziło to, co podał mu Dan Rowell z agencji *U Mike'a Eriksona*.

Nic więcej w kieszeniach trzech trupów nie mogło mu dostarczyć jakiegokolwiek tropu.

Wrócił do holu i podniósł torebkę, która wypadła z rąk ładnej blondynki. Żadnych wątpliwości co do jej personaliów. Była to istotnie Sylvia Finnegan, ale, co ciekawe, zawód wpisany do prawa jazdy był ten sam co Jeffersona Mahlera i Roberta Hagena: demonstratorka.

Cholera – zapytywał sam siebie – z kim miał tu do czynienia? Z

pracownikami domów towarowych w rodzaju Marcusa albo Gimbela? Dobrze, ale demonstratorzy domów towarowych nie paradowali z coltami jak Mahler i Hagen! Zatem?

Wszedł znowu do sypialni. Tu musiał odczekać dobry kwadrans, nim Sylvia Finnegan zaczęła wykazywać oznaki powrotu do przytomności. W międzyczasie zapalił lampkę nocną na kufrze stojącym w głowach łóżka. Młoda kobieta zamrugła rzęsami, jej powieki uniosły się i wzrok spoczął na Harrym Shulzu, który rozbijając się uśmiechał, usiłując z całych sił w tym uśmiechu przekazać swój naturalny urok.

– Proszę się niczego nie obawiać – uprzedził, nim zdążyła otworzyć usta. – Nie chcę pani zrobić nic złego. Byłem zmuszony panią uderzyć, aby zapobiec pani krzykowi. Nie chciałem, aby sąsiedzi zostali zaalarmowani przez pani wrzaski. Sądzę, że pani również nie zależy na reklamie... – Wydała przytłumiony jęk. – Czy pani dobrze się czuje? – zapytał głosem, który miał być uspokajający. – Nie odpowiadała, ale w jej oczach widział przerażenie. – Nie chcę pani zrobić nic złego – powtórzył kojącym tonem. – Proszę się odprężyć... – Odsunął się od łóżka i usiadł na oparciu fotela. Celowo zaczął mówić jednostajnym głosem, aby jej nie denerwować: – Szukałem Williama Corfielda... Ślad zaczynał się u Mike'a Eriksona. Stamtąd pojechałem do *Alamo Plaza Motel Court*. Starsza pani prowadząca ten sympatyczny motel przypomniała sobie pani coupé A.M.C. Matador z rejestracją JTK 456. Dzięki tej informacji odkryłem pani adres. Chciałem tylko spotkać się z Williamem Corfieldem, porozmawiać z nim, a okazało się, że on już nie żyje...

Nagle łzy zaczęły płynąć po twarzy młodej kobiety i zaczęła szlochać. Zaraz się znacznie kryzys nerwowy – ocenił z zażenowaniem Harry Shulz. Łazienka przylegała do pokoju. Otworzył do niej drzwi, włączył oświetlenie i poszukał apteczki. Znalazł w niej fiolkę Sophiraxu, wysypał na dłoń dwie tabletki, z kranu przy umywalce nalał wody do szklanki do płukania zębów i wrócił do pokoju. Przy wzmagającym się szlochaniu piersi Sylwii Finnegan podrygiwały frenetycznie.

– Proszę to połknąć! – nakazał ostro.

– Nie! – wrzasnęła.

Spoliczkował ją. Zaniemówiła ze zdumienia i pozostała tak, z otwartymi ustami. Nie czekając na lepszą okazję Harry zmusił ją do połknięcia dwóch tabletek Sophiraxu.

ROZDZIAŁ XV

Harry Shulz w duchu ubolewał nad skutkami ubocznymi Sophiraxu. Owszem, rozluźniał nerwy i sprawiał relaks, ale za to powodował długotrwały sen. Sylvia Finnegan spała w najlepsze.

Drzwi sypialni otwierały się na korytarz, a nie do środka pokoju.

Idealnie. Harry delikatnie ustawił w korytarzu – tuż za drzwiami, nim je domknął – pozbawiony świecy lichtarz i umieścił na nim szklankę do mycia zębów. Teraz mógł zdrzemnąć się w fotelu dosuniętym do okna. Gdyby jakimś cudem Sylvia Finnegan obudziła się po połkniętej dawce Sophiraxu i miała ochotę zwiać, to nie uniknęłaby zrzucenia szklanki na płytki korytarza, a wtedy hałas obudziłby Harry'ego Shulza. On miał w każdym razie ultralekki sen.

* * *

Zaczął się kolejny dzień, mijała godzina za godziną, a Sylvia Finnegan wciąż spała głębokim snem. Harry Shulz wynurzył się z fotela, zrobił sobie kawę i znalazł jedynie kilka biszkoptów do przegryzienia. Lodówka była praktycznie pusta, oprócz napojów gazowanych i piwa. Sylvia Finnegan zapewne nie była miłośniczką kuchni domowej, wywnioskował. Snuł się po domu pilnując, aby nie być widzianym z zewnątrz. Od czasu do czasu wchodził rzucić okiem do sypialni, lecz odurzona tabletkami Sylvia Finnegan wciąż spała. Skorzystał z tego, aby lepiej przeszukać dom w poszukiwaniu jakiegokolwiek wskazówki. Starał się odkryć, co kryło się za tą pracą demonstratora wpisaną w rubryce zawód w prawach jazdy Roberta Hage na, Jeffersona Mahlera i Sylvii Finnegan. Demonstratorzy ręcznej broni? Oba colty, które podniósł, miały kaliber 0.32. Najczęściej spotykany w handlu. Prawo stanu Luizjana w dziedzinie broni było bardziej niż tolerancyjne. Było ono mniej więcej tak liberalne, jak prawo Texasu, gdzie naliczono u osób prywatnych największą gęstość broni na metr kwadratowy.

Nie odkrył żadnej wskazówki mogącej naprowadzić go na cokolwiek, wrócił do sypialni czekając na przebudzenie się młodej kobiety. Znowu zaczął zastanawiać się nad wszystkimi tymi zdarzeniami, jakie przeżył od pierwszego kontaktu z siostrami Wood, gdy nagle pewna myśl zaświtała

mu w głowie. Skoczył do kuchni, odnalazł plastikowe wiadro, napełnił je wodą, zgarnął kilka czystych ścierek, po czym skierował się do garażu. Tam ukląkł obok trupa Williama Corfielda i zabrał się za zmycie z jego twarzy całej zaschniętej krwi, przyklejonej do skóry. Dziura w czole wywołana pociskiem wystrzelonym przez drugiego z intruzów spowodowała wyciek znacznej ilości krwi, tworzącej obecnie grubą, spękaną warstwę. Gdy skończył, wpatrywał się w osłupieniu w to, co się ujawniło. Wygląd był koszmarny. Z wyjątkiem oczu reszta twarzy przypominała pole uprawne: skóra wymęczona, wyżłobiona, spalona, zaczerwieniona, ohydna, zniekształcona, z mnóstwem splątanych blizn i ciała skręconego wokół siebie. Przerażający wygląd.

Podniósł się. Nic dziwnego – stwierdził w myślach ze smutkiem – że za życia William Corfield nosił stale kominiarkę. Nie chciał nikomu pokazać swej apokaliptycznej maski. Z wyjątkiem wczorajszego dnia. Gdy został zabity, nie nosił kominiarki. Być może powinien był? Może ta kominiarka stała się wraz z upływem czasu rodzajem talizmanu, bez którego mogły mu się przydarzyć najgorsze przypadłości?

Harry Shulz momentami też był przesądny.

Nieodparcie powracała mu w pamięci zamaskowana twarz tej, która przedstawiła mu się jako Mouna. Czyżby kwef służył temu samemu celowi: skrywaniu twarzy zniszczonej przez jakąś zarazę podobną do tej, która odkształciła Corfielda? Nie zarazę w sensie medycznym, oczywiście, gdyż widoczne było, że Corfield stał się ofiarą jakiegoś wypadku. Ale jakiego wypadku? Witriol jak Ted Silvers? Ogień? Wybuch miejskiego gazu?

A Mouna? To samo? W każdym razie wydawało się, że jest na właściwym tropie. Miał przed sobą dwa przypadki pozornie identyczne. Z jednej strony mężczyzna stale noszący na twarzy kominiarkę. Utrzymywał, że wynikało to z zakładu, zawartego z kolegami. Z drugiej, kobieta nosząca kwef. Oboje działali w sferach przemocy i śmierci. Kobieta miała zamiar go zabić. Mężczyzna dał się zabić. Pojawił się tutaj w towarzystwie demonstratorki i został zastrzelony przez dwóch demonstratorów. Ciekawe... Mouna musiała znać Corfielda. Spotkali się i przez przypadek ona zatrzymała kartonik z zapalnikami od Mike'a Eriksona. To mógł być machinalny gest. Zapala się papierosa, kładzie kartonik na paczce i odchodząc, bierze się jedno i drugie. Czasem jest to zapalniczka zamiast pudełka lub karnetka zapalek. Normalne.

Dobrze, ale co on, Harry Shulz, robi w tej całej historii?

Wrócił do sypialni. Sylvia Finnegan wciąż spała.

Stwierdził, że zrobił błąd podając jej dwie tabletki. Jedna by wystarczyła. Spała jak zabita. Skądinąd miało to pewne zalety. Gdy już się obudzi, jej nerwy będą uśpione, będzie bierna, bardziej skłonna do dialogu, uległa, idealna pacjentka do przesłuchania.

Na razie jednak jego umysł zajmowały dwie dręczące kwestie:

1) Co on ma wspólnego z tą sprawą? Gdzie to wszystko łączy się z nim? Dlaczego dobierają się do niego? Z czym się to wiąże?

2) Co sprawiło, że William Corfield miał tak zniekształconą twarz?

Hipoteza o witriolu prześladowała go, gdyż widział wyniki jego działania u Teda Silvera. Ted Silvers, który popełnił samobójstwo z prawdopodobną pomocą swej siostry... Cyjankiem... Powracała mu w pamięci jego ostatnia rozmowa telefoniczna z pielęgniarką Carole Weingarten. Ta kobieta powiedziała: *Rozumiem jego reakcję. Jeśli nikt nie zgłosi się po ciało, pogrzeb odbędzie się za trzy dni. Zwłoki przez ten czas będą w kostnicy szpitala. Moim zdaniem, nikt się nie zgłosi po ciało, mam na myśli tę jego siostrę. Mimo wszystko ona chyba czuje się winna. To nie może być przyjemne wiedzieć, że jest się współniczką śmierci brata...*

Czy siostra zgłosiła się po ciało? Poczowała się winna? I co było dalej, czy znikła?

Ponieważ uznał przypadek Teda Silvera za podobny do tego, co spotkało Mary Scarazella i jej trzy córki, Harry Shulz odczuwał głębokie współczucie dla losu pacjenta Harlem Eye and Ear Hospital i żałował, że cała sprawa miała takie zakończenie za zgodą Silvera.

Kierowany nagłym impulsem wyszedł z sypialni i odszukał telefon. Przez zamknięte okno widział czerwony sportowy coupé A.M.C. Matador, smażący się na słońcu przed zamkniętymi drzwiami garażu. W Alei G dzieci bawiły się szalejąc na rowerach. Trzy kobiety stojące na chodniku dyskutowały między sobą.

Pamiętał jeszcze numer szpitala, ale w książce telefonicznej musiał odszukać numer kodowy dla przywołania z Luizjany Nowego Jorku. Następnie nakręcił na tarczy dziesięć cyfr. Poprosił telefonistkę, aby połączyła go z oddziałem, na którym Ted Silvers był hospitalizowany przed swą śmiercią.

– Słucham?

Nie był to głos Carole Weingarten. Może miała dyżur o innej porze? Albo był to jej wolny dzień? Spojrzał na zegarek. Uwzględniając przesunięcie

czasu o jedną godzinę między Nowym Jorkiem i Luizjaną, ten czas odpowiadał z grubsza porze dnia, w której spotykał młodą kobietę lub rozmawiał z nią przez telefon.

– Chciałbym rozmawiać z Carole Weingarten. – Długa cisza zapanała po drugiej stronie. – Halo! – zniecierpliwił się. – Powiedziałem, że chcę rozmawiać z Carole Weingarten. Czy ją zastałem?

– Eee... Proszę zaczekać... – padła odpowiedź, a chwilę później usłyszał męski głos: – Pan chciał rozmawiać z Carole Weingarten?

– Tak.

– Pan jest jej krewnym?

– Nie, znajomym – zablefował.

– Bo właśnie...

Głos urwał się. Lekkie mrowienie przeszło po karku Harry'ego Shulza. Przez moment widział się znowu w dniu, w którym zadzwonił do Carole Weingarten i usłyszał, że Ted Silvers popełnił samobójstwo. To taka cisza, która pobudza wyobraźnię i wywołuje wizje najgorszych nieszczęść. Słowa następujące po niej są jak ostrza obosiecznego toporu. Pytanie tylko, w którą stronę uderzą?

– To delikatna sprawa... – odezwał się ponownie głos. – Mówi doktor Whittaker, kierownik tego oddziału.

– Niech pan posłucha – starał się go zachęcić Harry Shulz – nie choruję na serce, moje nerwy są spokojne i mam pragmatyczny charakter. Więc niech pan wali.

– Miała wypadek.

– Śmiertelny?

– Eee...Tak..

– W jakich okolicznościach?

– Prawdopodobnie jakiś pirat drogowy. Przechodziła przez ulicę i... Sprawcy nie ustalono, jak zwykle w takich przypadkach. To naprawdę nieszczęście. Oprócz posiadania wspaniałych kwalifikacji zawodowych panna Weingarten była także bardzo sympatyczną osobą, którą wszyscy tutaj, personel i chorzy, uwielbiali i jest to ogromna strata dla...

Harry Shulz myślał z piorunującą szybkością. Przerwał sucho długi łańcuch pochwał:

– Czy przypomina pan sobie, doktorze, jednego z waszych pacjentów o nazwisku Ted Silvers?

– Tak, istotnie. Ten, który popełnił samobójstwo. To też straszne

nieszczęście, bo...

– W stosunku do samobójstwa Teda Silvera, wypadek Carole Weingarten zdarzył się kiedy?

– Niech pomyślę... więc... eee... jak się teraz nad tym zastanowić... Tak, jestem tego pewien! To było tego samego dnia! Panna Weingarten zakończyła swój dyżur wieczorem jak zwykle. Mieszkała w Yonkers, jak pan na pewno wie, i zawsze jeździła metrem. Wsiadła na stacji końcowej Van Cortlandt Park i miała się tam przesiąść do swego wozu, który zostawiała tam na parkingu, i to tam właśnie, przechodząc przez ulicę tuż po wyjściu ze stacji metra, ten pirat drogowy...

– Rozumiem – przerwał mu Harry Shulz. – Dziękuję, doktorze. Mam jeszcze ostatnie pytanie. Czy pan może wie, czy jakiś krewny lub przyjaciel był obecny przy wyprowadzaniu zwłok Teda Silvera z kostnicy waszego szpitala?

Po drugiej stronie drutu nastąpiła znowu cisza. Wreszcie padła odpowiedź: – O ile wiem, nie.

– Jeszcze raz dziękuję, doktorze.

Odwiesił słuchawkę i wrócił do sypialni. Sylvia Finnegan wciąż pograżona była we śnie. Harry Shulz usiadł w fotelu, w którym spędził noc. Zaczął się uśmiechać. Do całej układanki dochodził nowy kawałek...

ROZDZIAŁ XVI

Poruszała głową jak pływak, który po skoku do basenu wynurza się z wody. Wzrok wciąż zmącony snem był utkwiony w Harry'ego Shulza. Nagle uniosła się i obmacała swą odzież. Pokiwał głową, rozbawiony. Celowo powstrzymał się od rozbierania Sylvii Finnegan i ułożenia jej w pościeli, gdzie spałaby wygodniej. Takie działanie mogło wzbudzić u młodej kobiety domysły, że wykorzystał sytuację, aby ją uwieść. Nie, pozostała w takim ubiorze, w jakim znalazła się w tym pokoju, gdy kładł ją na łóżku. Cienka bluzeczka, dżinsy i tenisówki. To ją chyba uspokoiło. Ziewnęła i zapytała:

– Kim pan jest?

– Nazywam się Peter Yale i jak już mówiłem poprzedniej nocy, interesuję się Williamem Corfieldem.

Przez chwilę sądził, że będzie świadkiem nowej fali płaczu, ale zdołała się powstrzymać.

– On nie żyje – wyjęczała.

– Wiem.

– I to wszystko z mojej winy! – To zdanie w jej ustach rozciągnęło się jakby w długi lament.

– Dlaczego? – zapytał.

Zagryzła dolną wargę, zmarszczyła brwi i odpowiedziała mu pytaniem:

– Dlaczego interesuje się pan Billem?

Postanowił uchylić nieco rąbka tajemnicy i ujawnić część prawdy.

– Bo on prowadzi do kogoś, kto usiłował mnie zabić. Chciałbym poznać tego kogoś i dowiedzieć się, dlaczego chce mojej śmierci.

– Śmierć! – wykrzyknęła. – Jestem osaczona śmiercią! To jest moje przeznaczenie!

– Śmierć, gdy jest przypadkowa, nie jest niczym przeznaczeniem – odpowiedział. – To nawet nie jest tragedia. To pewien przypadek losu, jak przypadek konia, na którego postawiono dużą kwotę i który nie przychodzi do mety w zwycięskiej trójce.

– Ta śmierć jest moim osobistym dramatem! – jęknęła.

Tym razem łzy popłynęły po jej policzkach. Ale nie był to potop, a tylko kilka gorzkich, pojedynczych łez, powoli staczających się wzdłuż nosa.

Harry Shulz wsunął się w fotel w postawie mającej budzić zaufanie i zakładającej, że czas zatrzymał się w miejscu, aby umożliwić długie wyjaśnienia.

– Proszę mi opowiedzieć o Williamie Corfieldzie... – zasugerował najłagodniejszym głosem, na jaki było go stać.

Nerwowo roztała rękę.

– Pracuję dla EXCARAC... – zaczęła.

– Co oznacza ten skrót?

– Experimental Car Accidents. To laboratorium kontroli bezpieczeństwa samochodów wykonujące doświadczenia na zlecenie wielkich firm ubezpieczeniowych.

– Jakie doświadczenia? – naciskał, ale Sylvia Finnegan wydała się nagle strasznie zażenowana. Zachęcił ją: – Może mi pani wszystko opowiedzieć. Nie jestem gliną, ani prywatnym detektywem czy też ankierem działającym dla jakiejś firmy ubezpieczeniowej. Jestem po prostu prywatną osobą, którą usiłowano zamordować i która chciałaby dowiedzieć się,

dłaczego i skąd pochodzi cios.

– To dlaczego nie zgłasza się pan na policję?

Zaśmiał się szyderczo.

– A pani wierzy w skuteczność policji w obronie obywatela, gdy nie zna on przyczyn i nie wie, skąd może wyłonić się napastnik? Sądzi pani, że spędzę resztę mojego życia z gliną łąącym tuż za mną i stojącym przed moimi drzwiami?

To ją chyba przekonało i energicznie kiwnęła głową.

– Ma pan sporo racji – przyznała.

– Wróćmy więc do tego EXCARAC...

– Laboratorium to zajmuje się poprawą bezpieczeństwa kierowców oraz pieszych, którzy mogą stać się ofiarami wypadków. Prowadzi doświadczenia w zakresie celowego wywoływania wypadków. Tyle tylko, że te doświadczenia powodują ogromne zapotrzebowanie na materiał doświadczalny. Oczywiście nie wchodzi w rachubę użycie woskowych manekinów. Mimo iż zaprojektowane są zgodnie z kosztą budową człowieka, to po wypadku na ich podstawie można określić tylko stopień złamań, a nie obrażeń wewnętrznych, w szczególności urazów mózgu. To samo w przypadku wykorzystania zwłok osób nie odebranych przez rodziny i dostarczanych przez kostnice szpitalne. Włóczęgów, na przykład, lub ludzi, którzy po śmierci podarowali swe ciała nauce. Trudno jest z dużą dokładnością stwierdzić na trupie uszkodzenia wywołane w trakcie zasymulowania wypadku, ponieważ śmierć poprzedziła wypadek i w konsekwencji silnie obciąża to dokładność obserwacji posymulacyjnych. Pozostają zatem zwierzęta. EXCARAC wykorzystuje do swych doświadczeń pawiany, niedźwiedzie i świnię. Na pawianach bada się przyczyny pewnych śpiączek wywołanych uszkodzeniem mózgu, pojawiających się bez pęknięć czaszki. Na świniach badane są wgniecenia klatki piersiowej. Zwłoki dostarczane przez kostnice szpitalne lub od osób, które podarowały pośmiertnie swe ciało na cele naukowe, używane są jedynie do celów obliczania odporności kości na różne rodzaje uderzeń.

– Używane zwierzęta są żywe? – zapytał zdziwiony Harry Shulz.

– Oczywiście.

– Wychodzą z tego cało?

– Nigdy.

– Niech pani mówi dalej...

– Od kilku miesięcy ekipa kierująca laboratorium została jakby ogarnięta

szalem. Nie chcieli już zadowolić się zwierzętami. *Chcieli mieć istoty ludzkie jako materiał doświadczalny!*... Ale skąd je wytrzasnąć? Pierwszą rzeczą, która przyszła im do głowy, były osoby skazane na śmierć. Pojmuje pan to rozumowanie? Zbrodniarz zgrzeszył przeciwko społeczeństwu, więc aby swą zbrodnię odkupić, ofiarowuje swoje ciało w ofierze dla dobra nauki, by pomóc w przeżyciu innych. Tyle, że pojawiło się mnóstwo utrudnień prawnych i sprawa nie zakończyła się pomyślnie. Wówczas dyrekcja zatrudniła pracowników, których nazwała demonstratorami. Lepiej pasowałyby załatwiacze. Demonstrator nie ma żadnego sensu. Jest to termin wytrych mający na celu oszustwo. Dyrekcja zatrudniła różnych ludzi, w tym mnie, z zadaniem wyszukania wolontariuszy do rzeźni...

Harry Shulz zmarszczył brwi niedowierzająco.

– Wolontariuszy do rzeźni? – zapytał. – To wydaje się niewiarygodne.

– Wcale nie tak bardzo – odparła masując sobie ręce coraz bardziej nerwowo. – Niech pan weźmie na przykład takich, którym pozostało niewiele życia, wywodzących się z rodzin więcej niż biednych. Robotników-emigrantów, Meksykańczyków, Portorykańczyków, Jamajczyków. Głowa rodziny jest bliska śmierci. Wie, że z nowotworem długo nie pociągnie. Co się stanie z liczną rodziną, gdy jego zabraknie, aby pracować i zapewnić ich przeżycie? Proszę nie zapominać, że wszyscy ci emigranci mają z reguły liczne rodziny. Zawiera się więc z nim umowę. Daje się żonie pięć tysięcy dolarów i zabiera męża. I bardzo szybko ładuje się go do wozu sterowanego na odległość, który za chwilę rozgniecie się na betonowym murze przy stu pięćdziesięciu na godzinę. A potem ogląda się wpływ wypadku na jego organizm.

Mimo swego zahartowania Harry Shulz odczuł, że nieprzyjemny dreszczyk łaskocze mu kręgosłup.

– W terminologii prawniczej to się nazywa morderstwem – zauważył.

– Dyrekcja świetnie o tym wie i to jest powód, dla którego rozpaczliwie stara się zachować tajemnicę wokół swych doświadczeń. Ale wydaje się, że gra jest warta świeczki, gdyż towarzystwa ubezpieczeniowe wynagradzają EXCARAC po królewsku. Ponieważ dzięki informacjom, jakich ta ostatnia dostarcza, będą one następnie mogły narzucić konstruktorom samochodów takie normy bezpieczeństwa, które spowodują znaczne obniżenie wielkości odszkodowań wypłacanych w przypadku wypadków samochodowych i każdy kierowca prowadzący pojazd niezgodny z tymi nowymi normami

otrzyma, w przypadku kraksy i pod warunkiem, że będzie wciąż żywy, jedynie mały procent pierwotnego odszkodowania.

– Gdzie w tej opowieści pojawia się William Corfield?

– On prowadził śledztwo w sprawie śmierci jednego ze swych przyjaciół, Duffa Berry'ego. Byłego aktora z Hollywood, tak jak on.

– Zaraz! Mówi pani o aktorach z Hollywood, Williamie Corfieldzie i Duffie Berry'm. Nigdy o nich nie słyszałem. To widocznie mało znani aktorzy. Może raczej statyści niż aktorzy?

– Chyba tak. Ja także nigdy ich nie oglądałam w żadnym filmie. W każdym razie Bill prowadził śledztwo dotyczące śmierci swego starego kumpla Duna.

– A co przydarzyło się Duffowi Berry'emu?

Sylvia Finnegan odwróciła wzrok, zacisnęła pięści i przycisnęła je do twarzy, a równocześnie jej ramiona opadły. Frenetyczne podrygiwanie jej piersi zdradzało silny zamęt wewnętrzny.

– To moja wina... ja... to... – wyjąkała.

– Najgorsze już za panią, niech pani dokończy – zachęcił ją.

– Duff był hospitalizowany w przytułku dla niepełnosprawnych... To był żywy trup pozbawiony energii, był obłożnie chory, jego struktura kostna była w rozkładzie... złamania źle złożone, skóra usiana bliznami... Gdy się go oglądało, miało się wrażenie, że za chwilę wyda ostatnie tchnienie... Dowiedziałam się o jego istnieniu. Pojechałam do niego i zapytałam, jak widzi swoją przyszłość, czy nigdy nie myślał o samobójstwie... Powiedział wówczas to okrutne zdanie: *Nie mam nawet możliwości popełnienia samobójstwa, gdyż mam niesprawne ręce i nogi, a mój tułów jest sparaliżowany. Jak mógłbym tego dokonać?* – Stłumiła szloch. – Wtedy wskoczyłam w te półotwarte już drzwi. To ja mu zasugerowałam użycie EXCARAC do jego śmierci...

– Zgodził się?

– Z zachwytem.

– I nie żyje?

– Tak.

– I to w związku z tym William Corfield zaczął go poszukiwać?

– Odnalazł mnie. Próbując go oczarować zakochałam się w nim bez opamiętania... Zapewne z litości... Rodzaj wtórnej reakcji na to, co odczuwałam wobec Duffa Berry'ego.

Harry Shulz natychmiast zrozumiał.

- Ze względu na jego okaleczoną twarz?
- Wie pan o tym?
- Umyłem mu rano twarz i zobaczyłem. Prawdziwy koszmar. Co było tego przyczyną?
- Jakiś wypadek w Hollywood w tym samym czasie, co Duff Berry, ale nie znam szczegółów.
- Wypadek samochodowy?
- Tak.
- W wyniku którego Corfield miał poparzoną i okaleczoną twarz, a Berry stał się chodzącym trupem?
- Właśnie.
- Czy Corfield mówił pani o innych pasażerach podczas wypadku?
- Nie.
- Niech pani spróbuje sobie przypomnieć. Na przykład jakaś kobieta? Sylvia Finnegan rozprostowała pięści i machinalnie zaczęła nerwowo wyłamywać palce.
- Jestem pewna, że nie.
- Mogła mieć na imię Mouna?
- Pokręciła przecząco głową, gdy Harry Shulz rzucił opis swej partnerki z *Oubliette*.
- Czy pani kojarzy taką osobę? Może spotkała ją pani w towarzystwie Corfielda lub Berry'ego?
- Pamiętałabym to. Ta zasłona na twarzy, jak u muzułmanki, przyciągnęłaby moją uwagę.
- Załóżmy, że nie miała zasłony?
- Nigdy nie widziałam żadnej kobiety w towarzystwie Billa czy Duffa Berry'ego, oprócz dwóch pielęgniarek w przypadku tego ostatniego, ale one wcale nie odpowiadają opisowi i obie były na pewno starsze.
- Spróbował innego podejścia:
- Ostatniej nocy, gdy przyjechała tu pani z Corfieldem, dwaj mężczyźni pojawili się z bronią w ręku. O mało co nie zabili mnie i ja musiałem ich zastrzelić w obronie własnej. Jeden z nich przypadkiem trafił w Corfielda. Przeszukałem ich odzież. Nazywali się Jefferson Mahler i Robert Hagen. Czego oni chcieli i dlaczego włamali się do pani w środku nocy?

– Oni mnie śledzili.
– Zauważyłem, że byli to demonstratorzy, tak jak pani.
– To są faceci od brudnej roboty. Ich specjalnością było porywanie włóczęgów, nędzarzy, hippisów, ludzi z marginesu społecznego, których nikt by potem nie poszukiwał. Tego rodzaju osób jest pełno w Nowym Orleanie.

– Dlaczego zajmowali się panią, ich koleżanką?
– Z polecenia dyrekcji. Robili od chwili, gdy Bill z własnej inicjatywy rozpoczął śledztwo na temat Duffa Berry'ego. Bill skupił swoje śledztwo na mnie, a ja go oszukiwałam, a w końcu zakochałam się w nim. Paradoksalne, prawda? Dyrekcja go porwała i poddała torturom, aby ujawnił wszystko, co odkrył na temat działalności EXCARAC. Chcieli też upewnić się, że nikomu nie powiedział o swych poszukiwaniach. Sądzę, że dyrekcja planowała jego eliminację, przeprowadzając na nim, tak jak na innych, test w rozpędzonym wozie. A ja w tym czasie postanowiłam go uratować. Właśnie to zrobiłam ostatniej nocy, ale popełniłam błąd sprowadzając go tutaj. Powinnam była uciec z nim do jakiegoś innego stanu... – Przerwała i znów jęknęła. – A teraz on nie żyje...

– W jaki sposób EXCARAC pozbywa się zwłok zwierząt lub istot ludzkich po przeprowadzeniu badań?

– Pali je.

– A gdzie to sympatyczne laboratorium wykonuje swą działalność?

Zawahała się, zaczęła obgryzać paznokcie, w końcu przyznała:

– Na brzegach jeziora Pontchartrain, prostopadle do Liggett Road. Po lewej stronie jadąc z Nowego Orleanu do Gulfportu. Gulfport, to tam, gdzie mieszkał Bill.

– Wiem. Już pani mówiłem, że przeprowadziłem rozmowę z uroczą starszą panią prowadzącą *Alamo Plaza Motel Court*. Przy okazji, dlaczego on wyprowadził się z tego motelu nie uprzedzając pani, która rzekomo była w nim zakochana? W stanie, w którym znajdowała się jego twarz, stanie uniemożliwiającym mu damskie kontakty, powinien być szczęśliwy, że trafił na tak ładną dziewczynę jak pani, która uległa jego urokowi?

Podrzuciło ją.

– Ależ on się nie wyprowadził! Odkryłam to potem! Został porwany przez tych, którzy później go torturowali! Wie pan, jak to się odbywa w motelu? Płaci się zawsze za noc z góry, co umożliwia wyjazd o dowolnej

porze. Przechodząc wrzuca się swój klucz do skrzynki obok recepcji, nie trując portierki i spokojnie się odjeżdża. Tych, którzy porwali Billa, było dwóch i wzięli wóz Billa. Wepchnęli go do bagażnika, jeden położył się na podłodze z tyłu, a drugi włożył na głowę kominiarkę Billa i usiadł za kierownicą. Zatrzymał się koło recepcji, wrzucił klucz od bungalowu do skrzynki i starsza pani nie zauważyła niczego szczególnego. Ona naprawdę sądziła, że to Bill siedział przy kierownicy!

– Dobra zagrywka – przyznał Harry Shulz.

Przyglądał się uważnie Sylwii Finnegan. Targały nim przeciwstawne uczucia. Sympatia? Antypatia? Obojętność? Otrząsnęła się, spojrzała na zaciągnięte podwójne firanki, które zaczynały zabarwiać się na pomarańczowo pod wpływem promieni słonecznych uderzających w nie z zewnątrz. Wydawało się, że dotarło do niej, że jest już pełnia dnia i krzyknęła:

– Jestem głodna!

Potrząsnął głową przecząco.

– W domu nie ma nic do jedzenia, nie ma już nawet kawy. Oczekując na pani przebudzenie opróżniłem tę resztkę, która jeszcze była. Ma pani za to do dyspozycji baterię piwa i napojów gazowanych.

Obmacała swą odzież, która zapewne kleiła jej się do skóry, po tyłu godzinach snu.

– Muszę wziąć prysznic.

– Proszę, niech pani weźmie prysznic – przytaknął Harry Shulz. – W międzyczasie pójde kupić coś do jedzenia i paczkę kawy.

Przypomniał sobie nagle o swym wozie pozostawionym daleko stąd.

– Mogę skorzystać z pani auta?

– Jasne. Przyszedł pan tu pieszo?

– I tak, i nie. Zostałem swój samochód poza osiedlem i resztę drogi odbyłem na piechotę.

– W Alei F jest sklep spożywczy. Niech pan kupi jajka i boczek, chrupki owsiane, naleśniki i syrop klonowy. To chyba jedyne rzeczy, jakie potrafię przyrządzić.

– Zgoda.

Dochodził do drzwi, gdy go zawołała. W jej oczach przebłyskiwał chytry wyraz.

– Jak to się dzieje, że jest pan tak dobry w strzelaniu, że tak błyskawicznie rozprawił się pan z tymi dwoma facetami?

Lekko się uśmiechnął.

– Czyż nie powiedziałem pani, że ktoś chce mnie zabić? Instynkt samozachowawczy, jak dobrze wiadomo, wywołuje rewelacyjny refleks. Aby powiedzieć całą prawdę, jestem tchórzem, wolę strzelać pierwszy...

ROZDZIAŁ XVII

Ruchy, jakie Harry wykonywał przy wyładowaniu pudła z zakupami ze sportowego A.M.C. Matador, przypomniały mu Friedę Hartzmann i szczury, które posłużyły za przynętę.

W Alei G dzieci i kobiety zniknęły. Ulica była opustoszała. Z pudłem pod pachą Harry Shulz wszedł do domu. Postawił karton na stole w kuchni i wypakowując zakupy, ustawiał je na blacie. Zmiał kawe i przygotował elektryczny ekspres do kawy, nie włączając go.

Drzwi sypialni były zamknięte. Zastukał, brak odpowiedzi. Ponowił pukanie. Mocniej. Może nie dosłyszała go z łazienki na skutek szumu spływającej wody?

Otworzył drzwi i wszedł. Tenisówki grzecznie spoczywały u nóg łóżka. Dżinsy i cienka bluzka leżały rzucone na fotelu, w którym spędził noc; majteczki i stanik też były obok.

– Kawa zaraz będzie! – zawołał.

Nikt mu nie odpowiedział. Dopiero teraz zorientował się, że z łazienki, której drzwi były zamknięte, nie dobiegały go żadne odgłosy. Mocno zapukał w drewnianą powierzchnię.

– Panno Finnegan?

Przekręcił gałkę drzwi i pociągnął. Łazienka była pusta. Powietrze było weń wilgotne, ślady wody pozostały w wannie i na podłodze wyłożonej płytkami. Dywanik pod wanną był wilgotny, tak jak ręczniki. Pasta ściekała ze szczotki do zębów leżącej na ukos na brzegu umywalki, co pozwalało sądzić, że Sylvia Finnegan wycisnęła pastę na szczotkę, ale nie miała czasu na umycie zębów. Ktoś jej przerwał. W powietrzu czuć było słaby zapach rumianku pochodzący prawdopodobnie z pianącego płynu do kąpieli, którego butelka stała w kącie na brzegu wanny.

Wszedł z łazienki i ruszył obejrzeć dom. Był pusty. Zajrzał do garażu. Także pusty. Zniknęły trupy Williama Corfielda, Roberta Hageny i Jeffersona

Mahlera. Zadano sobie nawet trud przeciągnięcia ścierką po podłodze. Nie było już żadnych śladów krwi.

Spojrzał na zegarek. Obliczył, że jego nieobecność trwała co najwyżej od pół godziny do trzech kwadransów. Najdłużej trwało oczekiwanie w długiej kolejce do kasy w sklepie spożywczym. Tamci załatwili sprawę dziwnie szybko!

Wrócił do kuchni i włączył elektryczny ekspres do kawy. Odczuwał potrzebę wypicia mocnej i gorącej kawy, by pomogła mu w myśleniu...

* * *

Chmury różnobarwnych ptaków swawoliły w dolnych gałęziach magnolii. Wrzawa, jaką czyniły, była ogłuszająca od chwili, gdy przestały się bać Harry'ego Shulza wyciągniętego na skraju lasu w wysokich dzikich trawach. W sklepie z artykułami sportowymi w Nowym Orleanie kupił zielony spłowiały mundur drelichowy z nadwyżek U.S. Army, siatkę z ciemnozielonego nylonu używaną zwykle przez myśliwych lub wędkarzy i mocną lornetkę.

Siatka przykrywała go i zlewała się z barwami otaczającej natury. Lornetka umożliwiła obserwację tego, co działo się wewnątrz obszaru zajmowanego przez EXCARAC.

Ogrodzenie było z siatki. Potrójnej stalowej siatki, twardej i odpornej. Środkowa siatka mogła być nawet pod napięciem, jak zauważył w myślach Harry Shulz. Klasyczna metoda. Siatki wewnętrzna i zewnętrzna były nieszkodliwe i unikano dzięki temu ryzyka wypadku, ale środkowa była pod napięciem. Nikt wtedy nie mógł się poskarżyć, gdyż nikt nie powinien jej dotykać oprócz intruza o złych intencjach.

Harry Shulz był tam od godziny, a zachodzące słońce kładło już srebrzyste akordy na spokojnych wodach jeziora Pontchartrain.

Nagle zauważył jakiś ruch na jednym z asfaltowych torów ciągnącym się na długości wielu setek metrów i kończącym się betonowymi palami wznoszącymi się ku niebu na wysokość od czterech do pięciu metrów. Powgniatany jeep toyota, z odpryskującą farbą ustawił się na białym pasie wyznaczającym początek toru. Z wozu wysiadł mężczyzna w czapce z daszkiem i lekkiej płóciennej bluzie koloru nieba, na plecach której czarnymi literami napisano EXCARAC. Czekał. Chwilę później nadjechał szary chrysler, z którego wysiadło dwóch mężczyzn ubranych w identyczne

bluzy i czapki. Potem kobieta. Harry Shulz ustawił ostrość lornetki i pokręcił do dołu śrubą, aby uzyskać maksymalne powiększenie.

Rozpoznał Sylwię Finnegan.

Miała na sobie cienką sukienkę, która na wysokości kolan powiewała z wdziękiem w rytm lekkiego wietrzyku od jeziora. Stała sztywna, odrętwiała. Przesunął lornetkę na jej oczy. Żrenice były rozszerzone i nieruchome, jakby młodej kobiecie podano narkotyki. Mechanicznymi ruchami obaj mężczyźni chwycili ją za ręce i zaciągnęli do toyoty, sadowiąc za kierownicą. Trzasnęły drzwi auta. Trzej mężczyźni cofnęli się i zgrupowali przy masce chryslera. Jeden z nich wyjął spod bluzy radiotelefon i wyciągnął antenę. Harry Shulz widział, jak jego wargi poruszały się.

Między betonowymi palami i białym pasem wyznaczającym początek toru asfaltowego, nieco cofnięty, wznosił się rodzaj strażnicy zbudowany z grubych metalowych rur, podtrzymując kabinę oszkloną od strony toru.

Harry Shulz przesunął lornetkę w tym kierunku.

W tej oszklonej kabinie trzej mężczyźni poruszali się wśród elektronicznych pulpity i monitorów. Nie nosili oni bluz ani czapek, lecz krótkie białe kitle. Krzatali się wokół aparatury, której rysy Harry Shulz rozróżniał słabo, ze względu na odległość.

Ponownie przeniósł lornetkę na jeepa toyotę, który właśnie ostro ruszył i przyspieszył. W tym samym czasie zza chryslera wyłoniła się półciężarówka pomalowana na biało z napisem EXCARAC na bokach i ruszyła także po torze, ale z mniejszą prędkością niż toyota.

Harry Shulz zrozumiał, że toyota była zdalnie sterowana z oszklonej kabiny wyniesionej na grubych metalowych rurach.

Uderzenie w betonowe pale było straszne. Półciężarówka delikatnie wyhamowała, aby uniknąć zderzenia z jeepem, który odskoczył do tyłu. Wyłonili się z niej dwaj ubrani na biało mężczyźni niosąc nosze. Podbiegli do kupy zgniecionych blach. Za chwilę dołączyli do nich trzej mężczyźni w bluzach i czapkach, którzy wsiedli do chryslera i także popędzili po asfaltowym torze.

Przez swoją lornetkę Harry Shulz widział, jak z rozwalającego się szkieletu pojazdu wyciągnięto okaleczone, tryskające krwią zwłoki Sylvii Finnegan. Widział już dosyć. Wyczołgał się spod ciemnozielonej nylonowej siatki i skrył się w magnoliach. Stamtąd pobiegł do swego wozu ukrytego za rzędem drzew.

Na Liggett Road zatrzymał się przed publiczną budką telefoniczną. Numer New Orleans Police Department był zapisany na kwadratowym plastyku przyklejonym nad aparatem telefonicznym wraz z numerami straży pożarnej, szpitala oraz najbliższych koszar policji stanowej, której patroli miały zlecone kontrolowanie dróg.

Wykręcił numer New Orleans Police Department. Głos sierżanta dyżurnego sączył się omdlewająco, jak przesmyk w starorzeczu.

– Czym mogę panu służyć?

Tradycyjna kurtuazja, niezmienna od lat ogłada Południowców – zachwyił się Harry Shulz. – Jakaż przepaść w stosunku do Nowego Jorku!

– Chciałbym, abyście rzucili okiem na doświadczenia, których dokonuje EXCARAC. To laboratorium usytuowane nad brzegami jeziora Pontchartrain, prostopadle do Liggett Road. Przed chwilą dokonano tam symulacji wypadku samochodowego. Materiałem doświadczalnym była kobieta, która, mogę was zapewnić, nie wyraziła zgody na odbycie tego testu. Nazywa się Sylvia Finnegan i mieszka w Alei G osiedla Joe W. Brown Memorial Park pod numerem czternastym. Albo raczej mieszkała, bo obecnie nie żyje, zamordowana z zimną krwią przez ludzi z EXCARAC dla swych szatańskich doświadczeń.

– Czy pan ma dowody na to, o czym pan opowiada? – Głos był wciąż tak samo pełen kurtuazji, tak samo omdlewający, lecz dało się odczuć pewne niedowierzenie.

– Czy nie moglibyście zboczyć nieco od planowej trasy jednego z waszych wozów patrolujących miasto, aby rzucić okiem wokół EXCARAC?

– A czy pan może podać swoje imię i nazwisko, adres i zawód?

Odwiesił słuchawkę. To się zawsze tak kończyło: Czy może pan podać swoje imię i nazwisko, adres i zawód...

Uśmiechnął się gorzko. Oto stawał się pomocnikiem policji, on, profesjonalista od płatnych kontraktów!... Ale dobrze się zastanawiając, jaka jest różnica między nim, a ludźmi z EXCARAC? A także, jaka jest różnica między Alexem Blumfeldem a Sylwią Finnegan? Oboje, z chęci zysku, przyczynili się do śmierci innych osób. Czyż Duff Berry nie zginął z winy Sylwii Finnegan? Czyż nie przekonała go ona, by popełnił samobójstwo i by wykonał ten gest w doświadczeniu mającym teoretycznie służyć postępowi ludzkości? Nie odczuwała żadnych skrupułów, działając w ten sposób. Być może odkupiła to później zakochując się w Williamie Corfieldzie i odgrywając skruszoną grzesznicę, jak Marion Delorme z dramatu

Víctora Hugo, którego wszystkie przetłumaczone na język angielski dzieła Harry Shulz miał w swym księgozbiorniku.

Wrócił do samochodu. Jego kontakt z Sylvia Finnegan nie był bezwarściowy. Opowiedziała mu ciekawą historię... Nie należało też lekceważyć tego, co usłyszał telefonując do Harlem Eye and Ear Hospital. Ta śmierć Carole Weingarten zaraz po samobójstwie Teda Silversa była dziwna... A jeśli i on był przypisany do tej serii? Carole Weingarten mogła zostać zamordowana z zimną krwią, a nie być ofiarą pirata drogowego. Zgodnie z tą hipotezą i jego ktoś mógł chcieć zamordować z tych samych przyczyn, które doprowadziły do eliminacji pielęgniarki...

Jak motyw przewodni powracało mu w pamięci zdanie, które powtarzał Ted Silvers na łóżku szpitalnym: *bez rąk, bez palców...*

Cholera, co to mogło oznaczać?

ROZDZIAŁ XVIII

– ...pierwsze oznaki zmian nastąpiły w roku 1920 i to w dwóch, co warto zaznaczyć, filmach reżyserowanych przez Davida Warka Griffitha. W *The Greatest Question* Lilian Gish zagrała typowo naiwną i bezbronną sierotę zatrudnioną przez lubieżnego chlebodawcę w podeszłym wieku; w tej roli wystąpił George Nicholls. Był to okres kina niemego i z napisów między obrazami wynika, iż Nicholls ma tu pożądliwe oczy, pokrętne myśli i jest zdeprawowany. Ale mimo tak wielu, oczywistych dla widza znaków, do biednej Lilian Gish wszystko to dociera dopiero pod koniec filmu. W momencie gdy Nicholls, zmęczony brakiem reakcji na jego subtelne umizgi, zamyka drzwi na klucz chcąc użyć brutalnej siły dla osiągnięcia swych niecznych celów. I tutaj pozwolę sobie na małą dygresję: Czy zwróciliście uwagę, jak potężną siłą oporu dysponowały dziewice kina niemego, gdy w grę wchodziła obrona ich czci przed atakami brutali, trzykrotnie od nich cięższych i dwukrotnie wyższych?

Wszyscy zebrani wybuchnęli śmiechem, Harry Shulz także. Jayne Sterling prowadziła właśnie swój wykład z historii kina dla studentów University of California/Los Angeles, bardziej znanego jako U.C.L.A.

Harry Shulz nie widział tej młodej kobiety od dobrych kilku lat. Siedząc

teraz w ławce w ostatnim rzędzie, jak zwyczajny student, wrócił w myślach do tamtych czasów i od razu przypomniało mu się, co mówił wtedy Rexy Stunts Frobbe:

Trzeba było widzieć, jak była zbudowana: wystrzałowa dziewczyna! Poznałem ją w Hollywood, w czasach gdy byłem jeszcze kaskaderem. Gwiazdeczka. Jak mnóstwo innych. Byliśmy tylko kumplami. Ja chętnie posunąłbym się dalej, ale nic z tego... To pewnie ta moja pokiereszowana gęba jej nie pasowała. Mimo wszystko to była dobra dziewczyna. Graliśmy razem w jednym filmie. W westernie z Johnem Wayne. Ona była tam dziewczyną z saloonu. Potem spotkałem ją przy innym filmie, ze Stevem McQueenem. To właśnie od tamtej pory zaprzyjaźniliśmy się na całego...

Harry przypomniał sobie także pierwsze ich spotkanie. Stara latająca forteca B-17 z czasów II Wojny Światowej przechowywana, jak tysiące innych, na cmentarzysku samolotów na pustyni Arizony, niedaleko Gu Achi...

Za pleksiglasową wieżyczką tylnego strzelca widniał czarny otwór. Podciągnął się bezszelestnie do jego wnętrza. Stojąc już w kabinie wyciągnął elektryczną latarkę i powiodł światłem wokół po nagim metalowym wnętrzu kabiny z łuszczącą się farbą i kablami zwisającymi ze wszystkich stron. Miejsca na karabiny maszynowe i aparaturę radiową były puste. Drobną żółtą pył pokrywał siedzenia. Piasek. Piasek pochodzący z pustyni Arizony.

Jayne Sterling odkrył w głębi kabiny. Była zagrzebana w śpiworze i miała twarz przysłoniętą pasmami włosów. Potknął się o wykrzywioną nogę siedzenia i obudziła się. Uniosła się przestraszona i krzyknęła: – Zgasicie to światło!

Strumień światła latarki elektrycznej oświetlał twarz z koszmarów. Skóra była pocięta, obrzmiała, z różowawymi naroślami. Cała siatka szram, blizn i rozdarć odkształciła twarz, która pierwotnie musiała być ładna.

– Czego pan chce? – krzyknęła.

A on milczał ze ściśniętym sercem przyglądając się tej zniszczonej twarzy*.

* Patrz *Śmierć idzie za nim krok w krok*.

I nawet teraz, siedząc na wykładzie z historii kina w sali University of California/Los Angeles, nie mógł się powstrzymać od porównania twarzy Jayne Sterling sprzed czterech lat z twarzą Williama Corfielda, a także

z twarzą Teda Silversa. Mimo, że nie widział pod bandażami spustoszeń spowodowanych wtriolem, mógł je sobie wyobrazić...

Istny horror.

Zawarł wtedy z Jayne Sterling umowę i zaprowadził ją do specjalistycznej kliniki doktora Schallenghammerforsta, jednego z najlepszych chirurgów plastycznych na świecie; zresztą tego samego, który niedawno dostarczył Shulzowi produkt użyty do uśpienia Friedy Hartzmann, zarządzającej kucharki-gospodyni Alexa Blumfelda. I wspaniały Schallenghammerforst zrekonstruował jej twarz, przywracając jej piękno. Prawdziwy cud. Przypomniał sobie także zdanie, które powiedziała, gdy żegnali się cztery lata wcześniej na progu kliniki: *Proszę mnie odwiedzić, gdy znów będę ładna...* A potem dowiedział się, że za pieniądze od niego podjęła rzucone wcześniej studia i została potem profesorem historii kina na U.C.L.A. Wspaniałe osiągnięcie...

– ...to właśnie Way Down East narzucił model skomplikowanego uwodziciela, ale bohaterka mimo wszystko pozostawała cnotliwa. Aby usprawiedliwić w oczach widzów jej podbój przez uwodziciela trzeba było wprowadzić małżeństwo. Jednak w roku 1921, trzy lata po zakończeniu wojny, ludzie chcieli czegoś innego, przede wszystkim mniej niewinnych, czystych bohaterek. I tu pojawia się Rudolph Valentino. Do tej pory, z uwagi na swą prezenję, występował on jako typ antypatycznego żigolaka. Ale wraz z Szejkiem, który obfitował w śmiałość jak na owe czasy sceny, w ciągu jednego premierowego wieczoru w Hollywood stał się ulubieńcem całego świata. Era Rudolpha Valentino wymaga jednak dłuższych studiów i na dzisiaj zakończymy je...

Harry Shulz wiedział, że Jayne Sterling zauważyła go w ławce ostatniego rzędu, i czekał cierpliwie. Ściskając pod pachą notatki szła w jego stronę. Duża torebka z rudego zamszu kołysała się na jej ramieniu w rytm kroków. Ubrana była w dzinsowe spodnie i koszulę w grubą kratę w stylu kowbojskim. Na twarzy żadnych śladów misternej roboty, jaką wykonał doktor Schallenghammerforst. Wygładzenie blizn, wypustek, narośli odbywało się z pomocą gazu, zaś tkanki skórne regenerowane były bardzo intensywnie zastrzykami z ekstraktów roślinnych pochodzących z Korei Południowej.

– Witaj, Harry! – rzuciła ciepłym tonem zatrzymując się na wysokości rzędu ławek, gdzie siedział.

Ostatni studenci opuszczali salę mijając dwuskrzydłowe drzwi.

– Bardzo mi się podobało to, co usłyszałem z twego wykładu – pogratulował jej.

– Zapewne ten kawałek o niewyobrażalnej sile fizycznej niewinnych dziewczyc w stylu Lilian Gish, będących w stanie oprzeć się lubieżnym kolosom?

Równocześnie wybuchnęli śmiechem.

– Naprawdę cieszę się, że mogłem na własne oczy ujrzeć owoce twojej przemiany – nie ustawał w zachwytach Harry.

– Wyjźdźmy stąd – zdecydowała. – Jesteś samochodem?

– Bez samochodu w Los Angeles człowiek czuje się jak rozbitek na bezludnej wyspie.

– Jedź za mną, pojedziemy do mnie.

Uniwersytet znajdował się w południowo-zachodniej części miasta, między dzielnicami Bel Air i Westwood. Swym wypożyczonym wozem Harry Shulz jechał za plymouthem Gran Fury Jayne Sterling wzdłuż Beverly Glen Boulevard, aż do Olympic Boulevard. Tam skręcili w lewo w kierunku Century City. Ta nowa dzielnica stała w miejscu, gdzie w okresie chwały Hollywoodu znajdowały się studia 20th Century Fox, które następnie wyemigrowały na Bulwar Zachodzącego Słońca i Western Avenue. Obecnie wznosiły się tu wysokie budynki o przeznaczeniu jednocześnie handlowym, biurowym i mieszkalnym w postaci apartamentów.

Jayne Sterling zatrzymała się przy numerze 2220 na Avenue of the Stars, centralnej arterii tego nowego osiedla, i po zaparkowaniu wozów oboje skierowali się do jej mieszkania.

– Wiesz, kto mieszka w tym samym domu, co ja? – wykrzyknęła Jayne Sterling, kładąc jednocześnie notatki na jakimś meblu, mocno już obciążonym. – George Raft! Ten George Raft ze *Scarface*, *Each Dawn I Die* i *They Drive by Night*, pierwszy filmowy gangster! Pamiętasz go?

– Oczywiście! – potwierdził Harry Shulz. – Jeszcze mnie nie było na świecie, gdy kina grały filmy z nim, ale widziałem je potem wszystkie w telewizji. On jest chyba ulubieńcem kanału Film o Północy. Oglądałem też jego biografię z Rayem Dantonem.

– A wyobrażasz sobie, jaką fantastyczną karierę by zrobił, gdyby nie odrzucił głównych ról w *Casablance*, *Sokole Maltańskim* czy *High Sierra*?! Humphrey Bogart powinien być mu wdzięczny za to!

- Brawo, profesorze! – pochwalił Harry Shulz, rozbawiony.
- Czy chcesz, żebym ci opowiedziała o jego romansach z Virginią Pine, Carole Lombard, Normą Shearer, Betty Grable i Marleną Dietrich?
- Ależ nie jesteś już w swej sali! – zaprotestował.
- Racja, może bardziej powinnam się skupić na obowiązkach gospodyni domu. Co pijemy dla uczczenia naszego spotkania?
- Scotch z lodem.

Przyniosła butelkę Williama Lawsonsa i dwie szklanki.

– Brakuje lodu – stwierdziła i zniknęła jeszcze na chwilę, podczas gdy Harry zapalał pall malla.

– Ładnie tu mieszkasz – pochwalił, gdy wróciła.

Podobał mu się skąpy wystrój salonu, przedłużonego loggia, używaną jako pokój do pracy.

– Czynsz jest tu wysoki, jak na pensję profesora U.C.L.A. – odparła – ale ja lubię tę dzielnicę, a ponadto, jak pewnie zauważyłeś, stąd szybko można dostać się do uniwersytetu. Za co pijemy poza naszym spotkaniem po latach?

– Za twoją przemianę.

Parsknęła śmiechem.

– Wiesz, że zawsze uwielbiałam kino. To nie było nic odkrywczego. A co u ciebie?

– W porządku.

Nie należała. Wiedziała, że cztery lata wcześniej Harry Shulz zabił Zoltana Zeboffa, człowieka odpowiedzialnego za jej oszpecenie, ale nie wiedziała niczego więcej o działalności człowieka, który siedział przed nią, całkowicie odprężony, uśmiechnięty, trzymając w jednej ręce szklankę na wpół wypełnioną schotchem z kostkami lodu, a między palcami drugiej pall malla, z którego popiół strząsał do onyksowej popielniczki.

Nie wiedziała nic więcej o jego działalności i nie chciała nic o niej wiedzieć. Przez skórę wyczuwała, że nieprzekraczalna bariera odgradza ją na zawsze od tej istoty, której życie jest tak bardzo tajemnicze. W głębi duszy nie zależało jej na tym i nie przywiązywała do tego żadnego znaczenia. Bez Harry'ego Shulza, jego pomocy, jego pieniędzy byłaby nikim albo też, co jeszcze bardziej prawdopodobne, nie byłoby jej na tym świecie, bo z rozpaczy popełniłaby pewnie samobójstwo. Pamiętała też, że zabijając Zoltana Zeboffa, pomścił ją. Tyle mu zawdzięczała i była gotowa zrobić dla niego

wszystko, jeśli tylko o to poprosi.

Przez dłuższą chwilę rozmawiali o błahych sprawach, głównie tych związanych z jej życiem i z zawodem, uzupełniając napoje w szklankach. Zmrok zapadał, gdy Jayne Sterling zaniepokoiła się:

– Trzeba coś zjeść, ale ja nie mam ochoty wychodzić, oglądać innych ludzi. Wołałabym pozostać tutaj, z tobą. Nie masz nic przeciwko kuchni chińskiej?

W swych peregrynacjach po całym świecie Harry Shulz był *zmuszony* nie odrzucać *żadnej* kuchni, inaczej umarłby z głodu w Ugandzie, Singapurze, Peru czy na Kubie.

– Nie mam nic przeciwko kuchni chińskiej pod warunkiem, że ma ona odpowiednie dopełnienie – odparł wstając i rozgniatając niedopałek pall-malla w onyksowej popielnicze. – Czy w okolicy mają dobry sklep ze spirytualiami?

– U Santarelliego. Dwa kroki stąd wychodząc z domu na Aleję Gwiazd. To tam zaopatrują się wszystkie gwiazdy filmowe przed swymi orgiastycznymi przyjęciami. To najelegantszy sklep monopolowy w mieście.

– A więc ty zacznij kręcić się przy obiedzie, a ja zaraz wracam.

Wyszedł z mieszkania, zszedł na dół i bez problemu trafił na sklep U Santarelliego, w którym kupił karton Comtes de Champagne Taittinger 1973. *Blanc de blancs*. Jayne mówiła prawdę, przyznał oglądając etykiety. Najlepszy towar na świecie. Super wybór. Zresztą już od progu stawało się to oczywiste. Pierwszą rzeczą, która rzucała się w oczy przy wejściu, była olbrzymia wywieszka *Tu wchodzi tylko KONESERZY. Reszta idzie do WSZYSTKO PO DOLARZE. Tam jest ich prawdziwe miejsce*. Było to diabelnie dosadne, ale zgodne z rzeczywistością, gdy oglądało się etykiety.

Harry Shulz wychodził już ze sklepu, gdy nagle zmienił zdanie. Nie wiedział, ile czasu będzie musiał spędzić w Los Angeles w związku ze swoim śledztwem, więc skoro już tu był, powinien się zabezpieczyć w ten boski nektar na dłuższy czas. Wrócił do sklepu i kupił drugi karton Taittingera, ale tym razem wybrał różowe Comtes de Champagne. Sędziwy Giovanni Santarelli, ze swymi długimi opadającymi wąsami i wyglądem sycylijskiego chłopca wystrojonego odświętnie na czarno, mrugnął do niego porozumiewawczo.

– Mogę się założyć, że pan jest Francuzem!

Harry Shulz uśmiechnął się, zachwycony. Uznał to zdanie za komplement.

Jayne zaczęła głośno klaskać, gdy ujrzała butelki szampana.

– Masz rację – zachwycała się – ten nektar uwzniośli każdą kuchnię świata. Posłuchaj jeszcze, co przygotowuję. To ucztą rodem ze stołów chińskich cesarzy. *T'ang-T'su-Au-Pien* to sałatka, której głównymi składnikami są olej sezamowy, korzenie lotosu i sos sojowy; *Chow Fan* czyli ryż z jajkami, krewetkami, szynką, zielonym groszkiem i cebulą smażoną w oleju arachidowym; *Hasi Tan* - smażone pędy bambusowe podane z kłuskami i orzechami, kaczka po pekińsku, a na deser banany usmażone i zanurzone w lodowatej wodzie, aby były sztywniejsze.

– Królewski jadłospis – pochwalił Harry Shulz, który tak naprawdę wolał kuchnię francuską albo włoską.

– Nie królewski, lecz cesarski! I dzisiejszego wieczoru to ty będziesz cesarzem Chin!

* * *

Jayne rozebrała go sama i skłoniła, by wyciągnął się na łóżku. Chciała odegrać rolę kurtyzany z dawnych cesarskich Chin.

– Palce... – szeptała. – Cała sztuka tkwi w palcach...

Mimo atmosfery rozkoszy panującej w sypialni, z nagą Jayne, czterema świecami o drgających płomykach i zapachem kadzideł, Harry Shulz nie potrafił w tym momencie powstrzymać drżenia. Przypomniawszy sobie zdanie, który Ted Silvers powtarzał w szpitalu: *bez rąk, bez palców...*

Jayne odebrała to drzenie jako efekt jej delikatnego dotyknięcia skóry mężczyzny wyciągniętego na łóżku. Po zakończeniu tego pierwszego stadium zaczęła powolny i podstępny masaż przy pomocy ciepłego, delikatnie pachnącego olejku. Harry Shulz poczuł, jak wszystkie jego mięśnie ulegają odprężeniu, nerwy uspokajają się, serce bije spokojnie. Żadna cząstka jego skóry nie umknęła palcom Jayne.

– Rozsuń nogi – poprosiła na koniec.

Znów zdrzął, ale tym razem nie z powodu słów Teda Silversa wyciągniętych z zakamarków pamięci, ale na skutek subtelnych pieszczot palców Jayne o niezwykłej łagodności. Masaż potrwał dobrą godzinę. Po nim Jayne przystąpiła do kolejnego etapu i zaczęła drażnić jego naskórek ptasimi piórkami pokrytymi meszkiem, wskutek czego czuł, jak krew prawie

zagotowała się w jego ciele. Nie wytrzymał dłużej.

– Chodź! – zarządził. – Ja jestem cesarzem Chin, a ty pokorną kurtyzaną, która musi poddać się wszystkim moim żądaniom.

Triumfując wciągnęła się na niego, szepcząc: – *Kwai'la?*

– Co to znaczy?

– Jesteś szczęśliwy?

– Jestem *Kwai'la*.

Twarde sutki piersi Jayne ślizgały się po jego piersi dokładnie natartej olejkim. Ona także wysmarowała się nim. Ich ciała ocierały się o siebie, jakby chciały wyzwolić się z ucisku, uwolnić się wzajemnie. Celowo i lubieżnie Jayne odsuwała się co jakiś czas i te przerwy najbardziej Harry'ego podniecały. Rozkosz wsączała się weń chyłkiem. Jak złodziej w domu otwartym na przestrzał. Gdy eksplodował, Jayne jęknęła w tym samym momencie. Odnosiła wrażenie, jakby była zawieszona nad wulkanem w erupcji. Pałaca lava trawiła jej brzuch. Czuła, że głowa jej opada znajdując oparcie na szyi Harry'ego.

Ciszę, jaka zapadła na długo, przerwał dopiero Harry pytając zduszonym głosem:

– Czy to są może wnioski z tych wykładów z historii kina, jakie podajesz studentom?... Kwintesencja rozważań o dziewicach, niewinnych, czystych i naiwnych, broniących swej cnoty przed ohydnyimi brutalami?

Jayne błyskawicznie rozwinęła ten dialog we właściwym kierunku:

– Ależ to było w czasach kina niemego, Harry! Masz spore braki, jak widzę! Powinnaś chyba włączyć cię do kolejnych wykładów z tej historii kina...

ROZDZIAŁ XIX

– *Siesen ni*, Jayne*, jak powiedziałby chiński cesarz.

* Dziękuję.

– Za co?

– Za ten chiński wieczór i tę noc, absolutnie boskie.

– Twoje komplementy są wyszukane. – Jayne pochyliła się przed Harrym tak, jak uczyniłaby to pokorna służebnica Niebiańskiego Cesarstwa

przed mandarynem. – A przy okazji, jakie jajka lubisz? Po chińsku, to znaczy zgniłe?

Skrzywił się.

– Niezupełnie. Sadzone albo jajecznicza, z chrupkami owsianymi, kiełbaszkami z grilla i stertą grzanek na dodatek. Sok grapefruitowy i czarna kawa.

– Nie mam dzisiaj wykładu, więc cały czas mamy dla siebie.

Zjedli spokojnie śniadanie i dopiero wtedy Jayne zadała pytanie, które cisnęło się jej na usta od poprzedniego dnia:

– Dlaczego przyjechałeś do mnie, Harry?

Wychylił ostatnią kroplę kawy, po czym rzucił:

– Czy kojarzysz nazwiska dwóch aktorów: William Corfield i Duff Berry?

– Filmowych czy telewizyjnych?

– Tego nie wiem.

– Nie znam ich. Ale zadałam to pytanie, bo wielu aktorów pracuje dla telewizji, szczególnie w Universalu. To jedyna *wielka* firma trzymająca się dobrze od złotych czasów kina. Robią produkcje dla kina i dla telewizji. Po nich dopiero jest Warner. Ale kiedy pokazujesz się w filmie telewizyjnym i nie grasz głównej roli, twoje nazwisko jest jeszcze mniej zauważalne niż w kinie, bo przy napisach końcowych telewidz z niecierpliwością oczekuje następnego programu i rusza wtedy do lodówki po puszkę piwa, aby uniknąć nudy reklam.

– I nie słyszałaś tych nazwisk: William Corfield i Duff Berry?

– Nie, ale to nie oznacza, że nie można ich znaleźć.

– A mogłabyś delikatnie popytać?

– Bez problemu. Mam sporo znajomych w wytwórniach i agencjach. Kilka telefonów, spotkań.

– To zacznij może od telefonów...

Jayne sprzątnęła resztki po śniadaniu i usadowiona wygodnie w fotelu przyciągnęła do siebie stół na kółkach, na którym stał aparat telefoniczny. Harry usiadł naprzeciwko niej i zapalił swojego ulubionego papierosa.

A Jayne cierpliwie wykręcała kolejne numery. Halo! Myron? Witaj, Betty! Cześć, Steve! Gene, to ty? Słuchaj Debbie... Trwało to dobre trzy godziny, a Harry Shulz palił papierosa za papierosem. Wreszcie wykończona Jayne odłożyła słuchawkę.

– *Nada*, jak mówią *Chicanos* – westchnęła.

– A próbowałaś w Centennial? – zapytał.
– Oczywiście. I w Universal, u Warnera, w Paramount, Metro Goldwyn Mayer, N.B.C., u Walta Disneya, w United Artists, Desilu, C.B.S., w Columbii, Twentieth Century Fox i reszcie tych mniej znanych. I w agencjach reprezentujących aktorów też. *Nada de nada*. W żadnej nie znają Williama Corfielda ani Duffa Berry'ego.

– To może spróbujesz na żywo?..
– Mogę. W wytwórniach. Pętają się tam zawsze aktorzy, a szczególnie aktorki, wdzierające się do asystentów reżyserów i do kierowników produkcji w nadziei, że uda im się załapać do jakiejś rólki. Tam mogę poszukać. Podasz mi ich opisy?

Harry Shulz opisał jej wygląd Williama Corfielda, przypominając sobie zwłoki, które włókł w garażu Sylvii Finnegan. Na koniec dodał:

– Ma zniekształconą twarz. Jak spaloną ogniem lub witriolem.

Zadrżała, gdyż pamiętała swoją własną twarz po tym, jak zbiry Zoltana Zeboffa zabawiły się z nią cztery lata temu.

– Biedny chłopak – westchnęła i po chwili zapytała: – To były jakieś porachunki?

– Nie mam pojęcia. Szukam.

Nie było potrzeby ujawniać przed Jayne wszystkich detali tej sprawy. To nie było w jego zwyczaju.

– A ten Duff Berry, jak wygląda? – zapytała.

– Nie znam go. Wiem tylko, że kilka tygodni temu był to żywy trup wożony w fotelu na kółkach.

Przeszedł ją dreszcz.

– Myopatia?

Harry postanowił wykorzystać informację od Sylvii Finnegan:

– Raczej wypadek samochodowy, w który zamieszany był też Wiliam Corfield. To było w Hollywood.

– Trzeba by zerknąć do akt policyjnych. W wydziale wypadków samochodowych.

– Masz tam znajomych? – spytał z nadzieją.

– Niestety nie. Prawdę mówiąc, gliny, a już szczególnie policja stanowa, nie lubią zbytnio wykładawców z uwagi na incydenty, jakie miały miejsce na terenie uczelni w latach ubiegłych. W Berkeley i gdzie indziej.

– Jeśli wypadek samochodowy, którego ofiarami mogli być William

Corfield i Duff Berry, miał miejsce w Hollywood, to nie zajmuje się nim policja stanowa, ale chłopaki z Hollywood. Może tu masz jakiegoś znajomka?

– Nie, niestety. Oni nie interesują się kinem na tyle, aby wdepnąć na moje wykłady. Ile lat ma ten William Corfield?

– Około dwudziestu pięciu.

Harry Shulz był przekonany, że także tu zbędne było ujawnianie, iż ten, którym był zainteresowany, nigdy nie będzie obchodził swych następnych urodzin.

Jayne zmarszczyła brwi.

– Dwadzieścia pięć lat... Więc jest młody... A młodzi aktorzy zapisują się zawsze do jakiejś agencji, aby korzystać z pomocy i doświadczenia impresaria...

– Dzwoniłaś przecież do nich...

– Ale nie do wszystkich, jest ich zbyt wielu!

– To teraz zadzwoń do nich, zobaczymy – powiedział. Kładąc na stole obok aparatu trzy banknoty studolarowe dodał: – Na wyrównanie twojego rachunku telefonicznego.

Dwie godziny później byli wciąż w tym samym miejscu. W żadnej z agencji z Hollywood nie znano ani Wiliama Corfielda, ani Duffa Berry'ego, nie było też ich nazwisk w wykazach.

– Mamy już tylko jedno wyjście – przyznał Harry Shulz. – To, o którym wcześniej wspominałaś. Spotkania i rozmowy ze znajomym}. Trzeba tu poszperać. Wiliam Corfield i Duff Berry mieli zapewne jakieś przyjaciółeczki. Może uda ci się trafić na którąś z nich...

– Wątpię w to – odparła. – Sądząc po ich wyglądzie, jaki mi opisałeś.

– Ale to było *po* wypadku! – zaprotestował. – To od tej pory jeden miał zdeformowaną twarz, a drugi stał się żywym trupem. *Przedtem* musieli być normalni! Dlaczego więc nie mieliby się zabawiać z jakimiś przyjaciółkami, jak każdy?

– Masz rację – przyznała po chwili zastanowienia. – Trzeba spróbować. Jedziesz ze mną?

Potrząsnął głową.

– Wolę zostać tutaj i oczekiwać na ciebie w towarzystwie Taittingera...

– Oszczędzasz się – rzuciła ironicznie.

Zmieniła szlafrok na kostium i już jej nie było.

* * *

Gdy wróciła, zapadał zmrok. Patrząc na jej zmęczoną twarz, Harry Shulz od razu zrozumiał, że nie udało jej się zbyt wiele.

– Pudło – przyznała, ale jakby na pocieszenie zaznaczyła: – Nie zdążyłam jednak dotrzeć do wszystkich. Ale dowiedziałam się czegoś zadziwiającego...

– Czego?

– Czy wiesz, ile jest tutaj potencjalnych aktorów i aktorek?

– Nie.

– Piętnaście tysięcy! – Wyczytała przygnębienie we wzroku Harry'ego Shulza. – Przyciągnęli tu z najbardziej zapadłych kątów pięćdziesięciu stanów. Zupełnie jak w czasach Rudolpha Valentino, Greta Garbo, Gary'ego Coopera i Marilyn Monroe. Niektórzy pracują w drugstorach, jak Lana Turner, nim odkryto jej talent, inni myją samochody lub podają hamburgery. Ale wszyscy noszą buławę w tornistrze. Wciąż męczy ich stary hollywoodzki sen o sławie, mimo iż legendarny *star-system* rozprysł się już dawno na kawałki, a lew Metro Goldwyn Mayer przestał porykiwać...

Harry skrzywił się z obrzydzeniem.

– Nie będzie łatwo odnaleźć ślady Williama Corfielda i Duffa Berry'ego w męskiej populacji tych piętnastu tysięcy.

Ścisnęła mu rękę w geście pocieszenia.

– Wcale nie! Gdyż nie mała ich liczbę już wyeliminowaliśmy dzwoniąc do wytwórni i agencji. Jutro mam cztery godziny wykładów, ale resztę dnia przeznaczę na dalsze poszukiwania!

ROZDZIAŁ XX

Harry Shulz aż podskoczył na dźwięk trzaskających drzwi. Wróciła Jayne. Zgasił telewizor w momencie, gdy Freddy Menendez zdobył sześć punktów dla Giantsów przenosząc piłkę poza linię celu.

Na twarzy młodej kobiety rysował się triumf.

– Odnalazłam ich ślady! – wykrzyknęła, patrząc jak Harry się odpręża. – A wiesz, dlaczego tak trudno było ich namierzyć w wytwórniach i agencjach?

– Dlaczego?

– Bo dawno już zniknęli z miasta. Skreślono ich z wykazów.

– Co jeszcze odkryłaś?

– Przyczynę wypadku, którego stali się ofiarami. Ale najpierw podaj mi kieliszek Taittingera. Umieram z pragnienia, tyle się nabiegałam, że...

– *Blanc de blanc* czy różowy?

– Wszystko jedno, obydwie są tak samo dobre.

Zdjęła buty, rozsiała się wygodnie na sofie, napiła się, przytuliła do oparcia i zaczęła wyjaśniać po kolei:

– To wytwórnia Centennial kręciła ten film. Nie żadną superprodukcję, gdyż od krachu Blumfelda nie ma ona już na to środków. nFilm klasy B. Historia wypełniona aktami przemocy, zatytułowana *Rozróby na całego*. Czterech głównych aktorów to Ken Reilly, Mary Jo Dunes, Garry Gordon i Vince Rodd...

Harry Shulz drgnął.

– To ci, których niedawno zamordowano?

– Właśnie! Nieźle się zaczyna, co?!

– Mów dalej.

– Film był wypełniony różnymi kaskaderskimi wyczynami. Wiesz, o czym mówię? Pościgi samochodowe, zrzucanie z helikoptera, karate, salwy z pistoletów maszynowych, skoki z dachu wieżowca, przeskok samochodem nad zwalonym mostem i podobny repertuar. Normalka w tego rodzaju filmie. Scenariusz jest przeważnie ubogi, więc uzupełnia się jego niedostatki akcją posuniętą wręcz do absurdu. To trzymają widza w napięciu i powoduje, że nie zauważa on, iż historyjka ma wątpliwą treść i jest zupełnie nieprawdopodobna. W pewnym momencie scenariusz wymagał, aby Ken Reilly, Vince Rodd, Mary Jo Dunes i Garry Gordon siedzieli razem w samochodzie, który miał wykonać kilka niebezpiecznych ewolucji i na koniec wylądować na dnie wąwozu. Oczywiście oni sami odmówili kręcenia tej sceny osobiście. A przedstawiciel producenta nie zgadzał się na odwołanie się do zawodowych kaskaderów.

– Dlaczego? – dziwił się Harry Shulz. – Skoro to był typowo kaskaderski film?

– Właśnie dlatego. Jego koszt i tak przekroczył limit. Jak mówiłam, to był film klasy B. Miał ograniczony budżet, jak wszystko, co Centennial robiło po Blumfeldzie. Czasy kręcenia takich hitów jak *Dzień, w którym księżyc zakrył słońce* odeszły w zapomnienie. Czwórka aktorów była jednak nieprzejednana i odmówiła zagrania zarówno przedstawicielowi producenta, jak i reżyserowi. Wówczas ci ostatni znaleźli czworo młodych,

nieznanych aktorów, mogących wyglądać jak Ken Reilly, Vince Rodd, Garry Gordon i Mary Jo Dunes pod warunkiem, że nie przygląda im się z bliska. Ci aktorzy mieli akurat jakieś małe epizody w tym filmie.

- A jak brzmiały ich nazwiska? – niecierpliwił się Harry Shulz.
- William Corfield, Duff Berry, Cathy Ardizzo i Michael Deeland.
- I co było dalej?

– Ta czwórka wcale nie była zachwycona rolą, którą chciano im narzucić. Oni także woleliby skorzystać z usług profesjonalnych kaskaderów, ale nie mieli wyboru. Gdy się jest w Hollywood młodym, nieznanym aktorem, nie można za dużo pyskować ani producentom ani reżyserom, nawet tym z Centennial. Już widzę, jak przekalkulowali sobie to wszystko i doszli do wniosku, że ktoś uwzględni ich dobrą wolę i łatwiej im będzie wkręcić się w lepsze role w przyszłości. Każdy w ich sytuacji rozumowałby tak samo.

– I zajęli miejsca Kena Reilly'ego, Vince'a Rodda, Garry'ego Gordona i Mary Jo Dunes w tym samochodzie?

- Tak.
- I co się stało?

– Reżyser przeliczył się. Wóz roztrzaskał się w wąwozie, ale w sposób nie całkiem zgodny z założeniami. Ken Reilly, Vince Rodd, Mary Jo Dunes i Garry Gordon mogli sobie pogratulować uporu, ale ta czwórka, która zajęła ich miejsca już nie.

- Co się stało z nimi?

– Duff Berry jako jedyny nie uległ poparzeniom z tej prostej przyczyny, że wyrzuciło go na skały. Miał tylko kości pogruchotane jak łupina orzecha rozgniecioną uderzeniem pięści. W tym sensie trójka pozostałych nie ucierpiała, ale mieli pecha, że znaleźli się dokładnie naprzeciwko baku z benzyną, gdy ten wybuchł. William Corfield i Cathy Ardizzo ulegli poparzeniu na twarzy, a Michael Deeland na całym ciele...

Olśnienie ogarnęło umysł Harry'ego Shulza. Mouna to była Cathy Ardizzo! Aby ukryć skutki poparzeń William Corfield nosił kominiarkę, a Cathy Ardizzo zasłonę, jak muzulmanka.

– Zawieziono ich do Glendale Hospital. Tam ich opatrzone, a po wypisaniu stamtąd wszelki ślad po nich zagaśniał...

- Chirurgia plastyczna?
- Kto by za to zapłacił? – zaproponowała Jayne. – Już nie pamiętasz,

ile wydałeś na mnie? Na jakikolwiek gest dobroci ze strony C.P.C, liczyć nie mogli. A żadne z tej czwórki nie miało swoich pieniędzy. Nie zapomnij, że byli to ludzie młodzi, usiłujący się dorobić, żyjący z dnia na dzień. C.P.C, opłaciła koszty szpitalne i wypłaciła im po skromnej sumce, nic więcej. W każdym razie nic takiego, za co mogliby opłacić dobrego chirurga plastycznego.

Wyobraźnia Harry'ego Shulza puściła wodze. Niby przypadkiem Ken Reilly, Vince Rodd, Mary Jo Dunes i Garry Gordon zostali zamordowani. Wszyscy, którzy powinni znaleźć się na miejscu tej poszkodowanej czwórki. Zemsta za tamto? Możliwe. Nawet prawdopodobne. Ale skąd on się wziął w tej śmierzdzącej sprawie?

Były tylko dwa takie elementy, które mogły go jakoś wiązać z tą niewiarygodną historią.

Primo: to Centennial kręciła ów film, a on wykonał kontrakt na osobie Alexa Blumfelda, dawnego szefa tej wytwórni filmowej.

Sekundo: miał kontakt, ale kontakt bardzo luźny, z Tedem Silversem, facetem z podobnie uszkodzoną twarzą.

Dobrze, ale dokąd to prowadziło?

Jeśli Mouną była Cathy Ardizzo, to kartonik z firmowymi zapalkami *U Mike'a Eriksona* stanowił całkiem logiczną więź z Williamem Corfieldem, który z kolei był w kontakcie z Duffem Berry'm, ofiarą działań EXCARAC poprzez Sylwię Finnegan. Czwórka poszkodowanych w wypadku na planie *Rozrób na całego* utrzymywała zapewne kontakty między sobą, przez solidarność, bo dotknęło ich to samo nieszczęście. To wyjaśniało pochodzenie kartonika z zapalkami, pochodzącego zapewne od Corfielda, który pracował *U Mike'a Eriksona*. Ale jednego z tej czwórki tu brakowało: Michaela Deelanda. Co się z nim stało po opuszczeniu Glendale Hospital?

– Miałam szczęście! – ciągnęła Jayne podekscytowanym głosem. – Jedna z moich studentek trochę dorabia, aby opłacić studia, i pogrywa małe role w filmach tu i tam. Każda dziewczyna jak z obrazka może liczyć w wytwórniach na spore fory w stosunku do konkurentek. A ona jest *naprawdę* bardzo ładna. W *Rozróbach na całego* miała się pokazywać przez trzynaście sekund. Największa rola w jej życiu. Była obecna, gdy kręcono scenę z rozbijającym się wozem. Dobrze знаła Cathy Ardizzo.

– Czy widziała się z nią po wypadku?

– Nie zapytałam jej o to. Przecież ty prosisz mnie o odnalezienie

William Corfielda i Duffa Berry'ego, a nie Cathy Ardizzo czy też Michaela Deelanda!

– To prawda – przyznał Harry. – W każdym razie dokonałaś wielkiego wyczynu i jestem ci naprawdę wdzięczny. Powiedz mi tylko, czy mógłbym spotkać się z twoją studentką?

– Dlaczego nie?

– Jak ona się nazywa?

– Virginia Fromm. Będzie jutro na moim wykładzie. Chodź ze mną, to ją spotkasz. Ale uprzedzam cię, ona jest naprawdę bardzo ładna! Nie wyobrażaj sobie, że łatwo ją poderwiesz. Kierownicy produkcji, asystenci reżysera, reżyserzy, producenci, aktorzy, wszyscy próbowali, ale nikomu się nie udało! – zaznaczyła, jakby w zazdrośnym tonie, a po chwili zadała mu jeszcze pytanie, będące wyrazem zrozumiałej kobiecej ciekawości: – Dlaczego interesują cię ci ludzie? Czyżbyś przemienił się w mecenasa dla całego świata i zamierzał im zafundować operacje plastyczne, tak jak mnie?

Odpowiedział jej bez namysłu:

– Co najmniej dwóch z nich już tego nie potrzebuje...

ROZDZIAŁ XXI

– ...W ślad za *Szejkiem* pojawiły się *Szalone żony* Erica von Stroheima, gdzie głównym bohaterem był seksualnie zdegenerowany oficer rosyjski. I począwszy od tego momentu niewinność bohaterki poszła w zapomnienie. W *Synu Szejka* Rudolph Valentino gwałcił bohaterkę, Vilmę Banky, i sytuacja ta była akceptowana przez widzów niemego kina. W *Szkarłatnej literze* Lilian Gish utrzymywała związek pozamałżeński z protestanckim pastorem granym przez Larsa Hansona i urodziła mu dziecko...

Jayne Sterling dyskretnie wskazała Harry'emu, gdzie wśród studentów siedzi Virginia Fromm i od czasu do czasu rzuciła okiem w jej kierunku, aby upewnić się, że wciąż tam jest, i jednocześnie słuchał z zainteresowaniem wykładu prowadzonego przez Jayne. Prawdę mówiąc mało znał się na kinie niemym i poza Rudolphem Valentino nazwiska pozostałych artystów były mu całkiem obce. Miał wrażenie, że odkrywa nowy świat, gdyż

dotąd ten okres kina był według niego pełen niezdarnych kiczów i jeśli przypadkiem oglądał w telewizji stare filmy z Charlie Chaplinem czy Douglasem Fairbanksem, kwitował je jako śmieszne i zastanawiał się, dlaczego aktorzy i aktorki z tamtych czasów odczuwali potrzebę czernienia sobie obwodu oczu. Obecnie, słuchając Jayne, odkrywał subtelności, podskórne warstwy tej epoki w historii kina.

Wykład skończył się i zamiast wyjść z audytorium, jak pozostali studenci, Virginia Fromm nadal grzecznie siedziała na swoim miejscu. Jayne szła przejściem między ławkami, ściskając swoje notatki pod pachą. Mijając Harry'ego szyderczo zrobiła do niego oko i zniknęła w drzwiach. Harry wstał, podszedł do dziewczyny i usiadł na ławce obok niej. Odwróciła ku niemu głowę i uśmiechnęła się. Musiał przyznać, że Jayne nie przesadziła, Virginia Fromm była *naprawdę* ładna.

- Witam! – rzuciła radośnie. – To pan interesuje się Cathy Ardizzo?
- Interesuje mnie raczej William Corfield. Szukam go od dłuższego czasu.

Niczego nie ryzykował mówiąc o Williamie Corfieldzie, a już na pewno nikt nie doszukałby się w tym powiązań ze Sylvia Finnegan. Udało mu się przejrzeć gazety z Nowego Orleanu od czasu jego wyjazdu ze stolicy stanu starorzecza, ale nigdzie nie znalazł wzmianki o zamordowaniu Sylwii przez ludzi z EXCARAC, co oznaczało, że jego telefon do policji pozostał bez echa i że ciało młodej kobiety zostało spopielone, podobnie jak ziemskie szczątki Duffa Berry'ego, Williama Corfielda, Jeffersona Mahlera i Roberta Hageny. Policjant, z którym rozmawiał, nie wziął jego telefonu na serio i sprawa nie nabrała dalszego biegu. Telefony od osób niezrównoważonych były tak liczne, że policja nie reagowała już na nie i ufała wyłącznie własnemu nosowi i własnej ocenie rozeznania.

– William Corfield? Sądziłam, że chodzi o Cathy Ardizzo? – zdziwiła się Virginia Fromm.

Uśmiechnął się tak miło, jak potrafił.

– William Corfield i Cathy Ardizzo, a także Michael Deeland i Duff Berry byli razem w trakcie tego strasznego wypadku. Zdaje się, że pani też to widziała?

- Tak, to było okropne.
- Znała pani tych czworo?
- Miałam małą rolę w *Rozróbach na całego*. Grałam narzeczoną

Vince'a Rodda, którego potem, w tej strasznej scenie zastępował Michael Deeland. Troje z nich poznałam tam, widziałam ich po raz pierwszy. Ale Cathy Ardizzo znałam już wcześniej. Zresztą kilkakrotnie ją odwiedziłam, gdy po wypadku znajdowała się w Glendale Hospital. Kręciliśmy razem kilka drobnych ról.

- Dla Centennial?
- Nie. Dla Universalu i Warnera.

Na pulpicie przed nią leżały zeszyty. Na okładkach dużym, starannym, jeszcze nieco dzieciennym pismem oznaczono tytuły wykładów. Spod jednego z zeszytów wysunęła się kartka, na której naszkicowane były twarze mężczyzn i kobiet, wszystkie z profilu. Widząc, że Harry Shulz zauważył te rysunki, dziewczyna lekko się zaczerwieniła i szybko wsunęła kartkę głębiej pod zeszyt.

- Szkicuje pani kolegów?
- To rozładowuje napięcie. Słuchanie wykładu wymaga ogromnej koncentracji uwagi.
- Wydaje się pani posiadać zmysł obserwacji. Czy mogłaby mi pani opisać Cathy Ardizzo?

Zastanowiła się, poruszając jednocześnie końcem języka między wargami.

- Średniego wzrostu, szczupła, brunetka.
- Czarne oczy o migdałowym wykroju?
- Eee... tak... to chyba dość dobrze oddaje...
- Cera raczej ciemna?
- Była z pochodzenia Włoszką. Z południa.
- Jakież dwadzieścia pięć-trzydzieści lat?
- Dwadzieścia sześć. Jeszcze pamiętam, jak obchodziłyśmy jej urodziny w Glendale Hospital.
- Czy w szpitalu nosiła zastonę?

Virginia Fromm zachnęła się.

- Zastonę?
 - Aby zakryć dół twarzy. Wie pani, jak czarczaf, którym muzułmanki zakrywają dolną połowę twarzy.
 - Ach to! Rozumiem!... Nie...
 - Jak wyglądała jej twarz po wypadku?
- Smutek wystąpił na twarz dziewczyny.
- Okropnie... Zniszczona... Płatanina spalonego, czerwonego ciała.

- Chwileczkę. Czoło, oczy, cała góra twarzy zostały oszczędzone?
- Istotnie! Na szczęście! Oprócz lewej skroni...
- Włosy się spaliły?
- Tak, to było okropne, to... Chciałam powiedzieć, że skóra była odkryta, jakby została oskalpowana z tej jednej strony, podczas, gdy na reszcie głowy zachowały się piękne ciemnobrązowe włosy...

Chustka na głowie plus czarczaf. Mouna-Cathy Ardizzo. Ale co on robi w tej wariackiej historii? To, że interesował się innym poranionym na twarzy? Ale Ted Silvers popełnił samobójstwo, najprawdopodobniej z pomocą swej siostry. Mouna nie była jego siostrą, to pewne. Tego samego dnia pielęgniarka, Carole Weingarten, stała się ofiarą jakiegoś pirata drogowego i także zginęła. Następnie w akcję wkracza Mouna. Strzały w *Galatei*... Śpiewająca Patti Brown... Odkrycie pistoletu w kieszeni Mouny...

Aby przerwać ciszę, która zapanowała między nimi, Virginia Fromm powiedziała:

- Mieszkałyśmy w trójkę przez jakiś czas w mieszkaniu na Willoughby Avenue. Cathy, jeszcze jedna dziewczyna i ja. Ale tamta dziewczyna skłóciła nas i rozstałyśmy się. Szkoda, bo mieszkanie było piękne, a czynsz podzielony na trzy bardziej do przyjęcia. Ale pozostałyśmy z Cathy koleżankami.

- Co ona zrobiła po wyjściu z Glendale Hospital?
- Nie mam pojęcia, więcej jej nie widziałam.
- I żadnych wiadomości od niej też pani nie miała?
- Żadnych.
- Czy przed opuszczeniem szpitala miała jakieś plany?
- W północno-zachodniej części parku, służącej za teren spacerowy, znajdowała się ławka. To na tej ławce spotykali się wszyscy czworo. Dużo rozmawiali o swej przyszłości. To wszystko, co wiem.

- Przez *wszyscy czworo* chce pani powiedzieć: ranni w dniu wypadku łącznie z Cathy?

- Tak. Duff Berry był w najgorszym stanie. Przywozili go tam w fotelu na kółkach. On miał najmniej szans na dalsze normalne życie, był z góry przegrany. William Corfield zawsze pchał jego fotel. On i Duff musieli być kolegami już przed wypadkiem.

- A Michael Deeland?
- Z nich wszystkich on był najbardziej rozgoryczony. Zawsze posepny, milczący, wydawał się ciągle przeżywać swe urazy.

- A Cathy?
- Ona była przepełniona goryczą.
- Czy mówili o zemście?

Poderwała się.

– Wiem, do czego pan zmierza! – zaprotestowała. – Nie sądzi pan chyba, że to oni przyczynili się do śmierci Kena Reilly'ego, Vince'a Rodda, Mary Jo Dunes i Garry'ego Gordona dlatego, że wcześniej zajęli ich miejsca w samochodzie i że ten samochód przez przypadek rozbił się, co dla nich fatalnie się skończyło?

– Ta hipoteza też panią musnęła? – zauważył sarkastycznie.

– To prawda – przyznała po chwili namysłu. – Myślałam o tym, ale tylko przez krótki czas. To było niewiarygodne i wręcz obłądne!

– Kto wie, czy policja w L. A, też o tym nie pomyślała? Na pewno grzebano w przeszłości czworga ofiar. Gliny są twarde w tego rodzaju działaniach. Lubią składać jedno do drugiego, żeby pasowało... Kto wie, czy w tym momencie William Corfield, Duff Berry, Michael Deeland i Cathy Ardizzo nie są poszukiwani przez nich? Oczywiście, nie pisze się o tym w gazetach, żeby ich nie alarmować i nie pozwolić im na ucieczkę. To normalna taktyka policyjna...

– A kim pan jest tak naprawdę? Prywatnym gliną?

– Tak. Pracuję dla pewnego adwokata poszukującego Williama Corfielda w związku z niewielkim spadkiem... – Ten pretekst był co prawda mocno zużyty, jak przyznawał w duchu Harry Shulz, ale na tak młodej osobie jak Virginia Fromm jeszcze się sprawdzał. – Szukam go już dosyć długo. Założyłem, że po wypisaniu z Glendale Hospital wszyscy czworo pozostali ze sobą w kontakcie ze względu na solidarność, jaka ich połączyła w wyniku tego strasznego wypadku. Zatem jeśli odnajdę któregoś z trojga pozostałych, to może doprowadzić mnie to do Williama Corfielda. A pani jest jednym z ogniw tego łańcucha...

– Ale jak mówiłam, nie wiem nic o Cathy od momentu jej wyjścia ze szpitala.

– Rozumiem. A o okresie wcześniejszym? Mówiła pani, że razem mieszkaliście. Musiałyście ze sobą rozmawiać... Czy ona miała jakąś rodzinę?

– Tak, ale przyznam, że nie pamiętam, gdzie mieszkała. Chyba w Nowym Jorku, ale nie jestem pewna.

– A jacyś bliscy przyjaciele w Hollywood? – Widząc, że Virginia

Fromm nagle wydała się strasznie zażenowana, Harry Shulz spróbował jej pomóc: – Któryś z tej czwórki? Michael Deeland? Wiliam Corfield? Duff Berry?

Pokręciła przecząco głową.

– Nie.

– Ktoś inny?

– To dziwna sprawa, nie wiem, czy powinnam o tym mówić. Mam skrupuły...

– Skrupuły dobrze o pani świadczą. Rozumiem, że nie lubi pani mieszać się w prywatne życie innych, ale nie musi mi pani nic mówić o tamtej sprawie. Z tego, co rozumiem, chodzi o jakiegoś mężczyznę, czy tak?

– Tak.

– Więc proszę tylko o nazwisko tego mężczyzny. Poradzę sobie potem...

Zawahała się, z roztargnieniem pogłaskała okładkę jednego ze swoich zeszytów i rzuciła: – Bert Lancaster.

Zesztywniał.

– Ten aktor?

– Nie powiedziałam Burt – sprostowała – lecz Bert.

– Przepraszam. To zabrzmiało tak podobnie... Gdzie mogę go znaleźć?

– Jest konferansjerem w małym lokaliku na Hollywood Boulevard, dokładnie naprzeciwko *Chińskiego Teatryku Sida Graumana*.

– Pewnie dlatego, żeby być bliżej w dniu, w którym zostanie poproszony o odcisk swych rąk i nóg?... – dowcipnie zauważył Harry Shulz.

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

– Wtedy musiałyby tylko przejść przez bulwar, ale nie sądzę, żeby przedstawiono mu kiedykolwiek taką propozycję*.

* Konsekracją gwiazdy jest w Hollywood zaproszenie do uwiecznienia odcisków swych rąk i nóg w świeżo wylanym cemencie przed fasadą *Chińskiego Teatryku Sida Graumana*. Wszystkie znane gwiazdy dostały tego zaszczytu.

– Dlaczego?

– Jeśli pan go spotka, sam pan sprawdzi. Nie do mnie należy oplotkowanie tych, co należą do tej samej drużyny...

– Bert Lancaster to jego prawdziwe nazwisko?

– To nazwisko, pod którym jest znany. Sądzę, że wspólnie z

właścicielem lokalu postawił na zbliżone brzmienie do nazwiska znanego aktora, aby przyciągnąć tłumy turystów tłoczące się przez cały rok na Hollywood Boulevard.

- Jak nazywa się ten lokal?
- *Schody do gwiazd.*
- Dla młodego aktora to niezły początek – skwitował, a ona znowu się roześmiała. – W każdym razie informacje, których mi pani dostarczyła, okazały się bardzo użyteczne, panno Fromm. Gdyby pani jeszcze coś sobie przypomniała o Cathy Ardizzo, proszę przekazać to Jayne Sterling.
- Dobrze – przytaknęła.
- I jeszcze jedno... Jest pani bardzo ładna, ale niepotrzebnie tak pani podkreśla obwódki oczu, jak to robiła Lilian Gish czy też sam Rudolph Valentino. Niech pani lepiej pozostanie naturalna...
- Zawsze robię sobie makijaż i dobieram stroje w zależności od wykładu, na który idę.
- Czy to oznacza, że pani utyje, gdy przyjdzie czas omawiania epoki Mae West i Peters Sisters?!

ROZDZIAŁ XXII

«Zebrali się w olbrzymiej sali konferencyjnej Bazy. Stronę amerykańską reprezentowali tu członkowie Grupy Specjalnej oraz najtęższe mózgi w dziedzinie fizyki jądrowej, astronomii, chemii, biochemii, biologii, elektrodynamiki i astrofizyki. Po stronie Rosjan mniej liczna była może kadra naukowa, ale za to obecni byli trzej generałowie i jeden admirał w towarzystwie pewnej grupy mężczyzn po cywilnemu upoważnionych do podejmowania decyzji politycznych.

Na zewnątrz znaczny oddział Military Police w bezpośredniej bliskości sali konferencyjnej zapewniał tajemnicę obrad. Ponadto wszystkie służby obronne na terenie całej Bazy znajdowały się w stanie najwyższej gotowości. A do tego eskadry ultranowoczesnych myśliwców bez przerwy nadzorowały niebo nad Teksasem. Do minimum należało sprowadzić ryzyko powodzenia akcji jakiegoś szaleńca, który wpadłby na pomysł wykorzystania takiej sytuacji i wykoszenia jednym strzałem trzech czwartych najwybitniejszych umysłów świata.

Przebywali tu już od trzech dni. Każdy z nich przeanalizował poszczególne hipotezy nasuwające się w ramach jego specjalności, konfrontując swe uwagi i wnioski z tymi wysuniętymi przez drugą stronę. Każdy z nich obliczał, dyskutował, a czasami i mędrkował proponując rozwiązania nie zawsze oryginalne, przez co niektórzy ośmieszyli się, ale inni uzyskali jednogłośnie poparcie dla swych propozycji i zebrali pochlebne opinie w oczach innych uczestników.

Wybiła siedemnasta. Na twarzach rysowało się znużenie. Od trzech dni sesje trwały po czternaście godzin z przerwami na skromne posiłki i napoje, wyłącznie bezalkoholowe. A noce sprowadzały się do kilku godzin snu wyrwanego z czasu pracy i dziwnie szybko biegnącego w klimatyzowanych pokojach Bazy.

Przez kurtuazję Amerykanie pozwolili teraz, by rosyjski rzecznik zabrał głos jako pierwszy. Był to typ olbrzyma o twarzy usianej żyłkami na skutek nadużywania wódki. Dźwięcznym głosem rozpoczął od pochwały Stanów Zjednoczonych Ameryki:

– Niezależnie od poważnych kwestii, jakie nas wszystkich zgromadziły tutaj, chciałbym w imieniu rosyjskich naukowców obecnych na tej sali, podziękować wam, obywatelom Stanów Zjednoczonych Ameryki, za organizację tego porozumienia między naszymi krajami i tym samym otwarcie nowej ery we współpracy naukowej. Współpraca ta powinna doprowadzić do ustalenia pokoju światowego - dzieła, którego realizację my od dziesięcioleci staramy się przyspieszyć. – Po tej preambule przeszedł do głównej kwestii: – Nie będę podkreślał odpowiedzialności, która w tej sprawie spada właśnie na Stany Zjednoczone. Należy podjąć wszelkie środki ostrożności, by uniknąć od tej pory pożałowania godnych incydentów, jakie miały miejsce w przeszłości. Nie będę tu, rzecz jasna, rozwodził się na ten temat, ale muszę jednak zauważyć, że gdyby nie nasze służby informacyjne, które szczęśliwie zdołały na czas naprawić...

Uśmiechy, które wykwitły na twarzach Amerykanów w trakcie preambuły rosyjskiego rzecznika, znikły przy tej ostrej krytyce.

«Policzymy się jeszcze, stary – w duchu skwitował te słowa dyrektor CIA. – Niech tylko nadarzy się okazja...»

Tommy Harwood był zafascynowany. Umieścił przed zainstalowaną w komputerze kamerą tę powieść z gatunku *political fiction* otwartą na pierwszej z brzegu stronie. Egzemplarz książki zamocowany był na pulpicie

znajdującym się na końcu metalowego wysięgnika wysuniętego z komputera. I komputer czytał tekst spokojnym głosem, przyjemnie go modulując, z lekko bostońskim akcentem, tak jak powinno się mówić*, z odpowiednio ustawioną siłą głosu. Jego pamięć miała trzy wiersze wyprzedzenia w stosunku do końca tekstu na prawej stronie tak, iż ta ostatnia była automatycznie przewracana, gdy tylko wypowiedziane zostało ostatnie słowo z wiersza odległego o dwa wiersze od końca strony.

* W USA akcent z Bostonu uznawany jest przez snobów za *nec plus ultra*.

Głos lektora był może nieco beżpłciowy, ale zrobiono to celowo. Ze względu na równość płci. Oczywiście, na początku to złościło. Chciało się, aby głos był bardziej męski, bardziej energiczny przy takiej lekturze, gdy Rosjanie i Amerykanie stawali oko w oko w przedsięwzięciu wręcz na skalę międzyplanetarną!

Jednak mimo wszystko – przyznał w myślach Tommy Harwood – było to przyjemne. Wystarczyło wybrać książkę, umieścić ją na pulpicie, włączyć komputer i wygodnie wyciągniętym na sofie, z półprzymkniętymi powiekami, wysłuchać ostatniego bestsellera.

Wszystko polegało na tym, że czytnik optyczny odczytywał zapis tekstu i przekazywał go do programu, który dokonywał w oszałamiającym tempie jego analizy i przenosił go do bloku zawierającego wszelkie zwroty używane w angielskim, łącznie z wyrazami obcojęzycznymi. A program ten odtwarzał poszczególne słowa słuchaczowi.

Pierwotnie wszystkie słowa zebrane w programie zostały nagrane przez aktorów i aktorki o perfekcyjnej dykcji, a następnie poddano je sortowaniu i przepuszczono przez mieszacz, w wyniku czego na wyjściu objawiły się jako dźwięki odtwarzane przez ów beżpłciowy głos.

Tommy'ego Harwooda w tym wszystkim niepokoiło tylko jedno: czy na dłuższą metę ten głos nie stanie się usypiający?

On w każdym razie ziewał...

* * *

Jayne Sterling rzuciła Harry'emu przygnębione spojrzenie.

– Miałaś rację – szepnęła mu na ucho – I Virginia Fromm też. Bert Lancaster naprawdę nie musi się martwić, czy zdąży przebiec kiedyś Hollywood Boulevard, by wykonać odciski swych rąk i nóg w świeżym cemencie przed *Chińskim Teatrzykiem Sida Graumana*. A już te afisze przy wejściu!...

To była aluzja do tablic przy wejściu z informacją, że program prowadzi tu Bert Lancaster, ale jakby niechcący *e* w imieniu Bert było naddarte i zastąpione dziurą, co pozwalało domyślać się wszystkiego. Skądinąd cały program był debilowaty. Jakiś gwiazdor z gitarą bardzo słabo przyswoił sobie Boba Dylana, numer w stylu retro mający imitować Andrews Sisters był żenujący, a z tancerza uważającego się za następcę Freda Astaire'a pot spływał wielkimi kroplami w trakcie mozolnej próby wskrzeszenia starego boogie-woogie *Chattanooga Shoo Shoo*. Na domiar złego whisky miała zapach ropy, a jej cena nie ustępowała prawie baryłce tego surowca.

Dzięki okazałemu napiwkowi wsuniętemu we właściwe ręce Harry Shulz zapewnił sobie spotkanie z Bertem Lancasterem po zakończeniu programu, który był przynajmniej na tyle przyzwoity, że kończył się tuż po północy.

Gdy wybrzmiał ostatni mętny dowcip skierowany przez konferansjera do grupy farmerów ze Środkowego Zachodu będących z wycieczką w Hollywood, Harry Shulz rzucił do Jayne głosem łagodnym, lecz nie znoszącym sprzeciwu: – Poczekaj na mnie w samochodzie.

Jayne Sterling bez zbędnych słów ulotniła się od stolika, a już chwilę później zjawił się Bert Lancaster. Był to wysoki i przystojny chłopak o ciemnobrązowych, kręconych włosach, niebieskich, zbyt blisko rozstawionych oczach, zmysłowych ustach i kwadratowym podbródku, jak twardej z westernów. Choć raczej z gatunku tych sympatycznych. Uśmiechał się trochę zbyt handlowo. Mam nadzieję, że on nie sądzi, iż jestem impresariem, producentem filmowym albo łowcą talentów! – przemknęło przez myśl Harry'emu Shulzowi.

Tamten odsunął krzesło i usiadł.

– To pan chciał się ze mną zobaczyć?

– Tak. Nazywam się Peter Yale. Poszukuję faceta, który nazywa się William Corfield. Znajdował się w samochodzie w towarzystwie Cathy Ardizzo w czasie kręcenia filmu *Rozróby na całego*. Oboje ulegli wtedy wypadkowi na planie, podobnie jak dwaj inni aktorzy. Virginia Fromm, koleżanka Cathy Ardizzo, powiedziała mi, że znał pan tę ostatnią. Tak się składa, że dla pewnego adwokata prowadzę tę sprawę. Chodzi o niewielki spadek, którego beneficjentem miałby być William Corfield. Nie mogę tego gościa zlokalizować. Ulotnił się, zaginął... Mam jednak pewną teorię. Wszystkie cztery ofiary tego wypadku podczas kręcenia *Rozrób na całego* pozostały potem w kontakcie. A zatem, jeśli odzyskam któreś z trojga,

doprowadzi mnie to do Corfielida. Oczywiście, mimo iż spadek jest niewielki, obejmuje on nagrody dla tych, którzy dostarczą informacji mogących umiejscowić beneficjenta.

Lancaster nadstawił ucha: – Nagrody, mówi pan?

– Powiedzmy dwieście dolarów, jeśli pana informacje pozwolą mi odzyskać Cathy Ardizzo. Jestem pewien, że ona wie, gdzie teraz przebywa Corfield.

Konferansjer napuszył się.

– Jestem do pana usług.

– Naprawdę?

Wokół nich kelnerzy krzatali się, sprząтали ze stolików, zamiatali, odkurzali.

– Możemy przysiadzimy tam, na estradzie – zaproponował Lancaster. – Dajmy im wykonać ich robotę, bo inaczej potem mnie ochrzanią...

Harry Shulz ruszył za nim. Gdy usiedli, konferansjer zaczął mówić: – Pan wie, że wydarzyła mi się z Cathy dziwna rzecz?

– Co takiego?

– Ona była ze mną w ciąży, ale nie byliśmy małżeństwem. Chciała dokonać aborcji, a ja wolałem, żeby urodziła to dziecko. Sam nie wiem dlaczego, ale czułem się odpowiedzialny za to życie, które już zaczęło się w brzuchu Cathy. Wiem, że to raczej nietypowe. Zwykle to faceci chcą się pozbyć dzieciaka, a dziewczyny chciałyby je urodzić. U mnie było inaczej. Paradoksalne, prawda?

Harry Shulz lekko się uśmiechnął.

– Powiedzmy, że należy pan do mniejszości.

– Do *bardzo nikłej* mniejszości, trzeba zaznaczyć! Ale nie w tym problem. Cathy nie chciała słyszeć o dziecku. I oczywiście nie było mowy o małżeństwie. Tego żadne z nas tego nie chciało. Ze względu na naszą karierę! – Wypiął pierś przed siebie przy tych słowach. – Mam przed sobą przyszłość. I wie pan, co zrobiłem wobec odmowy Cathy? Włączyłem w to sąd!

Harry Shulz spojrział na niego w osłupieniu.

– W jakim celu? – zapytał głosem zachrypłym ze zdziwienia.

– Aby zmusić Cathy do zachowania dziecka, oczywiście! Do kogo należy płód? Wyłącznie do matki, która go nosi w swym brzuchu, czy do obojga rodziców? Mój adwokat był wniebowzięty, że może prowadzić tę sprawę! Zgłosił ją bezpośrednio do Sądu Najwyższego Stanu Kalifornia

ze względu na jej pilność, gdyż Cathy chciała dokonać aborcji jak najszybciej. Nawet już umówiła się na wizytę!

– I jakie było orzeczenie Sądu Najwyższego? – zaciekał się Harry Shulz.

– Znalazł się wobec prawdziwego mętlika prawniczego. Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych, nie ten z Kalifornii, przyznał w przeszłości kobiecie bezwzględne prawo do decydowania samej, czy chce dokonać aborcji w czasie pierwszych dwunastu tygodni ciąży, z wyjątkiem przypadku sprzeciwu władz sądowych lub medycznych. W tej decyzji nie ma ani słowa o prawach ojca, przecież współwłaściciela embriona, który wytworzył swym nasieniem. Mój adwokat oparł się więc na tym, że w decyzji Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych istniało to zastrzeżenie: z *wyjątkiem przypadku sprzeciwu władz sądowych lub medycznych*. Twierdził, że Sąd Najwyższy Kalifornii, jako władza sądowa, ma z prawnego punktu widzenia prawo sprzeciwienia się aborcji w celu ochrony własności obywatela Kalifornii, w tym przypadku mnie. Ale Sąd Najwyższy Kalifornii nie miał odwagi zdecydować natychmiast. Chciał dać sobie czas do namysłu. A cały czas wisiał ten miecz Damoklesa nad być czy nie być płodu. Okres zgodny z prawem, w trakcie którego Cathy miała prawo zdecydowania się na aborcję, wynosił dwanaście tygodni, a sześć tygodni już upłynęło, więc Sąd Najwyższy nakazał Cathy odroczenie wszelkiej aborcji na okres czterech tygodni. Orzeczenie miało nastąpić po tym okresie. Dwa tygodnie później nastąpił jednak ten słynny wypadek przy *Rozróbach na całego* i Cathy miała pretekst, że ten wypadek spowodował poronienie. Ale ja jej nie uwierzyłem i spowodowałem przeprowadzenie dochodzenia w Glendale Hospital. Przy poronieniu musi mieć miejsce interwencja lekarska, a u Cathy niczego takiego nie dokonano w trakcie jej hospitalizacji po wypadku.

– Co oznacza, że nie podporządkowała się nakazowi Sądu Najwyższego Kalifornii i że dokonała aborcji potajemnie, zapewne w innym stanie. Na przykład w Las Vegas? – zasugerował Harry Shulz.

– Właśnie! Byłem wściekły!

– I co pan zrobił?

– Opieprzyłem ją, ale nie miało to już żadnego znaczenia! Płodu przecież nie uratowałem! Potem przemyślałem sprawę, uspokoiłem się jakoś. Cathy przechodziła trudny okres. Jej twarz była zniekształcona. Nie chciałem przygniatać jej tą historią. Pocięczałem się myślą, że zawsze mogę

zrobić dziecko innej dziewczynie, która zgodzi się je urodzić. Ale mimo wszystko współczułem Cathy. Chodziłem ją odwiedzać w Glendale. Staralem się poprawić jej nastrój, dawałem jej trochę forsy... Pewnego dnia przychodzę, ona siedzi na ławce na podwórku spacerowym, na tej samej gdzie zawsze siadywała z trójką pozostałych z tego wypadku, w tym z pańskim Corfieldem. Tylko, że w tym dniu tamtych nie było, oprócz jednego. Michaela Deelanda. Faceta, który nie bardzo mi się podobał. Nigdy nic nie mówił. Tak jakby przeżywał jakąś zemstę w sobie, raczej antypatyczny typ... Ale Cathy i Deeland nie byli sami. Była też inna kobieta. Wyglądała mi na taki fałszywy typ, ale raczej ładniutka. Około trzydziestki...

Harry Shulz położył pierwszy banknot studolarowy na deskach estrady. Opis Berta Lancastera przykuł jego uwagę i uznał, że wart jest pewnej zapłaty. Konferansjer szybko go zgarnął.

- Dzięki. Pan przynajmniej potrafi rozpoznać prawdziwy talent!
- Przy okazji: Bert Lancaster, to pana prawdziwe nazwisko?

Tamten wybuchnął śmiechem.

- Ależ skądże! Urodziłem się jako Stanisław Szmeteriołowski. Nie do wymówienia tutaj.

- Wróćmy do tej kobiety towarzyszącej Cathy i Deelandowi, czy mogłby mi pan podać dokładniejszy jej opis?

- Jasne! Brunetka, szczupła, cera matowa jak Cathy... Tak, rzeczywiście, obie były dosyć do siebie podobne. Po zastanowieniu...

- Sądzi pan, że ta kobieta mogła być siostrą Cathy?

- Cathy nie ma siostry – odparł kategorycznie Lancaster. – Żonaty brat w New Jersey i rodzice mieszkający na północy stanu Nowy Jork, blisko granicy kanadyjskiej. Jej ojciec jest strażnikiem w więzieniu w Danemora. Jej dziadek także był tam strażnikiem i podobno pilnował samego Lucky Luciano, nim wypuszczono go na tymczasową wolność po to, by wspomagał aliantów w lądowaniu na Sycylii w 1943... Ale rozpraszam się. Wracajmy do tej kobiety. Siedziała tam z Cathy i Deelandem i patrzyła na mnie spode łba. Wie pan, tak jak ktoś, kto stara się dać do zrozumienia, że jest się niepożądanym. I wie pan co się okazało, po co tam była? Miała rzekomo pomagać Cathy i Deelandowi w zmianie zawodu. Wyobraża pan sobie coś takiego? Rodzaj asystentki socjalnej, tyle tylko, że zupełnie nie wyglądała na taką. Zbyt dystygowana i za dobrze ubrana. Pomyślałem, że może robi w filmie, ale Cathy mówiła, że nie. Naprawdę poczułem się tam

zbędny. Cathy wyglądała na zażenowaną. Nikt nic nie mówił oprócz mnie. W końcu miałem tego dosyć, zmyłem się. Co pan by zrobił na moim miejscu? Tyle, że byłem zaintrygowany. I to poważnie! Przyczałem się więc niedaleko Glendale i czekam, aż ta kobieta wyjdzie...

– Sekundę – przerwał mu Harry Shulz. – Czy Cathy jej panu nie przedstawiła? Nie wymieniła jej imienia?

– Tak było. I to właśnie wydawało mi się dziwne. Wie pan, jak to jest: Bert, przedstawiam ci Barbarę, to Bert Lancaster; a tu nic z tych rzeczy. Ciekawe... Wreszcie widzę, jak wychodzi. Wsiada do wozu i zasuwa prosto na lotnisko. Tam zgłasza się na lot do Bostonu linią Eastern Airlines i gdy podaje nazwisko do sprawdzenia na liście pasażerów, pracownik głośno wymienia je. Ja byłem kilka kroków z tyłu, zasłonięty przez pasażerów stojących za nią. Nazywała się Sandra Kentz...

Sandro, dzwoniłem do ciebie, nikt nie odpowiadał... Musiałem zadzwonić gdzie indziej, poprosić, aby policja mi pomogła... Nie obciążajcie mnie odpowiedzialnością za to, co się dzieje... Bez rąk, bez palców będzie żyć beze mnie... Rozumiem, że coś poważnego się stało, ale Sandro, kontynuuj beze mnie, bez rąk, bez palców i pozostaw mnie samo na sam z moją nocą...

– *Gdzie jest Sandra?*

– *Przyjdzie.*

– *Niech się pośpieszy!*

– *Powiem jej to.*

– *Dlaczego jeszcze nie przyszła?*

– *Nie pozwolono jej.*

– *Sandra musi przyjść jak najszybciej. Niech gra beze mnie bez rąk, bez palców... Nie mogę być dłużej w grze...*

(Panoramiczne ujęcie na drzwi pokoju. Zbliżenie na nadchodzącą) Średniego wzrostu. Szczupła i dobrze zbudowana. Duże ciemne oczy o wykroju migdałowym wypełniają górę twarzy. Krucze włosy. Cera matowa. Wiek najwyżej trzydzieści lat. Ubrana w stylu klasycznym, neutralnym, pasującym wszędzie, w dobrym guście. Lekko umalowana. Jej oczy są podejrzliwe.

– *Kim pan jest?*

– *Znajomym Teda Silversa. Przyszedłem udzielić mu wsparcia, ale obawiam się, że to na nic. On bredzi.*

– *Pańskie nazwisko?*
– *Jake Mahone... Czy pani jest Sandra?*
– *Dlaczego zadaje mi pan to pytanie?*
– *Jeśli pani jest Sandra, to dużo o pani mówił.*
– *Naprawdę?... Bardzo panu dziękuję za zainteresowanie losem mojego bratu, panie Mahone. Intencja pańska była szlachetna, ale nie będziemy potrzebować pańskich pieniędzy...*

– *Panna Carole Weingarten zakończyła swój dyżur wieczorem jak zwykle. Mieszkała w Yonkers, jak pan na pewno wie i zawsze jeździła metrem. Wsiadła na końcowej stacji Van Cortlandt Park, i miała się prześiąść do swego wozu, który zostawiała tam na parkingu i to tam właśnie, przechodząc przez ulicę tuż po wyjściu ze stacji metra, jakiś pirat drogowy... Tak, to było tego samego dnia, kiedy Ted Silvers popełnił samobójstwo...*

Bert Lancaster zachnął się.

– Pan mnie słucha, czy już nie? – zapytał.
– Słucham. Zatem ta kobieta nazywała się Sandra Kentz?
– To nazwisko rzucił pracownik przy pulpicie. Wie pan, o czym mówię? *Pani Sandra Kentz... eee., popatrzmy... tak, proszę... strona dla palących czy dla niepalących, pani Kentz?*

– Rozumiem – Harry Shulz zdawał się niecierpliwić. – Zatem poleciała lotem Eastern do Bostonu, i co dalej?

– To wszystko, jeśli o nią chodzi. Następnego dnia idę do Cathy. Rozumie pan, ponieważ pracuję wieczorem, mam sporo czasu w dzień. Staram się ją przycisnąć, żeby zorientować się, o co tu chodzi, co to za zmiana zawodu, jaką jej proponują. Nic z tego. Nie można wyciągnąć z niej choćby jednego słowa. Wie pan, jakby grochem o ścianę. Pewnie, ta historia z aborcją trochę nas rozdzieliła, ale żeby tak... W tym momencie pojawia się Michael Deeland, aby się pożegnać z Cathy. Ona prosi mnie, żebym się odsunął. Staję z boku, a oni coś szepczą. Deeland odchodzi. Cathy mówi, że jest zmęczona, że musi pójść na zastrzyk i znika. Ja też. Wracam do Glendale dwa dni później i czego się dowiaduję? Cathy poprosiła, żeby ją wypisano ze szpitala. Ulotniła się. Pędzę do niej na Moorpark Street. Wymówiła lokal, zapłaciła zaległy czynsz, a swoje meble i inne rzeczy kazała wysłać do przechowalni mebli. Coś mnie wtedy jakby tknęło. Jadę na lotnisko, zaczynam

od Eastern i przepytuję linie lotnicze pod pretekstem, że Cathy jest lekko szurnięta i że porzuciła dom i dzieci. I prawie, że od razu trafiam! W American Airlines. Wie pan, co zrobiła?

– Poleciała do Bostonu – odparł szybko Harry Shulz, zaskoczony, że ktoś mu stawia takie zagadki.

– Właśnie. Ale najbardziej niezwykle jest to, że Cathy nie cierpiała samolotów. Bała się. Była przesądna. Kiedyś opowiadała mi, że jej najlepsza przyjaciółka z lat dziecińczych rozbiła się w samolocie gdzieś niedaleko Atlanty. Kiedy Cathy przybyła tutaj z Nowego Jorku, to przyjechała koleją.

– Wszystko ładnie brzmi – zauważył kwaśno Harry Shulz – ale co dalej? Poleciała do Bostonu i...

– To wszystko, człowieku. Ona jest w Bostonie. Przecież nie polecę tam, aby jej szukać! Nie mam forsy na wyrzucenie. A nawet gdyby, to co by mi to dało? To, czego chciałem, to dziewczyny, która dałaby mi dziecko, to wszystko. A u Cathy to nie wchodziło w rachubę. Jeśli się nią interesowałem, gdy była w Glendale, to z uwagi na to, co jej się przydarzyło, pamiętając o miłych chwilach, które jednak spędziliśmy razem. To wszystko. Przecież po tym wypadku nie mogła już liczyć na zrobienie kariery w filmie!

- I od tego czasu nie miał pan od niej żadnych wiadomości?

– Żadnych. Zaczynają gasić światła. Lepiej będzie, jak się upłynniemy...

Harry Shulz położył na deskach estrady drugi banknot studolarowy.

– Porządny z pana gość – rzucił mu Lancaster na odchodnym.

Harry Shulz opuścił lokal żegnany mało sympatycznymi spojrzeniami personelu i podszedł do samochodu, w którym czekała Jayne.

– Czy to ja mam na ciebie taki wpływ? – poskarżyła się.

– Dlaczego?

– Tak długo to trwało, że zaczęłam się zastanawiać, czy nie powtarzasz temu biednemu facetowi moich wykładów o niemym kinie!

– Czy jesteś przesądna? – zapytał Harry, gdy ruszyła.

– Na pewno nie, nie znajdziesz raczej nikogo stąpającego bliżej ziemi, bardziej pragmatycznego niż ja. Osiągnęłam już wiek rozsądku...

– Irvin Shaw napisał taką nowelę, ale jej wydźwięk jest przeciwny do twojej tezy.

– W jakim sensie?

– To historia pewnego faceta, materialisty, pragmatyka, bez przesądów, racjonalisty, którego pracodawcy z Nowego Jorku przenoszą do Kalifornii. On znajduje tam mieszkanie i prosi swoją żonę, aby do niego przyjechała. Ale jest akurat sezon wakacyjny i wszystkie loty w kierunku Kalifornii mają komplety pasażerów. Żadnych szans na znalezienie wolnego miejsca. W międzyczasie facetowi śni się, że jego siostra ginie w wypadku samolotowym i, co ważne, miało to być 14, lipca. Ale po przebudzeniu śmiał się z tego. Nie był przesądny, więc nie przywiązywał do tego snu żadnego znaczenia. I oto jego żona dzwoni do niego z Nowego Jorku i mówi, że znalazła miejsce w samolocie na lot 14, lipca. Facet się cieszy i następnej nocy znowu mu się śni, że jego siostra umiera 14, lipca. Po przebudzeniu jest lekko zaniepokojony. Dokonuje porównania daty podróży swej żony i tej ze snu. Ale strofuje sam siebie. Nie będzie przecież wierzył w takie historie! Nie on! Przyjaciele, koledzy wyśmialiby go, nawet jego żona śmiałaby się z niego! A poza tym we śnie chodzi nie o żonę, a o siostrę. Nie ma to więc nic wspólnego. I spokojnie idzie do biura. Ale w czasie przerwy obiadowej przypomina sobie, że gdy opuszczał Nowy Jork, jego żona i jego siostra odprowadzały go na lotnisko Kennedy'ego, że były ubrane w takie same płaszcze, obie blondynki, na głowach miały takie same czapeczki i gdy będąc już w tłumie pasażerów czekających przy wyjściu do samolotu obrócił się, aby pomachać im z daleka, nie mógł ich rozróżnić. I nagle ogarnia go niepokój. Czyżby we śnie wziął swą żonę za swoją siostrę? Ale rozsądek mówi mu swoje. Przecież nie odpukuje w niemalowane drewno, na ulicy nie nadrabia drogi, aby nie przejść pod drabiną, nie każe sobie czytać z linii dłoni ani stawiać horoskopu z kart, dlatego więc ma przywiązywać wagę do jakiegoś snu? Ale mimo tego wszystkiego, niepostrzeżenie rodzi się w nim wątpliwość. Postanawia zmniejszyć ryzyko. Dzwoni do żony prosząc ją, aby przesunęła termin podróży na dzień wcześniej albo później. To niemożliwe, słyszy w odpowiedzi, wszystkie loty mają komplety pasażerów. Jej udało się jakoś wybłagać to jedno miejsce na dzień przed zmianą turnusów, bo inaczej czekałaby pewnie na koniec sierpnia. On naciska. Ona płacze, mówi mu, że już nie może bez niego wytrzymać, że nudzi się sama w Nowym Jorku, że wszystkie rzeczy zostały już spakowane, że kategorycznie odmawia tej prośbie. On poddaje się. W nocy 13, lipca śni mu się to samo, ale tym razem obraz jest bardziej wyraźny. To już nie jego siostra, ale żona. Budzi się o świcie, pędzi do

telefonu i wywołuje lotnisko Kennedy'ego w Nowym Jorku, ale samolot, w którym jego żona zajęła miejsce, właśnie wystartował. Więc czeka i kilka godzin później dzwoni telefon. To linia lotnicza informuje go, że samolot miał wypadek...

Jayne odchrząknęła.

– Nie mógłbyś znaleźć czegoś weselszego na zakończenie tego dnia? Co za wieczór! Najpierw ten nudny Bert Lancaster, a teraz ta koszmarna historia! A ty nie jesteś przesądny?

– Jasne, że jestem! Szczególnie, gdy gram w pokera! Jeśli w pierwszym rozdaniu, które dostaję, jest więcej kart czarnych niż czerwonych, to oznacza, że partia jest przegrana z góry! – odparł i dalej drążył temat: – Twoim zdaniem, co zrobiłby ktoś, kto jest przesądny, boi się podróżować samolotem, a mimo wszystko zmuszony jest polecieć?

– Jeśli jest wierzący, pójdzie pomodlić się w kościele.

– A poza modlitwami?

– Skąd mogę wiedzieć – zripostowała – skoro ja *nie jestem* przesądna!

ROZDZIAŁ XXIII

Harry Shulz odszukał wzrokiem okienko American Airlines i wolnym krokiem podszedł tam, po drodze wymijając grupy spieszących się podróżnych. Po prawej stronie była waga bagażowa, a po lewej stał automat z polisami ubezpieczeniowymi. Wielka maszyna przypominająca szafę grającą. Na blacie automatu leżały formularze w czterech egzemplarzach. Harry sięgnął po jeden z nich. Polisa obejmowała ubezpieczenie jednorazowe. Na ten lot, którym pasażer zamierza podróżować. Wystarczyło wypełnić poszczególne rubryki. Na blacie leżały cztery długopisy, przymocowane łańcuszkiem do metalowego uchwytu blatu. *Nazwisko, imię; data i miejsce urodzenia; żonaty /mężatka, wolny, rozwiedziony, wdowiec; zawód; adres: ulica, numer domu, numer mieszkania, miasto, hrabstwo, stan; lot numer:...; linia lotnicza:...; miejsce przeznaczenia:...; miejsce startu:...; kwota ubezpieczenia:...; beneficjent: nazwisko, imię, adres, pokrewieństwo z zawierającym polisę. Podpis. Płatność: gotówką, czekiem bankowym, czekiem podróżnym, kartą kredytową.*

Cofnął się o krok i popatrzył na automat. Zauważył przyciski i wpusty. W jeden z nich wprowadzało się wypełniony formularz, a z innego wychodziły dwie kopie dla podpisującego polisę. Jedną z nich zachowywał dla siebie, druga miała być wysyłana do beneficjenta polisy w załączonej kopercie. Wystarczyło wpisać adres. Załączony druczek podawał kwotę do zapłacenia w zależności od wielkości ewentualnej wypłaty. Na automacie wypukłymi posrebrzаныmi literami lśnił napis: *Prudential Gibson Underwriters*.

Harry Shulz odszukał książkę telefoniczną, odnalazł w niej adres towarzystwa ubezpieczeniowego i wrócił do swojego wozu stojącego na parkingu lotniska na Aviation Boulevard.

Biura Prudential Gibson Underwriters mieściły się w ogromnym wieżowcu Bank of America pod numerem 650 na South Spring Street. Recepcjonistka miała mleczną cerę, okrągłą twarz i skośne oczy Japonki. Na Zachodnim Wybrzeżu liczni byli potomkowie japońskich imigrantów.

– Czym mogę panu służyć? – zapytała uprzejmie.

– Nazywam się Peter Yale. Z polecenia notariusza szukam Cathy Ardizzo. Chodzi o jakiś mały spadek, którego jest beneficjentką – zaczął Harry Shulz uznając, że stary numer jest najlepszy. Wystarczyło zmienić tylko dane głównej postaci. – Okazało się, że odnalezienie jej to nie taka prosta sprawa. Podobno jest w Bostonie. Dysponuję jednak pewnym elementem... Zawarła ona z waszym towarzystwem polisę ubezpieczeniową na życie na przelot Los Angeles-Boston linią American Airlines. Gdybym znał nazwisko beneficjenta, to istnieje szansa, że trafiłbym i na nią. Wtedy mogłaby odebrać należny jej spadek, a ja miałbym sprawę z głowy...

Szeroki uśmiech rozjaśnił twarz recepcjonistki:

– No no, ale ma pan fajny zawód! Jestem pewna, że klienci, których pan odnajduje, okazują panu swą wdzięczność! Musi pan dostawać sporo napiwków!

Harry Shulz natychmiast zrozumiał sugestię i nieskrywaną aluzję.

– Oczywiście – dodał słodkim głosem – notariusz upoważnił mnie do zrekompensowania dobrej woli...

– Pański notariusz zna życie. A jeśli pan jej nie odnajdzie, co stanie się z pieniędzmi? Czy dostaną je te osoby, które nabiedziły się przy jej poszukiwaniach?

– Zapytam o to notariusza przy okazji...

– Zobaczą, co możemy dla pana zrobić, panie Yale. Mam nadzieję, że nie zdarzyło się to dawniej niż pięć lat temu. Nie archiwizujemy starszych dokumentów...

Harry Shulz dokonał rozstawienia swych figur. Król, hetman, dwie wieże, dwa gońce, dwa skoczki i osiem pionków stało na właściwych polach. Teraz należało czekać. Jego blef zadziałał. Ale czy jego hipoteza jest prawdziwa? Czy Cathy Ardizzo zareagowała tak, jak przewidywał? Jaka jest reakcja osoby przesądnej, chcącej przebłagać zły los? Jak zareagowałby on sam w takich okolicznościach?...

* * *

- To Michael Deeland.
- Dlaczego właśnie on? – zapytała Jayne.
- Bo został ranny w tym samym wypadku, co ona.

Harry Shulz w skrócie opisał jej już całą historię, pomijając wszelkie niewygodne szczegóły. W ten sposób częściowo zaspokoił ciekawość Jayne, nie wprowadzając jej przy tym w zawilości całej sprawy. W końcu od tak długiego czasu wykorzystywał ją, że był jej winien to minimum wyjaśnień.

– To jasne – kontynuował. – Typowa reakcja kogoś przesądnego i chcącego przebłagać zły los. Wykupić polisę ubezpieczeniową, to tak jakby odpukać w niemalowane drewno, albo przeżegnać się. To oznacza, że pomyślało się, iż śmierć może nadejść. A pomyśleć o śmierci, to już zmierzyć się z nią, mniej się jej bać, oczywiście nie w tym stopniu, aby podporządkować sobie samo pojęcie, ale aby ją akceptować, stawić jej czoła. I zawarcie polisy ubezpieczeniowej daje wrażenie, że dokonuje się na jej podstawie pewnego zakładu...

- Istotnie, to reakcja oczyszczająca – zgodziła się Jayne.
- A dlaczego beneficjentem został Michael Deeland? Dlaczego nie jej rodzice czy brat? Bo on potrzebuje pieniędzy na operację plastyczną albo po prostu dlatego, że nie może dalej wykonywać zawodu aktora. Ona czuje się z nim solidarna, odczuwa wobec niego litość, ona widzi siebie w nim, identyfikuje się z nim. Może on też zrobił to samo w stosunku do niej, gdy miał lecieć samolotem. *Jeśli umrę, przynajmniej ty na tym skorzystaj...*
- Oni się kochali.
- O tym nic mi nie wiadomo.
- Prawdopodobnie. Może pokochali się w trakcie pobytu w Glendale, jako że zbliżyły ich wspólne nieszczęścia?

– To możliwe.

Wypił ostatni kieliszek szampana. Wiedziała, co oznacza ten gest. Wyjeżdża. Do Bostonu, bo taki był adres Michaela Deelanda na kopii polisy ubezpieczeniowej zawartej przez młodą kobietę, którą ściagał Harry Shulz. Poczła ścisnięcie serca. Od chwili, gdy pojawił się kilka dni temu, przyzwyczaiła się do jego obecności. Pewnie, mogła sobie mieć wielu mężczyzn, ale nie tej klasy, o takim stylu jak Harry Shulz. Wiedziała, że on nie pozostanie na stałe, że jest jedynie przejazdem, wieczny tułacz, luksusowy włóczęga, niezmordowany globtrotter prowadzący enigmatyczną tajemniczą działalność, zawsze między dwoma samolotami, między dwoma wynajętymi wozami i kto wie? między dwiema kobietami. Poszukała przykładu w swej pamięci, która stała się już archiwum filmowym. Ta była replika Jean Harlow do Clarka Gable'a w *Red Dust*:

– Nie czekaj czterech lat, nim znów mnie odwiedzisz – rzuciła.

Wyglądało to na szczerą odpowiedź, gdy powiedział:

– Na pewno nie. Niedługo skontaktuję się z tobą. Zresztą, czyż nie pozostał nam jeszcze spory zapas Taittingera do wypicia?...

Nie uwierzyła mu.

* * *

To miała być Westland Avenue, prawie na rogu Massachusetts Avenue, która po lewej przechodziła przed Christian Science Church Center, i dalej mostem Havard nad rzeką Charles ciągnęła się wzdłuż Massachusetts Institute of Technology gubiąc się gdzieś na północnym zachodzie Bostonu. Na polisie ubezpieczeniowej zawartej przez Cathy Ardizzo wyciągniętej z Prudential Gibson Underwriters, adres był napisany następująco:

Michael Deeland
u Sandry Kentz
8, Westland Avenue
Boston, Massachusetts.

Co oznaczało, że Sandra Kentz gościła u siebie tego aktora, a może i także, dlaczego? by nie?, Cathy Ardizzo, która przecież też leciała samolotem do Bostonu. Teraz należało sprawdzić, czy cała trójka się tam znajduje. Jeśli Cathy Ardizzo była Mouną, a kobietą, którą Harry Shulz spotkał w szpitalu u Teda Silvera, była Sandra Kentz, to według ostatnich danych obie były widziane ostatnio w Nowym Jorku, a nie w Bostonie.

Wiedział, jaką taktykę teraz przyjmie. Żadnych delikatności, subtelności, żadnych słodkości. Od razu atak, głośne wejście i walenie pięścią w mordę, jeśli okaże się to potrzebne. Brutalne, ale to było jedyne wyjście. Nie mógł już sobie pozwolić na dalszą stratę czasu. Dotąd grał rolę zwierzyny, niewinnej i czystej dziewczycy, jak w niemych filmach z okresu sprzed Rudolpha Valentino, teraz będzie odgrywał rolę myśliwego i grubiańskiego brutala, jak George Nicholls starający się siłą wziąć Lilian Gish w *The Greatest Question* lub jak Rudolph Valentino gwałcący Vilmę Banky w *Synu Szejka*... Uśmiech przemknął mu po twarzy, bo zorientował się, że wykłady o kinie Jayne Sterling odcisnęły na nim ślad.

Prawą ręką wymacał pod lewą pachą Karpia miękko tkwiącego w kaburze i wszedł do budynku. Rząd skrzynek na listy był isticie monumentalny, jak przystało na czternastopiętrowy budynek. Mieszkanie 11G, przeczytał z tabliczki przy nazwisku Sandry Kentz. Jakaś kobieta z dwoma białymi pudłami czekała przed windami. Zatrzymał się więc przy rzędzie skrzynek na listy. Nie miał ochoty wsiadać do tej samej windy co ona, nie ze względu na niechęć do pudli, ale z uwagi na swoje bezpieczeństwo. Po chwili jakaś inna kobieta weszła do holu. Udał, że szuka jakiegoś nazwiska na skrzynce do listów. Gdy hol opróżnił się, szybko podszedł do wind. Wskoczył do pierwszej, która nadjechała i przycisnął przycisk jedenastego piętra. Gdy winda zatrzymała się, wysiadł i rozejrzał się wokoło. Pomogła mu wywieszka. Mieszkania A B C D na lewo, E F G H na prawo. Skręcił w prawo. Podłogę i ściany pokrywała wykładzina w tonacji tak kojącej, że miało się chęć ją pogłodzić. Korytarz kończył się dużym oszklonym oknem pozwalającym tego słonecznego dnia na wnikanie ciepłych promieni słonecznych.

Jakieś ostre uczucie żalu ogarnęło Harry'ego Shulza. Dlaczego ktoś nie daje mu spokoju? Po wykonaniu kontraktu na Blumfeldzie mógłby teraz wypoczywać na jakiejś plaży na Bahamach. Uwielbiał Bahamy. Życie płynęło tam spokojnie i łagodnie, bez podskoków, powoli, tak jak powinno przebiegać komfortowe życie.

Mieszkanie G. Ładne drzwi. Litera G była nieco stylizowana, jak lubili je rysować dekoratorzy z nowoczesnej szkoły. Prawa ręka wydobyła Karpia, a lewa przycisnęła dzwonek. Szybki rzut oka dookoła. Nikogo w korytarzu. Teraz kwestia drzwi otwierających się z blokadą łańcuchową. Ale był przygotowany i na taką ewentualność. Noga w szczelinę drzwi i lufa

Karpia przytknięta do łańcucha. Jeden pocisk i ogniwo pęka, umożliwiając całkowite otwarcie drzwi.

Sandro Kentz, Michaelu Deeland, Cathy Ardizzo, jeśli znajdujecie się w tym mieszkaniu, trzymajcie się, mam nogi w blokach startowych i Karpia w ręku!...

Drzwi otworzyły się. Przed nim stał uśmiechnięty mężczyzna.

– Słucham, czego pan sobie życzy?

Harry Shulz usłyszał słaby dźwięk z tyłu za sobą. Szybko rzucił okiem przez ramię. Drzwi mieszkania H także były otwarte. Jego oko odnotowało dwa migające cienie, a w następnym ułamku sekundy mózg zarejestrował uderzenie w kark i błysk wielobarwnych iskierek.

* * *

Wielki masywny facet o kwadratowych ramionach, prawdopodobnie dawny gracz futbolowy na jakimś uniwersytecie, około osiemdziesięciu pięciu kilo żywej wagi na metr osiemdziesiąt wzrostu. Muskły zapewne mocno rozbudowane. Ciemne, krótko ostrzyżone włosy. Niebieskie oczy, kwadratowy podbródek, zmysłowe wargi i uśmiech mający oczarować.

– Niech pan powtórzy swoje opowiadanie, panie Yale. Uważam, że jest pasjonujące.

Glina? Harry Shulz masował sobie kark. Nie wyczuł guza. Pałkarz nie uderzył zbyt mocno. Tylko tyle, ile było trzeba, aby na chwilę utracił świadomość i wypuścił Karpia z ręki. Dwaj mężczyźni, którzy wyłonili się nagle z mieszkania H, to zapewne ci sami, którzy obecnie uczestniczyli w rozmowie, prowadzonej jak dotąd w przyjacielskim tonie. Też mieli mordy glin. Styl Federalnych. Garnitury z dakronu o barwie nie rzucającej się w oczy, jednobarwne koszule od Wollwortha, wąskie krawaty, porządne buty, włosy krótko ostrzyżone, gładko wygoleni, pachnący dobrą wodą, białe zęby bez śladu nalotów od palenia, klatka piersiowa w kształcie trapezu, brak brzucha, pewność siebie i oczy mające wyglądać jak bez wyrazu. Nie brutalni, lecz stanowczy. I gładki język. To stanowiło pewien wyróżnik. Znak fabryczny, etykietkę. *Dziękuję, panie J. Edgar Hoover, funkcjonariusze F.B.I, będą panu dozgonnie wdzięczni...*

Harry Shulz w swym życiu znajdował się wielokrotnie w opałach. Udało mu się wykaraskać z gorszych pułapek. Ta była tylko jedną spośród wielu. Wpadł w zasadzkę, ale piękno tej historii polegało na tym, że jeśli

rzeczywiście znajdował się w rękach glin, albo lokalnych, albo federalnych, nic mu nie groziło pod warunkiem, że będzie mówił prawdę. To było najbardziej fantastyczne. Prawda powinna w sposób oczywisty wyciągnąć go z dołka. Oczywiście, nie *cała* prawda, ale ta zaczynająca się od Teda Silversa w Harlem Eye and Ear Hospital z opuszczeniem poprzednich epizodów, tych dotyczących Mary Scarazella i jej trzech córek, zemsty dokonanej na ich napastnikach, wreszcie tych związanych z kontraktem na Blumfeldzie.

Odchrząknął. Ślina miała gorzki smak. Następnie po raz trzeci powtórzył tę samą historię, którą oceniał jako absolutnie nie do podważenia i nie obciążającą go w żaden sposób.

– Przeczytałem w *New York Timesie* bolesną wzmiankę. Nieznany mi Ted Silvers znalazł się w Harlem Eye and Ear Hospital po tym, jak jakieś oprychy oblały go witriolem. Stracił wzrok. Zrobiło mi się go bardzo żal. Człowiek tracący wzrok, to dla mnie wrak pływający zgodnie z widzimisię wody, pień drzewa dryfujący na rzece unoszącej go ku wodospadom...

– Bardzo podoba mi się pański liryczny ton, panie Yale, – zauważył mężczyzna siedzący na krześle naprzeciwko niego. – Pisuje pan może wiersze w wolnym czasie?

– Nie.

– Szkoda. Proszę kontynuować.

– Tak się składa, że dobrze mi się powodzi finansowo. Prosperujące interesy za granicą... Pomyślałem, że być może mógłbym mu udzielić pomocy. Na przykład jakaś cudowna operacja oczu, niezmiernie kosztowna, gdyż trzeba by zwrócić się do znanych chirurgów słynących też z wysokich honorariów... Dzięki uprzejmości pewnej pielęgniarki o nazwisku Carole Weingarten udało mi się go odwiedzić. Ale on bredził i powtarzał taki zwrot niezrozumiały dla mnie. Bez rąk, bez palców...

– Bez rąk, bez palców... – powtórzył mężczyzna obojętnym tonem, spoglądając kolejno na obu towarzyszy, którzy ograniczyli się do kiwnięcia głową. – Niech pan mówi dalej, panie Yale.

– Następnym razem spotkałem jego siostrę. Wydaje mi się, że miała na imię Sandra. Zapewniła mnie, że jej brat nie potrzebuje niczego i nie muszę wspomagać go finansowo. A po tym spotkaniu ktoś próbował mnie zamordować...

Po tym wstępie Harry Shulz zrelacjonował zdarzenie w *Galatei*, spotkanie z Mouną, występ w *Oubliette*, znalezienie kartonika z zapalnikami *U Mike'a Eriksona*, swoje prywatne śledztwo w Missisipi i w Luizjanie.

Wspomniał o telefonie na policję dla poinformowania o zamordowaniu Sylvii Finnegan przez ludzi EXCARAC, podkreślając, że nie dało to żadnego rezultatu. Następnie przeszedł do Hollywood, ale nie wymienił nazwiska Jayne Sterling. Ograniczył się do podania, że rozmawiał z aktorami, a między innymi z Bertem Lancasterem (przez e, nie przez u), którzy wskazali mu pewien ślad.

– To wszystko – zakończył. Jak mogli obalić to opowiadanie? Przedstawił się jako uczciwy człowiek, którego usiłowano zamordować i który szamocze się, aby dowiedzieć się, dlaczego.

– A z jakich to przyczyn nie zwrócił się pan do policji? – udał zdziwienie mężczyzna.

Harry Shulz precyzyjnie skalkulował natężenie swego szyderczego uśmiechu. Jeśli miał do czynienia z glinami, lepiej było ich nie irytować, ale należało mimo wszystko dać im odczuć, jak mało zaufania miała do nich pewna część opinii publicznej.

– Bo nie zrobiliby nic. Najwyżej zaproponowaliby mi mundurowego, który stałby przy mnie przez dwa czy trzy tygodnie. Zresztą przed chwilą mówiłem wam, że policja nowoorleańska nie interweniowała w sprawie Sylvii Finnegan...

– W Stanach Zjednoczonych nie dopuszcza się prywatnej sprawiedliwości, panie Yale. Ponadto zaopatrzył się pan w niezwykle skomplikowaną broń.

Twarz Harry'ego Shulza rozjaśniła się.

– Jestem majsterkowiczem. Pan się na tym zna?

Znalazł lukę. Teraz mógł kontratakować. Przeciwnik nadawał tempo. Należało go zalać potokiem pytań, słów, aby dowiedzieć się, z kim ma do czynienia. Zakładał, że to gliny. Ale jeśli się mylił?

Harry Shulz nie zakładał tego, ale przecież tym mężczyzną mógł być Michael Deeland. Michael Deeland już *po zmianie zawodu!* Zmianie zawodu na jaki? Czyżby Cathy Ardizzo i Sandra Kentz były w Nowym Jorku – jeśli to one grały role Mouny i Sandry, siostry Teda Silversa – a Michael Deeland siedział tu, w Bostonie? Ale w co i w czym towarzystwie tutaj by grał?

Podał im wstępne informacje. Teraz oni powinni wyłożyć swoje na stół. Jego głos stał się ostry:

– Ale tak naprawdę, jakim prawem zadajecie mi wszystkie te pytania? I dlaczego uderzyliście mnie pałką?

– Przypominam panu, że miał pan w rękę broń – sucho odparł mężczyzna. – Czy w taki sposób przychodzi się do ludzi w pokojowych intencjach?

Drzwi mieszkania H otwierające się w dokładnej synchronizacji z drzwiami mieszkania G... Tak jakby założono kocioł... Tak, to raczej gliny. Dostali pewnie jakiś cynk o zbrodniczej działalności lokatorów tego mieszkania. Tak, ale jakiej zbrodniczej działalności i co on miał z tym wspólnego? *Bez rąk, bez palców...* jaki był sens tych słów? Gdy mówił im o śmierci Carole Weingarten i o samobójstwie Teda Silvera, nawet nie drgnęli.

– Kim jesteście wszyscy trzej? – zapytał i zwracając się od razu do mężczyzny siedzącego na krześle naprzeciw niego dodał: – Pan jest Michałem Deelandem?

– Nie.

– Jakimś jego znajomym? Albo znajomym Sandry Kentz? Czy może Cathy Ardizzo?

– Też nie.

– Jesteście glinami?

– Ależ skądże.

– Prywatni detektywi?

– Tym bardziej nie.

– Nie mówcie mi, że jesteście z mafii!

– Również nie.

Harry'emu Shulzowi nasunęła się pewna wątpliwość. Hipoteza Karen i Sharon Wood nie całkiem była do odrzucenia. A jeśli to ich dzieło? Ale tutaj trzeba ostrożnie. Teren był niebezpieczny. Istniało ryzyko, że poda jakąś ważną informację, której nie darują mu potem ani siostry Wood, ani Organizacja. Lepiej było milczeć i nawet nie wspominać nazwy Stowarzyszenia Obrony Małych Akcjonariuszy i Drobnych Ciułaczy czy odwrotnie, bo nigdy nie pamiętał, czy w nazwie mali akcjonariusze byli przed drobnymi ciułacami, czy też odwrotnie.

– Już wiem! – zawołał żartobliwie, usiłując rozładować atmosferę. – Sandra Kentz wyprowadziła się, a wy jesteście nowymi lokatorami tego mieszkania. Ale po co ten cały cyrk? To wygląda jak przesłuchanie w komisariacie...

Mężczyzna lekko wzruszył ramionami.

– Jak to się dzieje, że pan nie figuruje w żadnych aktach, panie Yale?

Nie ma nic oprócz wydania prawa jazdy w stanie Nowy Jork w 1972. Nie ma pan rachunku w banku, ubezpieczenia na życie, żadnej posiadłości, nawet samochodu. Powiedział pan, że mieszka w wynajętym mieszkaniu na Sherman Avenue w Nowym Jorku. Pan nie żyje jak zwykły obywatel, panie Yale...

Skąd oni wiedzą to wszystko? Poprzez okno balkonowe zerknął na natężenie światła słonecznego, porównując je z tym, które widział na końcu korytarza, gdy szedł do mieszkania G, i obliczył, ile czasu mógł pozostać nieprzytomny. Godzinę? Półtorej? Na pewno nie więcej niż dwie. Jak w ciągu dwóch godzin zdążyli się tego wszystkiego dowiedzieć, jeśli nie są glinami? A może są z I.R.S*?

* Internal Revenue Service – odpowiednik Departamentu Podatków w Ministerstwie Finansów.

W każdym razie osoba Petera Yale była niepodważalna. Peter Yale istniał naprawdę. Był to jeden z tych Amerykanów, którego rodzice wyemigrowali do Ameryki Południowej i tam się urodził. Bez więzów z ojczyzną. Zmarł przedwcześnie, tak jak jego rodzice, i nikomu w Boliwii nie przyszło do głowy zawiadomić konsula Stanów Zjednoczonych. A pewnego dnia Harry Shulz zgłosił się do tegoż konsulatu i kazał sobie wydać paszport na nazwisko Peter Yale. Później zdał pozytywnie pod tym nazwiskiem egzamin na prawo jazdy w stanie Nowy Jork, tak jak to uczynił w pozostałych czterdziestu dziewięciu stanach pod czterdziestoma dziewięcioma różnymi nazwiskami. Do wydania prawa jazdy nie pobierano odcisków palców, a w Stanach Zjednoczonych prawo jazdy było praktycznie jedynym dokumentem osobistym, którego można było od kogoś wymagać.

Osoba Petera Yale była zatem niezniszczalna. Jak z betonu zbrojonego. Jedynym nieco wątpliwym punktem był Karp. Nie może być mowy o wplątaniu Mike'a O'Flaherty'ego. Pozostawała historyjka o majsterkowaniu. Dobrze, ale kim do cholery byli w końcu ci ludzie?

– Mieszkam za granicą – wyjaśnił obojętnym tonem, z uśmiechem, na pełnym luzie. – Pochodzę z Ameryki Południowej.

– Z Boliwii?

Harry Shulz poczuł się jak po uderzeniu pięścią w brzuch. Cholera, to też wiedzą?

– Guacitia, mała dziura zagubiona na północ od Santa Cruz, nad rzeką Mamore.

Zawsze mogą pojechać i sprawdzić. Indianie stamtąd nie przypomną sobie

już Petera Yale, jeśli nawet oszołomieni konopiami indyjskimi kiedykolwiek go zauważyli. Guacitia była blisko brazylijskiego Mato Grosso, można powiedzieć, końca świata. Ale znowu wraca pytanie: kim są ci ludzie?

Zauważył lekki ruch podbródka mężczyzny siedzącego na krześle naprzeciw niego. Dwaj pozostali zadziałali z oszałamiającą szybkością. Nadgarstki Harry'ego Shulza zostały połączone za jego plecami, z tyłu za oparciem krzesła i nałożono mu na nie kajdanki. Tak samo na kostki w nogach krzesła.

– Zwariowaliście! – zaprotestował. – Co to ma znaczyć? Nie jesteście glinami, a działacie jak gliny! Co chcecie ze mną zrobić?

Trzej mężczyźni zniknęli, ale drzwi pozostały otwarte. Za nimi był korytarz. Na tym jego kawałku, który dostrzegał Harry Shulz, wisiała reprodukcja *Muzyka* Chagalla, co sprowadziło jego myśli do Jimmy'ego Kodasha. Być może powinien był działać w tandemie z kolekcjonerem arcydzieł malarskich, tak jak miało to już miejsce w przeszłości, zamiast zwalniać go tuż po zarzuceniu przynęty na Alexa Blumfelda? Może zbyt zaufał swym zdolnościom do samodzielnego rozwiązywania każdego problemu, jaki się pojawi? A może nie jest on już *tak mocny* jak kiedyś i przy tym za bardzo wierzy samemu sobie?

Tak, Jimmy Kodash wspierający go w drugiej linii stanowiłby niewątpliwie dodatkowy atut. Jimmy wykazywał inicjatywę, umiał sobie radzić w najgorszych sytuacjach. Udowodnił to w Paryżu, na Kubie, w Turcji i w wielu innych miejscach. Ale kłopot polegał na tym, że teraz Jimmy Kodash siedzi pewnie w najlepszej w piwnicy swej wspaniałej posiadłości w Tucson w Arizonie i podziwia swą bajeczną kolekcję arcydzieł malarskich. A Harry Shulz jest uwięziony w tym mieszkaniu na Westland Avenue w Bostonie...

Z pokoju gdzieś obok dobiegł go bardzo słaby głos mężczyzny, który przedtem siedział naprzeciwko niego:

– Barbaro, połącz mnie z Cygarem...

ROZDZIAŁ XXIV

Słońce znikło i światło dnia przygasało. Trzej mężczyźni weszli do pokoju. Ten, który otwierał drzwi mieszkania G, stanął przed Harrym Schulzem.

– Jak pan się czuje, Yale?

– Sądzę, że biżuteria od Boucheron jest bardziej dopasowana niż wasze kajdanki.

– My sami *też* nie jesteśmy reprezentantami zacnej Maison Boucheron, panie Yale.

Poczuł ukłucie u podstawy szyi. Zastryk! To skurczybyki! Dwaj pozostali skorzystali z tego, że jeden stanął przed nim i odciągnął jego uwagę.

– Mała nieprzyjemna chwilka, panie Yale. Oczywiście to, co panu wstrzyknięto, nie jest szkodliwe. Proszę się nie bać, obudzi się pan. Nie mamy intencji zabić pana. Jedynie uśpić, aby ułatwić pewne sprawy...

Płyn palił jak strumień roztopionej lawy. Żadnych wstrząsających efektów, tylko powolne wnikanie podstępne, obsesyjne... Jak nieobecność... Ale dlaczego nieobecność? – zapytywał sam siebie. Wszystkie jego mięśnie były zaciśnięte, jakby chciały odrzucić to przeciwiało w postaci igły i strzykawki. Przypomniawszy sobie zdanie, jakie kiedyś przeczytał: *Wydaje się, że to nieobecność jest najręczniejszym, najbardziej skrytym, najbardziej szkodliwym, najcięższym sposobem wejścia w czyjeś życie...* Ale jak dotąd to igła strzykawki weszła w jego szyję. Kark zaczynał go boleć, jak pierwsze objawy bólu zęba, który zaczyna odczuwać niszczący wpływ ubytku. I te zawroty głowy...

– To trochę trwa, ale nie wydaje mi się, aby panu gdzieś się spieszyło, panie Yale... – Mężczyzna naprzeciw niego uśmiechał się. Uśmiech wydał się Harry'emu Shulzowi skrzywiony, ale mogło to wynikać stąd, że jego oczom trudno było znieruchomieć. Dystorsja. Zjawisko dobrze znane. – Pańska podróż kończy się, Yale. Jest pan prawie u kresu cierpień. Jeszcze kilka weryfikacji i będzie wóz albo przewóz...

Wóz albo przewóz? Jaka intencja skryta była za tym wyrażeniem?

Jego umysł błędził gdzieś. Ucharakteryzowany na syna szejka, Rudolph Valentino galopował na białym rumaku. Za nim siedziała Mouna, z kwefem muzulmanki, kurczowo ściskając jeźdźca w pasie. A wszystko to w scenerii oazy. Jayne Sterling głośno się śmiała, skryta za palmą w towarzystwie Virginii Fromm i Berta Lancastera. Alex Blumfeld, przebrany za emira z Zatoki Perskiej, wrzeszczał: Bez rąk, bez palców... Harry Shulz zaczął zanurzać się w sybkim piasku pustyni. Tonął jak wsysany przez te ruchome piaski. Gigantyczna wydma nad jego głową pękła na pół, wierzchołek przełamał się i otoczył go swoją nieprzezroczystą warstwą. Wydawało mu się, że się dusi.

– Odczekamy dwie minuty i zabieramy go – orzekł mężczyzna.

* * *

Twarz miał umieszczoną w jakimś aparacie z zimnego metalu. Skronie i kości policzkowe były ściśnięte ściankami przyrządu. Miał wrażenie, że gałki oczne wychodziły mu z oczodołów, ale do jego źrenic nie docierało żadne światło. Absolutna, totalna czerń. Za to jego uszy odnotowały pytania zadawane obojętnym, monotonnym głosem, jak celnik pytający: Czy ma pan coś do oclenia?

- Nazwisko i imię?
- Peter Yale.
- Miejsce urodzenia?
- Guacitia.
- Kraj?
- Boliwia.
- Data urodzenia?
- 22 lutego 1947.
- Imię ojca?
- Walter.
- Imię i nazwisko panięńskie matki?
- Judith Losberger.
- Siostry, bracia?
- Brak.
- Religia?
- Kościół Episkopalny.
- Praktykujący?
- Nie.
- Zawód?
- Biznesmen.
- A dokładnie?
- Inwestor w akcje różnych firm.

On naprawdę jest Peterem Yale! Ten aparat, to z pewnością detektor kłamstw... Przyrząd mierzący stopień zmian rozszerzenia źrenicy oka i kolejne zmiany zabarwienia. Źrenice mu się zwężają, *kłamie!*... Jasnozielona barwa oczu przechodzi w ciemnozieloną, *kłamie!*... Źrenice powracają do pierwotnego wymiaru. *Mówi nam prawdę.* Zaciemnienie oczu znika, odbarwia się, plamka znów jest jasna. *Cały czas mówi nam prawdę.*

Nie pomylił się, to są gliny. Najprawdopodobniej Federalni, z uwagi na metody, jakimi się posługują.

Ale co to ma za znaczenie? *On naprawdę jest Peterem Yale!...*

Jego mózg stał się identyczny z mózgiem zmarłego. Jak żywy Peter Yale biegał nad brzegami rzeki Mamore, nurkował w gęstwinie dżungli, przekraczał arroyos, odnogi rzeki, zaraźliwe bagna, z których brzegów uciekały mrówkojady oraz ich mniejsi pobratymcy, tamandúas, o długich lepkich językach czatujących na duże czerwone mrówki rojące się w gnijącym humusie. Ciosami maczety torował sobie drogę poprzez płataninę lian, ściętych gałęzi, olbrzymich trujących roślin tworzących prawie nieprzepuszczalną zaporę. W drzewach balsamowych skakały małpki-trupie główki i małpy kapucynki, wydając przenikliwe okrzyki. Między wysokimi trawami prześlizgiwały się opsy, unosząc swą gromadkę młodych zawieszoną na ogonie przedziwnie opuszczonym na grzbiet. Wielkie ropuchy, pożeracze ptaszków, czatowały cierpliwie na swą zdobycz, z paszczą otwartą jakby w trakcie ciągłego ziewania, nie przejmując się monstrealnymi karaluchami, wspinającymi się na ich bezwstydne uda. W gałęziach drzew małpy białogłowe o gęstym szarym futrze podejmowały rechotanie kokoas – żabek przez skórę których wydzielala się śmiertelna trucizna. W oddali czyhały pacaranas. Wspólnie z Indianami z dżungli jadł ragoot składające się z ugotowanych kawałków mięsa wigonii wymieszanych z patatami, ziołami tonkas oraz z mąką z palmy zamia, nazywaną sogo.

- Gdzie pan mieszka?
- Na Sherman Avenue w Nowym Jorku.
- Od jak dawna?
- Od trzech lat.
- A przedtem?
- Nassau na Bahamach.
- Jak długo?
- Cztery do pięciu lat.
- A wcześniej?
- Singapur.
- A przedtem?
- Nassau na Bahamach.
- A wcześniej?
- Singapur.
- A wcześniej?

A wcześniej, a wcześniej, a wcześniej, *A wcześniej?* Ma to w nosie!

Jest Peterem Yale. Wie o tym. Ponownie widzi *kokoas*. Przypomina sobie ich malutkie wymiary. Naukowcy znali je pod nazwą *Phyllobates*

Latinasus. W przeciwieństwie do większości jadowitych zwierząt, których paszcza kryje kieszeń wypełnioną jadem, *Phyllobates Latinasus* lub jego podgatunek, *Dendrobates Tinctorius*, wydziela jad przez skórę pod warunkiem, że temperatura otoczenia zostanie znacznie podwyższona lub gdy zwierzę zostanie nagle ogarnięte strachem. Idelmann zrobił mu na ten temat cały wykład. Wydzielina tych *kokoas* stanowiła *groźną*, błyskawiczną w skutkach truciznę. Zobaczył jej efekt na Verze Fogler w Dżakarcie, w Indonezji.

- A wcześniej?
- Wypchajcie się!

Jake Mahone? Nie znam. Harry Shulz? Nie znam. Nazywam się Peter Yale, urodziłem się w Guacitii w Boliwii, 22 lutego 1947 roku i nikt tego nie może zmienić!

* * *

– Gdzie odbywał pan służbę wojskową, Yale? Ponieważ urodził się pan w 1947 roku, podlegał pan obowiązkowej służbie wojskowej w czasach wojny w Wietnamie. Gdzie pan ją odbył?

– Nigdzie. Nikt mnie nie wezwał. Cholera, dlaczego mnie tak dręczycie? Kim pan jest i jak długo trwa ten cyrk?

– Nie mam pojęcia, dopiero dwie godziny temu zmieniłem mojego poprzednika. Mamy służbę przez osiem godzin. Jak mogę wiedzieć, jak długo trwa ten cyrk, skoro nie wiem, kto z panem zaczął?! Wydaje mi się jednak, że bije pan wszelkie rekordy wytrzymałości, ale Cygaro nie jest zadowolony.

- Kto to jest Cygaro?
- Szef.
- Szef czego?
- Tak więc nie odbył pan służby wojskowej...

I wciąż ten cholerny aparat, w którym umieszczona była jego głowa, i wciąż ciemność. Jego ciało zdrętwiało. Nie czuł go już. Trochę tak, jakby został zgilotynowany i tylko głowa pozostała przy życiu, wetknięta w kosz z trocinami.

– Kim pan jest? – wściekał się.
– Wygląda na to, że znakomicie zna się pan na broni! Trzeba mieć niezłe pod sufitem, żeby zmajstrować taki pistolet!

Ton stawał się bardziej familiarny. Zmieniali taktykę? Musi jeszcze bardziej uważać.

- Przeczytałem masę podręczników na ten temat.
- Bez żartów! *Sam pan to robi w domu w wolnym czasie?!*

* * *

– Dom Sylvii Finnegan w Nowym Orleanie był pusty, to prawda, ale jeśli chodzi o resztę, pudło. Dom czyściutki, wszystko poukładane, jak dom kogoś, kto wyjechał na urlop.

– A EXCARAC?

– Żadnych śladów nieboszczyków. Zwyczajne laboratorium badawcze. Wszyscy byli bardzo zdziwieni pańskimi oskarżeniami. To są ludzie pracujący dla Ochrony Cywilnej i Służby Drogowej!

– A strzały na chodniku przed *Galateą*?

– Nikt z *Galatei* nie poświadczy już tego, co pan opowiedział. Zamach bombowy, do którego przyznał się Ormiański Front Zemsty, zniszczył wszystko. Cały personelu i klienci stali się jego ofiarami. Tego samego dnia, w którym mieliśmy przyjemność powitać pana w naszych progach. Czy pan ma z tym coś wspólnego?

– Nie jesteście prawdziwymi glinami! – wrzasnął Harry Shulz.

O mały włos zaczęłyby histeryzować. Uspokój się, rozluźnij się. Żadnej nerwowości. Dlaczego Peter Yale miałby się denerwować? Ma przecież czyste sumienie.

– A samobójstwo Teda Silvera?

– Mogło to być samobójstwo.

– Carole Weingarten?

– Pirat drogowy. Tacy zwykle nie pozostają na miejscu wypadku. Nagle Harryego Shulza ogarnęły wątpliwości. Czy jego opowieść, przecież autentyczna, trzymała się kupy? Ale w przeciwnym przypadku, uspokoił się zaraz, co nielegalnego można było mu zarzucić?

Jestem Peter Yale, mam czyste sumienie... Jestem niewyciężony, biję wszelkie rekordy wytrzymałości! A pewnego dnia odnajdę kokoas, pacaranas, tamandúas, znów nażrę się ragot z kawałków gotowanego mięsa wigonii wymieszanego z patatami, ziołami toulas i mąką z palmy zamia, przygotowanego przez starą bezzębną Indiankę z Mato Grosso, z papierosem z trawki przyklepionym do spękanych warg...

* * *

– Opowiem panu pewną historię, Yale, o prostytutce, która staje zawsze w tym samym miejscu na jednej z ulic rozpusty pewnego wielkiego amerykańskiego miasta. Co wieczór od miesiący widzi przechodzącego chodnikiem obok niej zupełnie zwyczajnego mężczyznę, nie wyróżniającego się niczym od otoczenia. Idzie zwyczajnie, jak potencjalny klient, który nie spiesząc się dokonuje wyboru spośród dziewczyn stojących wzdłuż ścian. Nie jest z gatunku tych, co to okropnie się wstydzą przechodzić tędy. Nie skrada się też, jak stali goście, podpory sex-shopów. Nie, idzie zwykłym krokiem. Bez afektacji, ale także bez powściągliwości. Tak, jakby przechadzał się z uniesioną głową pewnego pięknego wiosennego poranka po słonecznej łące.

Na początku prostytutka odprowadzała go wzrokiem, gdy mijał chodnik przed nią. Kawałek dalej, w jednym z tych sklepików, gdzie sprzedaje się gotowe dania na wynos, zatrzymywał się, kupował zestaw w kartonowym pudle, wymieniał kilka słów ze sprzedawcą w białej czapeczce i szedł dalej. Dokładnie na rogu ulicy wchodził do zagrzybiałego budynku i nie opuszczał go już do kolejnego ranka.

Z czasem, nie zdając sobie z tego sprawy, prostytutka zaczęła go oczekiwać, oczekiwać jego nadejścia. Mężczyzna przestrzegał regularnego rozkładu dnia, nigdy ani minuty za wcześnie, nigdy ani minuty za późno. Wmówiła sobie, że pojawienie się tego mężczyzny stanowi punkt odniesienia w jej kolejnym, ponurym dniu. Tym samym zauważyła, że przed kupieniem zestawu na wynos mężczyzna zatrzymywał się też w dole ulicy przy innym sklepiku, gdzie sprzedawano papierosy. Zresztą za każdym razem, przechodząc obok niej, miał zapalonego papierosa w kąciku ust.

Pewnego dnia ich wzrok skrzyżował się. Odczuła jakby strumień magnetyczny. A kilka tygodni później lekko uśmiechnęła się do niego po raz pierwszy. W odpowiedzi on także się uśmiechnął. Rok później zaczęły porozumiewawczo puszczać do siebie oko. Nawet nie mordercze perskie oko, jak to mają w zwyczaju robić prostytutki. Nie, to było zwykłe puszczenie oka. Ale mężczyzna nigdy się nie zatrzymał, a ona nigdy go nie zawołała. Nigdy ze sobą nie rozmawiali.

W miarę upływu miesiący zauważyła, że on porzucił *New York Timesa* dla *New York Post*, że jego garnitury służą mu latami, tak jak buty i krawaty. W zimie nosił czapkę futrzaną z królika i wytarte palto. W lecie był to nieodmiennie szary garnitur i brązowe buty.

Fluid pomiędzy nimi był tak intensywny, że kobiecie zdarzało się odmawiać

klientom w porze, o której on powinien przechodzić, aby go nie przegapić.

Ale pewnego dnia nie zobaczyła go. Następnego dnia także nie. To samo w kolejne dni. Była zdziwiona, zmieszana, niespokojna. Oczywiście, miała własne problemy. Dzieciak u mamki, alfons tłuający ją, gdy zarobek był słabszy, obławy policyjne. Mimo to jej mroczne myśli skupiały się wyłącznie na mężczyźnie. Czyżby stało mu się jakieś nieszczęście? A może był chory? Po tygodniu nie wytrzymała. Musiała się dowiedzieć. Poszła do zagrzybiatego budynku na rogu ulicy. Spytała stróża, podając opis mężczyzny. Trzecie na lewo, drzwi C – usłyszała w odpowiedzi. Weszła, zadzwoniła pod trzecie na lewo, drzwi C. Pańskim zdaniem, Yale, drzwi otworzyły się czy nie?

- Otworzyły się.
- A kto je otworzył?
- Ów mężczyzna.
- I co stało się dalej?
- Morderstwo.
- Słucham?
- Mężczyzna zamordował prostytutkę.
- Brawo, panie Yale, gratulacje! Przechodzi pan wszystkie testy z budzącym podziw wynikiem. Jak pan zgadł?
- Bo opowiedział mi pan historyjkę adekwatną do tego, co mnie się przydarzyło. Gdy człowiek sam chce udzielić komuś pomocy, obrywa tylko po mordzie...

– To rzeczywiście miało coś wspólnego z tymi przykrymi wypadkami, jakie spotkały pana, gdy chciał pan pomóc Tedowi Silversowi. Ale pańska interwencja w gruncie rzeczy nie była bez znaczenia. Wprost przeciwnie! Widzi pan te budynki po prawej stronie?

Długi czarny chrysler jechał Vassar Street i Harry Shulz obrócił głowę. Siedział na tylnym siedzeniu w towarzystwie mężczyzny – tego, który otworzył drzwi do mieszkania Sandry Kentz.

- Co to jest?
- Massachusetts Institute of Technology. Słynny M.I.T., panie Yale. Steve, zatrzymaj się przy chodniku.

Samochód stanął po prawej stronie i mężczyzna, który wcześniej przedstawił się Harry'emu Shulzowi jako Johnny Slay, ciągnął głosem pełnym zachwyty:

- Tutaj, w samym sercu Cambridge* znajduje się M.I.T., Świątynia Wiedzy, synonim Nauki, Awangarda. Najsilniejsze centrum intelektualne w całych Stanach Zjednoczonych. To tu opracowuje się techniki jutra,

technologie przyszłości, środki obronne dla bezpieczeństwa naszego kraju. Chce pan wiedzieć, co będzie jutro? Odpowiedzi nie znajduje się w kartach, ani w szklanej kuli. Ona znajduje się tutaj, w M.I.T. To tu, w laboratoriach, gabinetach analiz powoli nabierają kształtów odkrycia, które zrewolucjonizują przyszłość. A wie pan, ile umysłów pracuje w M.I.T.? Proszę rzucić jakąś liczbę, panie Yale.

* Miasto liczące sto tysięcy mieszkańców, oddzielone od Bostonu jedynie rzeką Charles.

– Tysiąc, dwa tysiące?

– Piętnaście tysięcy! I wszyscy żyją tu, na miejscu, w tym gigantycznym mieście. Wszystko, czego potrzebują, jest im tu dostarczane. Piętnaście bibliotek, setki komputerów, wiele tysięcy laboratoriów, najdoskonalsza, najbardziej skomplikowana aparatura. Roczny budżet wynosi półtora miliarda dolarów. To dzięki M.I.T., my Amerykanie, mamy znaczne wyprzedzenie technologiczne nad całym światem, w tym nad Sowietami.

Harry Shulz chrząknął znacząco.

– Jestem z tego dumny jako Amerykanin, ale niech mi pan pozwoli zadać sobie obrzydliwie materialistyczne pytanie. Co ja, skromny Peter Yale, urodzony w Guacitii w Boliwii, 22 lutego 1947 roku, mam wspólnego z M.I.T.?

– Nie zdając sobie z tego sprawy, nieświadomie, umożliwił pan, aby jeszcze istniał i aby jego piętnaście tysięcy umysłów żyło.

– Serio?!

– Mogę panu powiedzieć tylko tyle, że należę do jednej z grup kontrwywiadu. Rozwijanie tej kwestii jest zbędne, gdyż jest to okryte tajemnicą.

– A w jakiż to sposób zagrałem tego Jamesa Bonda?

– Odwiedzając Teda Silversa. Czy przypomina pan sobie zdanie, które powtarzał w malignie?

– Bez rąk, bez palców?

– Po rosyjsku: *bież ruk, bież palcew*. To nazwa operacji.

– Jakiej operacji?

– Operacji zniszczenia M.I.T.

Harry Shulz zaniemógł.

– Sandra Kentz i Ted Silvers byli radzieckimi agentami – wyjaśnił Johnny Slay. – Ich misją było zniszczyć M.I.T, i jego piętnaście tysięcy umysłów. Cel operacji: pozbawienie Stanów Zjednoczonych środków

intelektualnych dających im znaczne wyprzedzenie wobec Sowietów. Żaden kraj nie jest w stanie odtworzyć natychmiast tak znacznego potencjału wiedzy, jaki stanowi nasze piętnaście tysięcy umysłów z M.I.T. Potrzeba na to co najmniej jednego, a nawet dwu pokoleń. Jako pracownik kontrwywiadu muszę przyznać, że pomysł KGB był doskonały. Gorzej z jego realizacją. To nie takie łatwe. Do M.I.T, nie wchodzi się prosto z ulicy. Owszem, jest tam obszar przeznaczony dla studentów. Ale to nie on interesuje Sowietów. To jest dobre dla turystów zorganizowanych wycieczek. M.I.T, obejmuje łączny obszar piętnastu hektarów. Wewnętrzny obszar interesujący KGB obejmuje jedynie cztery. Ale jest to obszar nadzorowany, do którego nie każdy ma wstęp. Trzeba okazać przepustkę, której Sandra Kentz i Ted Silvers nie mieli. Ani oni, ani ich agenci nie potrafili przedstawić żadnego sensownego powodu, aby tam wejść. A pozostałe warunki dla realizacji operacji *Bież ruk, bież palców* już zostały spełnione. Moskwa kanałami dostarczyła im bomby. Oczywiście miniaturowe. Zna pan, Yale, amerykańskie poczucie higieny. Kult czystości. Ludzie z M.I.T, oczywiście też go wyznają. Łazienki i toalety dla mężczyzn i kobiet zajmują jedną piątą powierzchni całkowitej. Obłąd, nieprawdaż? I Moskwa wymyśliła umieszczenie w każdym z tych pomieszczeń trzech miniaturowych bomb. Jak te bomby wyglądają? Duże pastylki przypominające guziki do marynarki; zawierały zresztą dziurki, przez które naprawdę można je było przyszyć do marynarki! Niewykrywalne przez elektroniczną aparaturę kontrolną zainstalowaną przy wejściu do strzeżonych budynków M.I.T. Oddzielnie tubka zwykłego kleju, ale o bardzo wysokiej adhezji, umożliwiająca zamocowanie przyrządu na pływaku w spłuczce wody, w suchym miejscu, gdyż w przeciwnym przypadku woda uniemożliwiłaby przejście fal elektrycznych powodujących wybuch w wybranym przez nadajnik czasie. Oczywiście tych miniaturowych bomb musi być dużo, około setki i ze względów bezpieczeństwa nie można ich wprowadzić i zamocować w toaletach w krótkim okresie czasu, to znaczy: sto podzielone przez ubranie o trzech guzikach, czyli ponad trzydzieści trzy dni.

– A czy przy wyjściu nie da się zauważyć, że facet nie ma guzików przy marynarce? – rzucił Harry Shulz udając niezbyt rozgarniętego.

– Lekki płaszcz przeciwdeszczowy, włożony lub przerzucony przez rękę, zakryje tę usterkę. Ale to drobiazg. Problem tkwi w czym innym: *Kto wprowadzi bomby do obszaru chronionego M.I.T.?* Szefem operacji jest

Ted Silvers. Sandra Kentz to jego prawa ręka. Aby być w zgodzie z nazwą operacji powiedzmy, że Ted Silvers jest „Ręką”, a Sandra Kentz „Palcem”. Oczywiście są to ich fałszywe nazwiska i kryptonimy. Prawdziwe dane naszych przyjaciół niech zostaną dla pana tajemnicą, Yale... Ted Silvers to człowiek z bogatą wyobraźnią. Bez tego szpieg nigdy nie zostanie wielkim. Można o Sowietach mówić, co się chce, ale oni mają wielu wielkich szpiegów w swej historii. Więcej niż nasze służby informacyjne, co trzeba przyznać, czy się komuś podoba, czy nie. Niebezpieczne są iluzje, nie realizm...

Ted Silvers wie od swoich szefów, że M.I.T., zajmuje się między innymi badaniami dotyczącymi elektronicznego odczytu napisanych tekstów i ich głośnym odtwarzaniem słuchaczowi. Ten rodzaj badań nie interesuje Sowietów. Gdyby M.I.T. zajmował się jedynie tym, nie stałby się raczej celem KGB. W każdym razie dla realizacji tych eksperymentów M.I.T. werbował aktorów i aktorki o nieskazitelnej dykcji. Następnie ich głosy, po odczytaniu tekstów przepuszczane są przez mieszacz, syntetyzer, skąd wychodzą pod postacią bezpłciowego głosu, który ma odtwarzać elektroniczny zapis. I Ted Silvers w tej procedurze ujrzał możliwość wślizgnięcia się do sanktuarium nauki.

Szukając aktorów M.I.T, trafia, rzecz jasna, do Hollywood, największego skupiska aktorów i aktorek w Stanach. Ted Silvers wysyła tam Sandrę Kentz. A ona dowiaduje się o wypadku, któremu ulegli Cathy Ardizzo, William Corfield, Duff Berry i Michael Deeland. Widzi w tym od razu swoją szansę. Odwiedza ich w szpitalu Glendale, podsuwa pomysł z wykorzystaniem ich głosów i wskazuje drogę do tego: M.I.T. Równolegle dokonuje dwu rzeczy: po pierwsze wkręca się do M.I.T, prosząc o danie pracy tym ofiarom wypadku, a obecnie jej protegowanym; po drugie, chce uzależnić tych ostatnich od siebie bazując na wypadku, któremu ulegli. Podsyca w nich gniew na tych aktorów, którzy odmówili grania swych ról. Ale ta gra udaje się jedynie z Cathy Ardizzo i Michael Deelandem, którzy są zgorzkniali i w których powoli dojrzeła chęć zemsty. Sandra Kentz dmucha w te rozżarzone węgielki. Udaje jej się lepiej, niż mogła sobie wymarzyć, Cathy Ardizzo i Michael Deeland stają po jej stronie. Tylko Corfield i Berry nie chcą wejść w ten układ i emigrują pod inne nieba, konkretnie do Luizjany.

Pranie mózgu w wykonaniu Sandry Kentz przynosi efekty. Cathy Ardizzo i Michael Deeland są gotowi zamordować czwórkę aktorów: Garry'ego Gordona, Kena Reilly'ego, Mary Jo Dunes i Vince'a Rodda. A ona

tym sposobem będzie mieć ich w rękę, gotowych pod groźbą szantażu spełniać jej polecenia. Aby mogli dokonać zemsty, umożliwiał im nawet wykorzystanie technik KGB. Do zamachu na Reilly'ego Michael Deeland używa zminiaturyzowanej bomby dostarczonej przez Sowietów. Deeland wsuwa ją do koperty, wrzuca do skrzynki pocztowej i wywołuje wybuch, gdy Reilly przechodzi obok skrzynki.

W tym samym czasie Cathy Ardizzo i Michael Deeland zostają zaakceptowani przez M.I.T. Ich przeszłość jest bez zarzutu. Nigdy nie mieli żadnych zatargów z wymiarem sprawiedliwości. Mają nieskazitelnych przodków. Dlaczego M.I.T., miałaby ich nie zaakceptować? Tym bardziej, że są to nieszczęśliwi aktorzy potrzebujący pracy i zmiany zawodu.

Operacja *Bież ręk, bież palców* rusza pełną parą. Cathy Ardizzo i Michael Deeland zabijają Vince'a Rodda i pozostałych, i stopniowo umieszczają bomby wewnątrz M.I.T., gdzie zaczęli pracę. Bez problemu poruszają się po obszarze, który tak interesuje KGB, i przyklepiają swoje minibomby na pływakach sfluczek w toaletach.

I nagle coś się psuje. W Nowym Jorku Ted Silvers pada ofiarą łobuzów. Czynnikiem nieprzewidywalny, imponderabilium powodujące fiasko najlepiej opracowanych operacji. Sandra Kentz nie dowiaduje się o tym od razu, gdyż siedzi w Bostonie i nadzoruje naszą parę gołąbków. Pan, w charakterze dobrego Samarytanina odwiedza Silversa w Harlem Eye and Ear Hospital, ale przy kolejnej wizycie spotyka pan Sandrę, która nie ma do pana zaufania. Może jest pan gliną lub pracownikiem kontrwywiadu? Zwłaszcza, że Silvers bredzi; powtarza to zdanie: *Bez rąk, bez palców*. Mówi je po angielsku, ale Sandra nie ma pewności, czy nie powiedział tego *i po rosyjsku* i czy w tej malignie nie dostarczył jakichś dodatkowych informacji. Wpada w panikę. Jedzie za panem, gdy opuszcza pan szpital. Razem z nią na miejscu są też Cathy Ardizzo i Michael Deeland. Zaczyna działać tak, jak ją nauczono w szkole KGB. Najpierw próba morderstwa w *Galatei*. Pudło. Wysłała więc Cathy Ardizzo przebraną za muzulmankę z kwefem zakrywającym jej straszne oparzenia. Cathy jest aktorką, łatwo jej przychodzi mówić z obcym akcentem. Ponadto umie już zabijać, skoro zastrzeliła Mary Jo Dunes. A do tego znienawidziła mężczyzn, gdyż nie może już mieć z nimi normalnych stosunków. Jej zniekształcona twarz powoduje, że uciekają. Tylko Michael Deeland jest z nią, ale, co ciekawe, nie darzą się wzajemnie żadnym uczuciem. Jedyłą ich nadzieją jest chirurgia plastyczna.

To druga przynęta ze strony Sandry Kentz, aby ich zwabić w swe sieci. Obiecała im znaczną sumę pieniędzy, dzięki której będą mogli odzyskać piękną, zdrową i gładką skórę. Ten haczyk skłania ich do wykonywania bez protestów poleceń Sandry. Silversa nie spotykają nigdy. On jest tu wielkim szefem.

Sandra podpisyła panu Cathy Ardizzo, ale pan udaremnia zasadzkę i udaje się panu zniknąć. Wtedy też rozpoczyna pan swoje kontrśledztwo. I to pańskie wmieszanie się niechcący ma zbawienny wpływ na M.I.T. Sandra nawiązuje kontakt z Moskwą. Rozkaz jest jeden: Operację należy zawiesić. Zawiesić, nie anulować. Do czasu, aż wszystko zostanie porządnie wysprzątane. Silvers staje się pierwszym zagrożeniem. Sandra podaje mu truciznę. Pielęgniarka Carole Weingarten w trakcie maligny Silversa mogła usłyszeć rzeczy kompromitujące. Wypadek samochodowy wywołany przez pirata drogowego załatwia sprawę. Ale pozostaje *pan*, który rozpląnął się jak we mgle. KGB rozkazuje, aby pana odnaleźć, wyjaśnić, kim pan jest i czy stanowi pan jakiegokolwiek niebezpieczeństwo dla kontynuowania operacji. I tu, muszę przyznać, miał pan niesamowite szczęście...

Harry Shulz uniósł brwi.

– W jakim sensie?

– Kartonik z zapalnikami z napisem *U Mike'a Eriksona*. Nie sądzi pan przecież, że znajdował się on przypadkowo wśród chusteczek higienicznych wrzuconych do kosza na śmieci w łazience? Sandra Kentz jest profesjonalistką. Musiała założyć, że próba Cathy Ardizzo może się nie udać i powinna mieć dalszy kontakt z panem. Zakłada, że pan będzie szedł tropem Mouny i że może pan przeszukać jej pokój hotelowy. Należy zatem dostarczyć panu jakąś wskazówkę, jakiś znak topograficzny, jakąś poszlakę doprowadzającą pana prosto do Mississippi - tam, gdzie pan będzie oczekiwany. Rodzaj zasadzki.

– A jak zdobyła kartonik?

– Z polecenia Sandry, Cathy Ardizzo pojechała odwiedzić Corfielda i Berry'ego, aby ustalić, jaka jest ich reakcja na morderstwa Kena Reilly'ego, Vince'a Rodda, Mary Jo Dunes i Garry'ego Gordona. Czy nie istnieje ryzyko, że powiążą oni te morderstwa z wypadkiem, jakiego stali się ofiarami, i uznają, że siłą napędową tych morderstw była zemsta i że osobami o największej motywacji byli tu Cathy Ardizzo i Michael Deeland? Ale Cathy stwierdza, że tak jak policja, ani Corfield, ani Berry nie mają w stosunku

do nich żadnych podejrzeń. Zupełnie przypadkowo przywiozła stamtąd ten kartonik zapalek, którym posłużyła się później Sandra, aby pana złapać na lep.

– Jak to się stało, że nie zgarnęli mnie w Luizjanie?

– Sądzę, że pomieszało im szyki włączenie się ludzi z EXCARAC. Niech pan nie zapomina, że Sandra jest agentem KGB. A tu staję przed szeregami gwałtownych wydarzeń, które zbijają ją z tropu i do których nie chce się mieszać, gdyż rozkazy z Moskwy są jasne. Najważniejsza jest operacja *Bież ruk, bież palcew*. Nie dokonywać niczego, co mogłoby ją narazić na niebezpieczeństwo. Chronić operację wszelkimi środkami.

– Złapaliście ich?

– Całą trójkę. Sandrę Kentz, Cathy Ardizzo i Michaela Deelanda.

– Zaczęli mówić?

– Przyznali się. Sandra Kentz współpracuje z nami ze strachu przed przyszłymi represjami ze strony KGB i w obawie, że może zostać kiedyś wymieniona na któregoś z naszych agentów przetrzymywanych w ZSRR. KGB nie znosi porażek i sankcje są nieuniknione. Pobyt na Syberii, aż do śmierci.

– A Cathy Ardizzo i Michael Deeland?

– Zostaną przekazani wymiarowi sprawiedliwości za zamordowanie Garry'ego Gordona, Kena Reilly'ego, Mary Jo Dunes i Vince'a Rodda.

– Dlaczego poddawaliście mnie tym wyczerpującym przesłuchaniom, aby w końcu uznać moją uczciwość?

– Bo nie byliśmy pewni, czy pan nie jest jednym z nich.

– A teraz już jesteście o tym przekonani?

– Tak, ale jesteśmy także pewni, że pan nie nazywa się Peter Yale, przy czym nie jesteśmy w stanie tego dowieść.

Harry Shulz zaśmiał się szyderczo.

– Skąd możecie być tego tacy pewni?

– Nasz wielki komputer w Waszyngtonie zawiera dziesiątki milionów fiszek dotyczących Amerykanów. Jedna z nich dotyczy niejakiego Petera Yale, urodzonego w Guacitii w Boliwii 22 lutego 1947 roku. Jedyna informacja na tej fiszce to prośba wystosowana przez jego ojca w 1961 roku do Ministerstwa Zdrowia, aby przyjąć młodego, czternastoletniego wówczas Petera Yale do wyspecjalizowanej instytucji zajmującej się amerykańskimi obywatelami dotkniętymi nieuleczalnymi chorobami. Peter Yale miał

bowiem mongolizm, a ponadto dotknięty był chorobą Parkinsona w swym najwyższym stadium, z całkowitą niemożnością utrzymania w palcach jakiegokolwiek przedmiotu. Pojechał pan do Lourdes albo do Fatimy? Doznał pan cudownego uzdrowienia, po czym skonstruował pan tę cudowną i skomplikowaną broń, jaką panu odebraliśmy?...

Po tych słowach mężczyzna przedstawiający się jako Johnny Slay otworzył drzwi chryslera od strony chodnika i powiedział:

– Może pan wysiąść.

Harry Shulz posłuchał go. Drzwi trzasnęły znowu, a po chwili szyba opuściła się i czyjaś ręka podawała mu kartonik.

– Zawsze potrzebujemy w naszych służbach ludzi, którzy potrafią posługiwać się skomplikowaną bronią, taką jak pańska, panie Kim-By-Pan-Nie-Był. Proszę zadzwonić pod ten numer telefonu, gdyby nabrał pan na to chęci.

Harry Shulz wziął kartonik i wsunął go do kieszeni.

– Jeszcze jedno!

– Tak?

– Gdyby chciał pan zwiedzić dostępny dla publiczności obszar M.I.T., to nie ma problemu. Proszę wejść przez tę bramę naprzeciwko pana i zgłosić się do okienka po lewej stronie.

Szyba podniosła się i chrysler oderwał się od chodnika. Harry Shulz odczekał, aż zniknie, a następnie złapał przejeżdżającą taksówkę. Odczuwał nieprzepartą potrzebę, aby opuścić Stany Zjednoczone na pewien czas. Nie wróżyło to może nic dobrego przyszłym kontraktom dla sióstr Wood, ale on naprawdę nie lubił flirtować z Agencjami Informacyjnymi z Waszyngtonu!...